

Tajwan i Holandia
– giganci mikroprocesorów

Janusz Głowacki – Hemingway
z Krakowskiego Przedmieścia

Lewica
w wojnie 1920 r.

Alex Jones – wzlot
i upadek spiskowca

Prokurator Katarzyna Kwiatkowska

Prezes Stowarzyszenia
Prokuratorów
Lex Super Omnia

Dyscyplinarka za wywiad dla PRZEGLĄDU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



GALERIA
AUTORSKA
ANDRZEJA
MLECZKI



sklep.mleczko.pl



Ekologia się u nas nie przyjęła

Widok martwej Odry przeraża. Śmierdząca truciznami i rozkładającymi się rybami rzeka jest bombą biologiczną. Co jeszcze musi tam się stać, by rząd ogłosił stan klęski żywiołowej? Piszę to w piątek. Słucham zrozpaczonych wędkarzy, którzy od dwóch tygodni alarmowali władzę, że rzeką płyną śnięte ryby. Bez skutku. Mamy największą katastrofę ekologiczną od dziesiątków lat, a informacji o tym, co wpuszczono do rzeki, trzeba szukać w mediach niemieckich. Zamiast współdziałania rządu, samorządów, inspektorów ochrony środowiska i Wód Polskich mamy przerzucanie się odpowiedzialnością. Zamiast nadzwyczajnej mobilizacji i koordynacji wysiłków mamy bałagan i paraliż decyzyjny. Ciągłe giną ryby, ptaki i inne zwierzęta. Woda w Odrze zagraża zdrowiu ludzi. A gdyby nie wędkarze zorganizowani do akcji ratunkowych przez Polski Związek Wędkarski, byłoby jeszcze gorzej. Wyciągali śnięte ryby, narażając się na poparzenia.

Przeraża stan Odry, ale równie dołująca jest niewyobrażalna wręcz niekompetencja przedstawicieli rządu. Po dwóch tygodniach od skażenia stać ich jedynie na opowiadanie piramidalnych bzdur. Wiceminister infrastruktury Grzegorz Witkowski pochwalił się, że udało się

uruchomić odpowiednie służby, by mogły wziąć próbki wody do badania. Po dwóch tygodniach! Czytałem to parę razy, bo nie chciało mi się uwierzyć, że dorosły człowiek i minister może opowiadać o sukcesie, bo pobrano próbki. Podobnie Jacek Ozdoba, wiceminister ochrony środowiska z nominacji Ziobry. Do tej pory wysyłany był przez Solidarną Polskę do mediów, gdzie plół te partyjne androny. A teraz zderzył się z problemem, którego nie jest w stanie ogarnąć.

Katastrofa na Odrze po raz kolejny pokazała, że rządzą nami zadufane w sobie miernoty. W takich chwilach lepiej widać, że w ważnych dla państwa miejscach umościłi sobie gniazdko ludzie bez podstawowej wiedzy. Cwaniacy nadrabiający brak kompetencji tupetem. Ale im nic nie grozi. Bo władza opiera się właśnie na takich jak oni.

Zawiodły procedury. Mamy kolejny dowód, że inercja administracji nie daje szans na skuteczną walkę z kataklizmami. A przecież na Odrze może się nie skończyć. Odpowiedzialność polityczną za katastrofę zawsze ponoszą rządzący. I tego nie zmieni ocenzurowanie zatracia Odry w TVP Kurskiego. Ekologia jakoś w mediach pisowskich się nie przyjęła.

PRENUMERATA POCZTOWA



Masz problem ze znalezieniem PRZEGLĄDU w kiosku?

Zamów prenumeratę pocztową na IV kwartał w cenie 72,80 zł

Jeden egzemplarz w prenumeracie tylko 5,60 zł!

Zamówienia można składać do 25 sierpnia 2022 r. we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem:

prenumerata.poczta-polska.pl

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Dyscyplinarka za wywiad dla „Przeglądu”
- 9 Na pewno będę walczyć
– rozmowa z prok. Katarzyną Kwiatkowską
- 14 Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy
Wszyscy wrogowie PiS
- 16 Rośnie liczba zakażeń odra
Coraz mniej zaszczepionych
- 26 Prawda w oczy kole
Ukarany za aktywność

ZAGRANICA

- 18 Świat bez mikroprocesorów nie istnieje
Firmy, które kształtują cywilizację
- 22 Wzlot i upadek spiskowca
Sprawa Alexa Jonesa
- 28 Glob najeżony bronią
Ziemia jak beczka prochu
- 30 Bułgaria ta sama, ale nie taka sama
Raport z czarnomorskiej riwieri
- 34 Kłopoty w turystycznym raju
Tunezja wraca do autorytaryzmu

HISTORIA I OPINIE

- 36 Nierozliczona rzeź na Woli
- 38 Między zwycięstwem a podłością
Lewica w wojnie 1920 r.
- 44 Doug Bandow
Czy Ukraina wdraża strategię
obrażania sprzymierzeńców?

KULTURA

- 46 Hemingway z Krakowskiego
Przedmieścia – o Januszu Głowackim
- 49 Festiwalozą
Dla kogo dziś są festiwale
- 52 Culturalia
- 66 Ja, kot. Koty w sztuce Japonii i Zachodu

ZDROWIE I NAUKA

- 54 Oddech lubi ruch
– rozmowa z Sandrą Osipiuk-Sienkiewicz
- 57 Jak heloderma arizońska stała się
medyczną supergwiazdą

ZWIERZĘTA

- 58 Arka dziejów
Po co nam ogrody zoologiczne

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański
Ekologia się u nas nie przyjęła
- 12 Jan Widacki
Prezes Sądu Najwyższego w roli papugi,
z prawdziwym problemem w tle
- 21 Andrzej Romanowski
Mój dług
- 25 Roman Kurkiewicz
Czy musimy być idiotami?
- 33 Tomasz Jastrun
Sztokholm
- 53 Wojciech Kuczok
Śmiertelna perć



49

FESTIWALOZA

Dla kogo dziś są festiwale

KULTURA



54

ZDROWIE

ODDECH LUBI RUCH

– rozmowa
z Sandrą Osipiuk-
-Sienkiewicz

57

NAUKA



JAK HELODERMA ARIZOŃSKA STAŁA SIĘ MEDYCZNĄ SUPERGWIAZDĄ

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



✉ Urna w rękę polityków

Przyjęty sposób wyboru sędziów do izby „odpowiedzialności zawodowej” jest kolejnym przejawem charakterystycznego dla PiS lęku przed kompetencją. W przypadku orzekania o postępowaniu sędziów powinna ona być najwyższa z najwyższych. Tymczasem powierzono wybór fortune i w końcowej fazie osobie, której wiedzę prawniczą (i czyniony z niej użytek) zakwestionował jej macierzysty wydział uniwersytecki. To tak, jakby nominacje profesorskie powierzyć nie starszym rangą i doświadczeniem uczonym, lecz obrotom maszyny losującej – i decyzji partyjnej.

Nawiasem mówiąc, ów lęk przed kompetencją nie jest cechą europejskich konserwatystów. To szczególna odmiana polskiej poprawicy. Robi się nieszczerze zagrywki i potem grzmi, że poszliśmy na kompromisy, a Unia wciąż głucha.

Andrzej Lam

✉ Grubi do bicia



Problem otyłości dotyczy mnie osobiście, dlatego chciałbym zwrócić uwagę na kwestię ubrań w dużych rozmiarach i ich dostępności. Wiem, że producenci odzieży oraz wszelkiej maści „kultyści” hollywoodzkiej sylwetki zaraz mi – po części słusznie – powiedzą: „Ale chłopie, by uszyć ubrania na takich jak ty, potrzeba więcej materiału, z czym do ludzi?!”. Odpowiem na to: OK, rozumiem i się zgadzam, że łatwiej uszyć bluzę na kogoś chudego jak patyk niż na kogoś otyłego. Jednak czy naprawdę chcemy udawać, że osoby grube nie istnieją? Zwłaszcza że – czy to się komuś podoba, czy nie – takich osób jest coraz więcej. Nie walczmy ze wszechświatem, trzymając się zasady „Jeśli fakty mi przeczą, to tym gorzej dla faktów”. Wiem i naprawdę

rozumiem, że na ile jest to możliwe, warto coś z tą wagą zrobić. Ale błagam, nie zamykajmy się w bajeczce, że to, co nam się nie podoba, nie istnieje!

(dane do wiadomości redakcji)

✉ Nie tylko Kościół

Chyba zbyt łatwo rzucamy oskarżenia pod adresem Kościoła katolickiego i żądamy, by się bił w piersi i przepraszał za wszystko, pomijając milczeniem rolę ówczesnych państw i społeczeństw. Kościoły w Kanadzie czy Australii nie były udzielnymi księstwami, tylko realizowały politykę państwa, działały w ramach prawa uchwalonego przez świeckie parlamenty, a wcześniej przez gubernatorów brytyjskich. Działały też zgodnie z ówczesną pedagogiką, pozwalającą stosować wobec uczniów surowe kary, które dzisiaj byłyby uważane za tortury. Wszystko to było akceptowane przez ówczesne społeczeństwa. Ba, to właśnie od instytucji „wychowawczych” domagano się „ucywilizowania dzikusów”, tj. wykorzenienia z nich ich wierzeń i obyczajów, uczynienia z nich „prawdziwych” Kanadyjczyków czy Australijczyków. A to, co się działo w tych szkołach rezydencjalnych, nie było tajemnicą, przynajmniej dla miejscowej ludności. To nie księża czy zakonnicy odbierali siłą dzieci ludności rdzennej, tylko urzędnicy państwowi w asyście policji. Wynaradawianie tubylczej ludności było polityką państwa prowadzoną nie tylko w stosunku do dzieci – także kobiety były przymusowo sterylizowane, by zmniejszyć niechcianą populację.

Kościół był wykonawcą polityki władz państwowych, całkowicie i w pełni popieranej przez ówczesne społeczeństwa.

Jerzy Cichot



ZDJĘCIE TYGODNIA

Przystań żeglarska w Kostrzynie nad Odrą. Na wodzie unoszą się setki martwych ryb, tylko na terenie województwa lubuskiego wyłowiono ich już ok. 5 ton.



Gigantyczna katastrofa ekologiczna dotknęła Odrę. Rzeka jest zatruta na obszarze pięciu województw. Odławiane są tony śniętych ryb i padłych zwierząt. Mimo zgłoszeń wędkarzy, którzy alarmowali władze już od wiosny, brakowało reakcji ze strony inspektoratów wojewódzkich i Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska. Nawet wtedy, gdy 26 lipca płynęły już Odrą martwe ryby. Ciągłe brakuje informacji i skutecznej reakcji na ten kataklizm.

Nową Izbę Odpowiedzialności Zawodowej powołując politycy. **Prezydent Duda** i **premier Morawiecki**. Losowanie kandydatów przez prezes **Małgorzatę Manowską** spośród 82 sędziów i neo-sędziów tylko to potwierdza. Bo i tak ostatecznego wyboru spośród 33 wylosowanych dokonają politycy. W nowej izbie ma orzekać 11 sędziów wybieranych na pięcioletnią kadencję.

Sędzia **Igor Tuleya** przywrócony do orzekania przez **Joannę Przanowską-Tomaszek**, prezes Sądu Okręgowego w Warszawie, został ponownie odsunięty przez **Przemysława Radzika**, wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

Przyjęta przez Radę Najwyższą Ukrainy nowelizacja prawa pracy na Ukrainie w znacznym stopniu ogranicza możliwości funkcjonowania ukraińskich związków zawodowych. Ustawa 5371 dotycząca firm zatrudniających do 250 pracowników ogranicza możliwość zrzeszania się w związkach zawodowych. Protestują przeciwko temu polscy związkowcy.

Elżbieta Witek, marszałek Sejmu, trzykrotnie nie stawiała się przed kontrolami NIK. Zablokowała tym

postępowanie dotyczące rządowego programu Polskie Szwalnictwo. Jej skargi na postanowienia NIK odrzucił Sąd Administracyjny w Szczecinie. A to oznacza, że będzie musiała zapłacić trzy kary po 3 tys. zł za każde niestawienie się.

PolishAgri, firma będąca liderem eksportu zboża, została ukarana przez UOKiK za nieuczciwe wykorzystywanie pozycji dominującej wobec dostawców. Za podobne praktyki ukarana została też **Cefetra Polska**, a wobec siedmiu innych firm skupujących zboże prowadzone jest dochodzenie.

W spółkach skarbu państwa w 2021 r. najwięcej zarobili: b. polityk PiS **Maks Kraczkowski**, wiceprezes PKO BP – 1,813 mln zł, b. polityczka PiS **Małgorzata Sadurska**, wiceprezes PZU – 1,801 mln zł, oraz **Daniel Obajtek**, prezes Orlenu – 1,311 mln zł (**MoneyTransfers.com**).

Były wicepremier Rosji (2012-2018) **Aleksiej Dworkowicz** został przez Kongres Międzynarodowej Federacji Szachowej ponownie wybrany na prezydenta FIDE. Poparło go 157 ze 179 federacji krajowych. Na jego konkurenta, Ukrainę **Andrija Bariszpolca**, zagłosowało 16 państw.

Ponad 2,4 mln Polaków jest zarejestrowanych w Krajowym Rejestrze Długów, bo ma zaległe zobowiązania w wysokości ponad 45 mld zł.

Mandat w wysokości 500 zł dostał krakowianin, który na lotnisku, pytany o bagaż podręczny, powiedział: „Gdybym nawet miał bombę...”. Co uruchomiło lotniskowe procedury bezpieczeństwa („Angora”).

PRZEBŁYSKI



Papież pyta, co tam u abp. Jędraszewskiego

Kole ludzi w oczy drugi ślub kościelny Jacka Kurskiego. Kole zwłaszcza wiernych w diecezji zarządzanej przez abp. Jędraszewskiego. Krakusy skorzystały więc z okazji, jaką im stworzył papież Franciszek. Każda parafia i diecezja została zobowiązana do przeprowadzenia ankiet synodalnych. Pytania, jakich jeszcze nie było: jak sprawowana jest władza w kościele, jakie są relacje z księżmi, co boli, co przeszkadza itp. U abp. Jędraszewskiego wyniki muszą być szczególnie marne, bo zwleka z publikacją. A szkoda. Bo to ciekawe, co ludzie myślą o Kurskim. O nudnych i politycznych kazaniach Jędraszewskiego, o katechezie szkolnej. I o znikającej kasie z tacy.

Z Potockim na Mińsk

Upał taki, że człowiek zdejmując z siebie, co może. Ale nie Andrzej Rafał Potocki. Ten dumnie prezentuje się w przydużej skórzanym kurtce („Sieci”). Obwieszony nalepkami jak nie przymierzając jakiś ważny generał od Kim Dzong Una. Mina marsowa i duch bojowy. I to tak bojowy, że „gdyby nie Moskal z bronią atomową, w dwa dni byśmy byli w Mińsku (...); w trzy dni, bo nasi dowódcy musieliby wygłaszać przemówienia powitalne do cieszącej się z wyzwolenia lokalnej ludności”.

Profanacja tupolewa

Jaki jest najlepszy sposób, by się podliznąć prezesowi Kaczyńskiemu? Postawić pomnik bratu. Na to zawsze znajdą się pieniądze rządowe lub samorządowe. Tak jak znalazły się na stawianie makiet tupolewa, który rozbił się pod Smoleńskiem. Choćby w Kałkowie, w sanktuarium Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski. Po 10 latach makiet wygląda tak: „Cały pomnik jest uflony i zaniedbany. Pokrywa samolotu popękana, bo gazobeton, z którego go zrobiono, puszcza wierzchnią farbę, do której wciska się brud. Okno z wymiętą polską flagą wygląda jak suszące się gacie na balkonie. Para prezydencka nie stoi, a leży, bo dykt z fotografią się odkleiła. Leżący prezydent wraz z małżonką prezentują się jak para meneli, która po wypiciu jabola legła, nim doszła do swej salonki. Przy zdjęciu Marii i Lecha Kaczyńskich są jakieś śmieci”. Tak swoje wrażenia z wizyty w sanktuarium opisał Krzysztof Skiba z Big Cyca („Fakty po Mitach”).



Prostacki desant

Zaorywanie kultowego niegdyś radia nie ma końca. Z sadystyczną konsekwencją dojna zmiana niszczy Program III Polskiego Radia. Trójkę topią ludzie, którzy trafili tam z nominacji PiS i zastąpili wybitnych i niepokornych radiowców. Marka Niedźwieckiego i jego „Listę przebojów Trójki” zastąpił... Łukasz Ciechański. Gość, który pasuje tam jak wół do karety. Z prostackimi manierami i knajackim językiem mógłby zarabiać w Polskim Radiu 24. Tam miałby swoich, choć śladowych słuchaczy. Ale bez słownictwa, którego używa (Facebook), typu „jebnij się w feb”. Po protestach słuchaczy Ciechański na antenie jest tylko raz w tygodniu. A że 22 sierpnia wybiera się na dwa miesiące do Andaluzji, to może mu załatwić inną robotę.



PYTANIE TYGODNIA

Czego powinniśmy uczyć młodzież o powstaniu warszawskim?

PROF. PIOTR TADEUSZ KWIATKOWSKI,
socjolog, Uniwersytet SWPS

W edukacji powinno się traktować powstanie w szerszym kontekście, uwzględniać wojenne losy mieszkańców różnych regionów Polski. Bohaterstwo i poświęcenie mieszkańców Warszawy zasługują na pamięć i hołd. Ale nie można sprowadzać tragedii powstania do patriotycznych frazesów. Trzeba mówić o tym, że do dzisiaj budzi ono dyskusje. Że było przegrane z wojskowego i politycznego punktu widzenia, doprowadziło do zniszczenia stolicy i spowodowało wielkie straty wśród ludności cywilnej. Ważny jest także jego międzynarodowy kontekst – gotowość Niemców i ich sojuszników do popełniania zbrodni, milcząca zgoda mocarstw zachodnich na pozostawienie Polski w strefie wpływów ZSRR, cynizm Stalina, który uniemożliwił udzielenie pomocy walczącym. Przekazowi na temat powstania powinno towarzyszyć pytanie, czym jest polityczny realizm i jaką rolę

powinien odgrywać przy podejmowaniu decyzji mających poważne konsekwencje dla wspólnot.

DR IZABELA MRZYGŁÓD,
historyczka, PAN

Czas wyzyskać potencjał edukacyjny powstania i wyjść z kolein apologii bądź potępienia. Młodzież powinna być uczona zarówno o bohaterstwie, jak i o cenie walki, o działaniach powstańców i o niewyobrażalnych cierpieniach cywilów. Mocniej trzeba akcentować nie tylko narodowe, ale i społeczne cele powstania – projekt sprawiedliwego i głęboko demokratycznego państwa, zawarty później w Testamencie Polski Walczącej. Przede wszystkim jednak jest to świetny przyczynek do nauki krytycznego myślenia i empatii historycznej. Do nauki prowadzenia sporów wokół patriotyzmu walki bądź rozkładania na czynniki pierwsze insurekcyjnej mitologii sięgającej XIX w. Historia ma uczyć rozumienia, a nie powielania schematów.

MARIUSZ URBANEK,
pisarz, publicysta

Powstanie było tragedią, której nie można było uniknąć, zbiegiem okoliczności, które musiały doprowadzić do jego wybuchu i konsekwencji. Świadomość polityków, że powojenne losy Polski zostały przesądzone już w grudniu 1943 r. i powstanie jest być może ostatnią szansą, żeby powstrzymać jej rozbiór i wasalizację. Rwąca się do walki po pięciu latach okupacji akowska młodzież. Dowódcy w Warszawie przekonani, że pomoc przyjdzie z Zachodu i Wschodu. To była walka na miarę obrony Termopil, równie nieuchronna, choć być może jeszcze bardziej pozbawiona sensu. Wszystko, co można zrobić, to powiedzieć Polakom i Polsce, że powstańcy zginęli wierni jej prawom, choć niewiele z tego wynikało, skoro żaden z celów powstania nie został spełniony.

Not. Michał Sobczyk

Dyscyplinarka za wywiad dla PRZEGLĄDU

Bezprawne naciski są w prokuraturze na porządku dziennym

Andrzej Dryszel

Ta sprawa ma wisieć nade mną jak miecz Damoklesa – mówi prok. Katarzyna Kwiatkowska z Prokuratury Okręgowej w Warszawie, prezes Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia, niegodzącego się na przekształcenie polskiej prokuratury w upolityczniony urząd, spełniający oczekiwania partii rządzącej. 1 marca 2022 r. otrzymała zarzuty dyscyplinarne za wywiad, którego udzieliła PRZEGŁĄDOWI w styczniu ub.r.

Zdaniem pani prokurator to kolejny przejaw obowiązującej w prokuraturze zasady kija i marchewki, która ma wywołać efekt mrożący i wyeliminować wszelką aktywność prokuratorów nieaprobowaną przez władzę.

Kiedy się zakończy sprawa prok. Kwiatkowskiej? Nikt nie wie. Postępowanie dyscyplinarne wszczęto już ponad pół roku temu, jedną z możliwych kar jest wydalenie ze służby prokuratorów. Podważeni ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry bardzo bowiem się starają, by prokuratorzy krytyczni wobec jego poczynań nie tyle łowili przestępców, ile sami stali się zwierzyną łowną.

Lektura wywiadu w naszym tygodniku skłoniła zastępcę rzecznika dyscyplinarnego prokuratora generalnego Macieja Jaskulskiego do pisemnych oskarżeń, że prok. Kwiatkowska „uchyliła godności sprawowanego urzędu prokuratora” oraz „insynuowała”, a także: „udzielając wywiadu opublikowanego w dniu 25 stycznia 2021 r. w czasopiśmie »Tygodnik Przegląd« oraz umieszczonego na witrynie internetowej tego



czasopisma artykułu pt. »Żebyśmy mogli przemyśleć swoje postępowanie« przekroczyła obowiązujące prokuratora granice wolności wypowiedzi oraz dozwolonej i uzasadnionej krytyki”.

Przypomnijmy, że pani prokurator we wspomnianym wywiadzie powiedziała PRZEGŁĄDOWI m.in.:

„Kierownictwo prokuratury nie wie, co oznacza niezależność prokuratorów, lub interpretuje ten termin opacznie. Niezależność to nie przywilej dla prokuratorów, lecz gwarancja sprawiedliwego, bezstronnego postępowania dla każdego obywatela. Prokuratorzy powinni działać w imieniu społeczeństwa i w interesie publicznym z poszanowaniem praw człowieka i podstawowych wolności, a nie w interesie partii rządzącej, realizując jej partykularne interesy”.

„Szczuję pracę na każdym szczeblu, lecz wysłanie mnie do rejonu to marnowanie mojego doświadczenia i kompetencji (...). Całe życie prowadziłam sprawy gospodarcze, gdyby zatem uwzględniano wiedzę, kompetencje i doświadczenie zawodowe, zostałabym delegowana nie do Prokuratury Rejonowej w Golubiu-Dobrzyniu,

lecz do wydziału spraw gospodarczych jakieś prokuratury okręgowej. Wtedy można by mówić o wzmocnieniu merytorycznym. Spytałam swojego nowego przełożonego w Golubiu-Dobrzyniu, czy w jego prokuraturze prowadzone są sprawy gospodarcze; dowiedziałam się, że nie”.

„Dziś prokuratura w Polsce przypomina folwark pańszczyźniany z feudalnym panem, który nas, prokuratorów wyrobników, przesuwają z jednego miejsca na drugie. To przykre i nie ma nic wspólnego z demokratycznym państwem prawa”.

„Władza działa zgodnie z zasadą, że na każdym szczeblu trzeba mieć »własnego« prokuratora”.

„Postępowania długotrwałe ciągną się w prokuraturach już dwa, trzy razy dłużej niż w 2015 r., a niektórzy delegowani koledzy zostawiają nawet do stu spraw”.

Jak widać, są to konstatacje nie mogące budzić wątpliwości i tak oczywiste dla osób mających kontakt z prokuraturą, że przywołując Orwella (to à propos orwellowskiej rzeczywistości budowanej w Polsce przez obóz „dobrej zmiany”), wszystko, o czym mówiła Katarzyna Kwiatkowska, „i ślepy by dostrzegł”. Szefowie polskiego wymiaru sprawiedliwości też to widzą, bo przecież znają stan prokuratury, do którego sami doprowadzili. Nie powinni więc mieć pretencji o jej słowa.

W inkryminowanym wywiadzie pani prokurator wskazała jednak również osoby, które przyczyniły się do opisanej przez nią kondycji prokuratury: „Według mnie prok. Skała (szef Związku Zawodowego Prokuratorów i Pracowników Prokuratury RP – przyp. aut.) został skorumpowany

instytucjonalnie. Za awanse i profity finansowe zrezygnował jako związkowiec z dbania o prawa prokuratorów czy urzędników prokuratury. Pan Jacek Skąła, uczestnicząc w pracach parlamentarnych nad projektem nowej ustawy Prawo o prokuraturze, nie sprzeciwiał się przyznaniu ogromnych kompetencji kadrowych i merytorycznych panu Zbigniewowi Ziobrze. Nie reagował też na degradację prokuratorów”.

Właśnie ten wątek personalny wywiadu dla PRZEGŁĄDU wywołał duże zainteresowanie zastępcy rzecznika dyscyplinarnego. Napisał on, że prok. Kwiatkowska, mówiąc o „skorumpowaniu instytucjonalnym” prok. Skąły, naraziła go na utratę zaufania potrzebnego do pełnienia przez niego stanowiska i funkcji związkowej oraz naruszyła bezpośrednio jego dobre imię.

W kolejnym zarzucie dyscyplinarnym pan Maciej Jaskulski stwierdził, że prok. Kwiatkowska naruszyła prawo, informując nas o delegowaniu jej do pracy w Prokuraturze Rejonowej w Golubiu-Dobrzyniu. Czy zdaniem zastępcy rzecznika dyscyplinarnego ogólnie znana i komentowana wiadomość o zesłaniu prok. Kwiatkowskiej ze stołecznej prokuratury okręgowej do Golubia-Dobrzynia stanowiła tajemnicę państwową strategicznej wagi, której ujawnienie mogło narazić na szwank dobro naszej ojczyzny?

Katarzyna Kwiatkowska rozmawiała też z paroma innymi mediami. Pan Maciej Jaskulski okazał się bardzo sumienny, więc co wywiad, to kolejne, podobne zarzuty dyscyplinarne wobec szefowej Lex Super Omnia.

Panią prokurator pozwano również do sądu cywilnego o naruszenie dóbr osobistych Prokuratury Krajowej i żądano od niej w sumie 2,25 mln zł. Jak widać, Prokuratura Krajowa, mimo że jest urzędem i bytem zbiorowym, a nie osobą, ma cenne dobra osobiste, które nader łatwo naruszyć.

Wszystkie te oskarżenia mogą sprawiać wrażenie, że prok. Kwiatkowska jednoosobowo usiłuje zdemontować cały polski wymiar sprawiedliwości. I zdaniem obecnej władzy powinna ponieść stosowne konsekwencje za swoje karygodne czyny. A na razie ma się bać. ■

Na pewno będę walczyć

Złożyłam oświadczenie, że Maciej Jaskulski, zastępca rzecznika dyscyplinarnego prokuratora generalnego, wpisuje się w stosowany wobec mnie mechanizm szykan i retorsji



KATARZYNA KWIATKOWSKA

– prezes Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia, prokurator Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga

Rozmawia Andrzej Dryszel

Boi się pani?

– Ci, którzy się boją, umierają codziennie, ci, co się nie boją, umierają tylko raz. Te słowa z „Juliusza Cezara” Szekspira są moim swoistym credo. Nie boję się, a im mocniej dostają po głowie, tym bardziej jestem zdeterminowana, by kontynuować działania mające na celu zapewnienie prokuratorom podmiotowości i autonomii w podejmowaniu decyzji. Zgodnie z rotą ślubowania prokurator ma wiernie służyć Rzeczypospolitej Polskiej, stać na straży prawa i strzec praworządności. Nie będę się kłaniać władzy, która autorytet buduje na

strachu i instytucjonalnym przekupstwie. Można mnie karać, ale żaden przełożony nie zabierze mi godności, honoru i odwagi. Żyjemy w czasach, w których prawnikom nie wolno milczeć, wręcz obowiązkiem jest informowanie o sytuacji w polskiej prokuraturze.

Jak pani wypełnia ów obowiązek?

– Wraz z koleżankami i kolegami ze stowarzyszenia uczestniczę w II edycji Tour de Konstytucja, której tematem wiodącym są sprawy dotyczące Unii Europejskiej. Chcemy przybliżyć obywatelom kwestie związane z europejskimi standardami kształtującymi status prokuratora, rozmawiamy o Prokuraturze Europejskiej, która rozpoczęła działalność 1 czerwca 2021 r., a my do niej ▶

nie przystąpiliśmy. Polska uznała, że regulacje dotyczące funkcjonowania Prokuratury Europejskiej zawierały niekorzystne rozwiązania, zagrażające niezależności krajowych organów zajmujących się walką z przestępczością na szkodę interesów finansowych UE. Tak naprawdę chodzi o to, że prokurator delegowany z danego kraju do Prokuratury Europejskiej działa w sposób całkowicie niezależny od organów krajowych, co nie byłoby możliwe do zaakceptowania przez kierownictwo polskiej prokuratury, przyzwyczajone do wydawania poleceń i posłuszeństwa, a nie do realizowania unijnych uzgodnień.

Czy wszyscy prokuratorzy tak samo rozumieją rolę prokuratorzką?

– Prokuraturę tworzą ludzie, to od ich charakteru, odwagi i zasad etycznych zależy nasz wizerunek i prestiż w społeczeństwie. Po sześciu latach tzw. dobrej zmiany w prokuraturze mogę kategorycznie stwierdzić, że część prokuratorów traktuje rolę ślubowania jako zbiór frazesów, a obowiązek stania na straży prawa i strzeżenia praworządności zastą-

wydane 1 marca 2022 r., dzień po wygraniu przeze mnie w sądzie pracy sprawy o delegowanie do Prokuratury Rejonowej w Golubiu-Dobrzyniu. To kolejna szykana wobec mojej osoby. W zeszłym roku dzień po skierowaniu przeze mnie pozwu w sprawie tej delegacji skierowano przeciw mnie pozew o naruszenie dóbr osobistych.

Zapewne zastępca rzecznika dyscyplinarnego uznał to za zbieg okoliczności?

– Tak, powiedział, że po prostu postanowił moją sprawę niezwłocznie doprowadzić do końca. Po ogłoszeniu mi w marcu 2022 r. zarzutów dyscyplinarnych i przesłuchaniu mnie w charakterze obwinionej w sprawie nic się nie dzieje. Podejrzewam, że postępowanie jeszcze długo się nie skończy. Mam się bać i czekać, a fakt, że jestem obwinioną, będzie wykorzystywany do innych celów.

Do jakich?

– Ostatnio został wykorzystany, by nie przyznać mi tzw. nagrody. W Dniu Prokuratury, 11 lipca 2022 r.,

i uzasadnienie: „za wzorową i sumienną pracę” pozwalają stwierdzić, że to składniki wynagrodzenia, a nie nagrody w rozumieniu Kodeksu pracy (nagrody to świadczenia wyjątkowe, które mogą być przyznawane za to, co wykracza poza katalog czynności, do których pracownik zobowiązał się, nawiązując stosunek pracy). Powinni zatem je dostać wszyscy prokuratorzy.

Pani jest wśród prokuratorów, których władza karze, a nie nagradza.

– Zastosowano wobec mnie cały arsenał środków dyscyplinujących. Prokurator krajowy pan Świączkowski w 2016 r. zdegradował mnie do prokuratury niższego szczebla, a w 2021 r. karnie delegował do prokuratury rejonowej na sześć miesięcy. Skierował też pozew o naruszenie dóbr osobistych Prokuratury Krajowej. Wystąpienie z takim powództwem za pośrednictwem prokuratury było instrumentalnym wykorzystaniem przez niego sprawowanego urzędu. Każde postępowanie sądowe wiąże się z obciążeniami finansowymi (w postaci m.in. opłaty od pozwu), które w tym przypadku pan prokurator powinien ponieść z własnej kieszeni – a zapłaci skarb państwa, czyli obywatele. Łączna wartość roszczeń to 2,25 mln zł: koszt publikacji przeprosin i wpłata 250 tys. na Caritas. Termin rozprawy nie został wyznaczony. Na pewno będę walczyła i gotowa jestem na debatę o stanie prokuratury na sali rozpraw. Jak mawiał Churchill: „Masz wrogów? To dobrze. To znaczy, że broniłeś czegoś w ciągu swojego życia”.

Czy przełożeni mogą wystać panią w kolejną delegację, daleko od domu?

– Mogą, ale takie emocjonalne zachowania były raczej domeną Bogdana Świączkowskiego. Traktował on prokuratorów jak funkcjonariuszy służb mundurowych, których można w każdym czasie, bez uzasadnienia, delegować po całej Polsce. Nie pamiętał, że prokurator jest też pracownikiem, którego chroni prawo pracy. Dlatego wytoczyłam pozew o naruszenie zasady równego traktowania i zakazu dyskryminacji w związku z delegowaniem mnie

Aby nie ulec naciskom w prokuraturze, trzeba mieć mocny kręgosłup moralny, charakter i wiele odwagi.

piła podporządkowaniem się partii rządzącej. Słowa Orwella stanowią właściwy komentarz do oceny postaw części prokuratorów: „Za nieszczerość i tchórzostwo zawsze trzeba płacić. Nie wyobrażajcie sobie, że przez lata można uprawiać służalczą propagandę na rzecz (...) jakiegokolwiek reżimu, a potem wrócić nagle do intelektualnej przyzwoitości”.

Jaki jest stan postępowania dyscyplinarnego wszczętego przeciw pani po wywiadzie dla PRZEGLĄDU?

– Zainicjował je Bogdan Świączkowski, były już prokurator krajowy, wskazując zastępcę rzecznika dyscyplinarnego prokuratora generalnego Macieja Jaskulskiego. To ten rzecznik skierował wniosek do sądu dyscyplinarnego o ukaranie prok. Krzysztofa Parchimowicza, pierwszego prezesa Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia – również za publiczne wypowiedzi. Zarzuty dyscyplinarne zostały

zdecydowana większość prokuratorów otrzymała dekrety o przyznaniu tzw. nagród za „wzorowe i sumienne wykonywanie zadań służbowych”, po 4,5 tys. zł brutto. Z zebranych danych wynika, że otrzymali je prokuratorzy prawomocnie skazani dyscyplinarnie lub mający zarzuty. Znamy przypadki, gdy dostali je prokuratorzy przebywający na długotrwałych zwolnieniach lekarskich. Znamy też przypadki nieprzyznania tzw. nagród prokuratorom, którzy nie byli karani dyscyplinarnie, nie mieli zainicjowanych postępowań dyscyplinarnych ani nie byli na długotrwałych zwolnieniach – to m.in. członkowie Lex Super Omnia. Z informacji, którymi dysponuje LSO, wynika, że ok. 100 członków stowarzyszenia nie otrzymało tzw. nagród. Używam określenia tzw., gdyż w kontekście orzecznictwa Sądu Najwyższego masowość ich przyznania, brak różnicowania wysokości, jak

do Prokuratury Rejonowej w Golubiu-Dobrzyniu. Sprawę wygrałam, uzyskując odszkodowanie w wysokości 16,8 tys. zł. Niezwykle ważne było dla mnie stwierdzenie sądu, że doszło do naruszenia zasady niedyskryminacji, a przesłanką dyskryminacyjną była moja aktywność w Lex Super Omnia. Sąd stwierdził, że strona pozwana nie udowodniła, że były obiektywnie uzasadnione powody tej delegacji. Natomiast zeznania pana Święczkowskiego uznał za niewiarygodne. Prokuratura Krajowa złożyła apelację, trzeba będzie walczyć dalej.

Walczy tylko pani. Dlaczego pozostali prokuratorzy z Lex Super Omnia zesłani na te degradujące delegacje nie poszli do sądu?

– Jeden kolega wniósł sprawę, ale w pierwszej instancji przegrał. Gdy w 2016 r. zdegradowano 124 prokuratorów, było podobnie. Do sądu poszło zaledwie pięcioro z nas (moja sprawa trwa). Nie chcę nikogo oceniać, to decyzje indywidualne i zapewne uzasadnione określonymi okolicznościami. Osobiście uważam, że mimo negocjowania przez prokuratora krajowego naszego prawa do sądu oraz dużych emocji towarzyszących nam podczas rozpraw powinniśmy podejmować działania prawne.

Czy poczuwa się pani do popełnienia zarzucanych czynów?

– Nie przyznałam się, podczas przesłuchania złożyłam oświadczenie, wskazując, że Maciej Jaskulski, zastępca rzecznika dyscyplinarnego prokuratora generalnego, swoim zachowaniem i przedstawieniem mi absurdalnych zarzutów wpisuje się w stosowany wobec mnie mechanizm szykan i retorsji. Konstrukcja zarzutów opiera się na założeniu, że ja jako prezes stowarzyszenia mogłabym wypowiadać się publicznie tylko za zgodą prokuratora okręgowego dla Warszawy-Pragi. Gdybym się podporządkowała rozumowaniu



pana Jaskulskiego, nie uzyskałabym zgody na jakąkolwiek wypowiedź publiczną. To nonsens, bo nie zabieram głosu prywatnie, lecz w ramach legalnie działającego stowarzyszenia, do czego mam prawo. Pan Jaskulski zapomniał o konstytucyjnym prawie do wolności wypowiedzi i zrzeszania się, o rekomendacjach unijnych, dających prokuratorom prawo do udziału w debacie publicznej na tematy związane z wymiarem sprawiedliwości. Kierownictwo prokuratury chce mi zamknąć usta różnymi sposobami, ale na razie efektów nie ma żadnych. **Oskarżyciel nie neguje tych praw, ale zarzuca, że formułowała pani „bezpodstawne, negatywne oceny” prok. Jacka Skąta.**

– O prok. Skale pisaliśmy w naszych raportach. Z danych, które zebrało stowarzyszenie, wynikało, że pan Skąta, przewodniczący Związku Zawodowego Prokuratorów i Pracowników Prokuratury, będąc prokuratorem prokuratury rejonowej, zaraz po nastaniu tzw. dobrej zmiany, w 2016 r. został prokuratorem prokuratury okręgowej, a następnie w krótkim czasie, w trybie tzw. nagrodowym, czyli wyjątkowym,

otrzymał tytuł prokuratora prokuratury regionalnej. Dodatkowo od 2016 r. jest na delegacji w Prokuraturze Krajowej. Do tego należy dodać nagrody i inne benefity. To fakty ustalone oficjalnie. Na ich podstawie stwierdziłam, że pan Skąta poddał się korupcji instytucjonalnej. Zdania tego nie zmienię. Milczał w 2016 r., gdy zdegradowano 124 prokuratorów, nie podejmował żadnych działań w związku z karnymi delegacjami prokuratorów z naszego stowarzyszenia w zeszłym roku. Na etapie prac sejmowych nad aktualnie obowiązującą ustawą o prokuraturze akceptował rozwiązania, które ograniczały niezależność prokuratorów.

Miała też pani bezprawnie ujawnić informacje o delegacji do

Golubia-Dobrzynia.

– Kolejny absurd. Pan Jaskulski uznał, że ujawniając opinii publicznej pismo o delegacji do Prokuratury Rejonowej w Golubiu-Dobrzyniu, przekazałam informację o działalności prokuratury. Ten dokument znajduje się w moich aktach osobowych, dotyczy mnie i nie ma on nic wspólnego z funkcjonowaniem prokuratury. Nie jest także dokumentem niejawnym. Można go uzyskać na podstawie ustawy o dostępie do informacji publicznej. Trzeba mieć dużą wyobraźnię, żeby taki zarzut wymyślić.

Jakie wrażenia ma pani z pracy w Golubiu-Dobrzyniu?

– Lubię pracę w prokuraturze, jej dynamikę i pomoc ludziom w rozwiązywaniu ich problemów prawnych, ale i takich zwykłych ludzkich. A tych było wiele. W Golubiu-Dobrzyniu jest sporo niepracujących, daje się zauważyć problem alkoholowy. Wśród spraw, które mi przydzielono, dominowały sprawy rodzinne (znęcanie się), kradzieże sklepowe, kradzieże z włamaniem, oszustwa internetowe, były też sprawy narkotykowe. Prywatnie stworzyłam swój ▶

► świat książkowo-muzyczny, w którym funkcjonowałam. Miałam również więcej czasu na opracowywanie kolejnego raportu o polskiej prokuraturze. W prokuraturze w Golubiu-Dobrzyniu obowiązywała praktyka udziału prokuratora w każdym zgonie – a wbrew pozorom było ich sporo. Główna przyczyna to nadużywanie alkoholu, było dużo samobójstw. Poznałam małe wioski, zobaczyłam warunki, w jakich żyją niektórzy ludzie,

– Bezprawne naciski są w prokuraturze na porządku dziennym. Przybierają różne formy, nie zawsze prokuratorzy chcą o nich mówić. Aby im nie ulec, trzeba mieć mocny kręgosłup moralny, charakter i wiele odwagi. W styczniu tego roku kierownictwo warszawskiej prokuratury okręgowej próbowało wymusić na dwojgu prokuratorów sporządzenie skargi kasacyjnej w sprawie rzekomego znieważania pomnika smoleńskiego.

Konformizm stał się dla kierownictwa prokuratury oczekiwaną cechą prokuratora.

poznałam Polskę powiatową i jej zasady funkcjonowania. To duże życiowe doświadczenie.

Czy z punktu widzenia efektywności pracy prokuratorskiej był pożytek z pani delegowania?

– Będę wykonywała obowiązki na każdym szczeblu prokuratury, ale moja delegacja wpłynęła na wydłużenie czasu postępowań w Prokuraturze Okręgowej Warszawa-Praga. Po sześciu miesiącach sprawy gospodarcze, które prowadziłam, wróciły do mnie. Żadna przez ten czas nie została zakończona. Dla moich przełożonych bez znaczenia było konstytucyjne prawo obywatela do rozpoznania sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki. Ważniejsze od efektywnego i skutecznego prowadzenia śledztw stało się wymierzenie mi quasi-kary dyscyplinarnej.

Rok temu często mówiono o naciskach i represjach władzy wobec prokuratorów, dziś już o tym ciszej. Temat spowszedniał czy ograniczono szykany?

Wywierano na nich naciski, by zmienił zdanie, straszono karnymi delegacjami i innymi konsekwencjami. Takie zachowanie jest bezprawne, nie mówiąc o etyce zawodowej przełożonych dwójki prokuratorów. Odmówili, sprawę przekazano innemu prokuratorowi. To kolejny przykład na upolitycznienie prokuratury i instrumentalne traktowanie prokuratorów przez jej kierownictwo.

Dlaczego naciskano? Przecież zgodnie z obecną ustawą o prokuraturze prokurator wyższego stopnia może wydać podwładnemu oficjalne polecenie wniesienia kasacji.

– Przełożeni nie chcą wydawać poleceń na piśmie, szczególnie w sprawach, które budzą zainteresowanie opinii społecznej. Obawiają się, że w przyszłości mogą spotkać ich konsekwencje. Wybierają inne metody: zastraszanie, grożenie szykanami. Strach i obawa o własną przyszłość mają paraliżować zagwarantowaną ustawowo niezależność prokuratora, która stanowi największą wartość, pozwalającą zachować obiektywizm i dystans od czynnika politycznego. Generalnie w prokuraturze sprawy będące w zainteresowaniu kierownictwa przydzielane są prokuratorom, którzy nie protestują i firmują swoim nazwiskiem decyzje przełożonych. Konformizm stał się dla kierownictwa prokuratury oczekiwaną cechą prokuratora.

Kiedyś Rena Rolska śpiewała piosenkę „Złoty pierścionek” do słów Romana Sadowskiego, z muzyką Jerzego Wasowskiego. W piosence występuje kataryniarz i jego „papuga ze złotym dziobem”, która ciągnęła losy. Ostatnio w rolę losującej papugi wcieliła się pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska. Na oczach telewidzów losowała kandydatów do Izby Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego, która ma zastąpić Izbę Dyscyplinarną.

Nie będę nad tym się rozwodził; kto widział, sam oceni zachowanie pani prezes w czasie losowania, w tym jej z założenia zdaje się dowcipne uwagi o jajeczku z niespodzianką. Dla mnie było ono błaznowate i trudne do pogodzenia z powagą instytucji, jaką do niedawna był Sąd Najwyższy. Do niedawna.

Cała ta hucpa z zamianą Izby Dyscyplinarnej na Izbę Odpowiedzialności Zawodowej, którą, jak widać, nawet pani prezes wyczuwała podświadomie i nie była w stanie potraktować poważnie, nie powinna przestonąć rzeczywistego problemu związanego z odpowiedzialnością dyscyplinarną sędziów. Bo problem jest.

Nie słyszałem, aby opozycja miała jakiś pomysł na jego rozwiązanie. Poprzednio, zanim Ziobro zaczął demolować wymiar sprawiedliwości, sądem dyscyplinarnym dla sędziów był wskazany przez Sąd Najwyższy sąd apelacyjny, oczywiście z apelacji innej niż ta, do której należał obwiniony. Sprawy rozpoznawał skład trzyosobowy. Przewodniczącym tego składu sądu apelacyjnego musiał być sędzia sądu apelacyjnego z wydziału karnego. Drugą instancją dla orzeczeń sądu apelacyjnego, działającego jako sąd dyscyplinarny, był Sąd Najwyższy, Izba Karna. Te sądy decydowały o uchyleniu immunitetu, one też wymierzały sędziom kary za popełnione delikty dyscyplinarne.

Teraz, po Ziobrowych „reformach”, sądy dyscyplinarne są z nazwy „przy sądach apelacyjnych”, tyle że sąd apelacyjny udziela im tylko sali i obsługi biurowej. Sądzą sędziowie nominowani z różnych

Odszedł

Tadeusz Krassowski

Utalentowany, rzetelny i skromny człowiek.

Niepokorna osobowość.

Był z nami od czasów „Przeglądu Tygodniowego”.

Konsekwentnie trwał przy bliskich mu wartościach.

Wiele jeszcze mógł zrobić.

Żonie i Córce serdecznie współczujemy.

Jerzy Domański
i zespół „Przeglądu”

Andrzej Dryszel

Z Galicji



Jan Widacki

Prezes Sądu Najwyższego w roli papugi, z prawdziwym problemem w tle

sądów, przede wszystkim rejonowych i okręgowych. Drugą instancją dla ich orzeczeń była Izba Dyscyplinarna, teraz zastąpiona przez Izbę Odpowiedzialności Zawodowej, powołaną w składzie 11 sędziów przez prezydenta spośród 33 wylosowanych w ten mało poważny sposób. Dlaczego pan prezydent nie przewidział w swojej ustawie, że skoro już korzysta się z losowania, to wylosuje się spośród wszystkich sędziów od razu tych 11? Nie ma innego racjonalnego wyjaśnienia niż to, że o ostatecznym składzie izby chcą decydować politycy: prezydent i dokonujący kontrasygnaty jego decyzji premier. Z całą pewnością jest to trudne do pogodzenia z konstytucyjnym trójpodziałem władz.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że poprzednia struktura sądownictwa dyscyplinarnego dla sędziów była lepsza. Pozbawiona wpływu polityków, a kwalifikacje orzekających sędziów (z sądów apelacyjnych i Sądu Najwyższego) były wyższe niż późniejszych nominatów z sądów rejonowych czy okręgowych, nie mówiąc już o zbieraniu rozmaitych sędziów i prokuratorów z politycznej nominacji w Izbie Dyscyplinarnej. Ale to nie znaczy, że po zmianie władzy wystarczy przywrócić poprzedni system sądownictwa dyscyplinarnego sędziów.

Oczywiście od strony organizacyjnej należy przywrócić stan sprzed „reformy” (wyznaczony sąd apelacyjny jako sąd pierwszej instancji, Sąd Najwyższy jako druga instancja).

Poprawi to jakość orzecznictwa dyscyplinarnego i odsunie od niego polityków. Ale to nie wystarczy. W sprawach o uchylenie immunitetu ustawowo należy określić zakres kognicji sądu dyscyplinarnego. Immunitet ma sędziego chronić, aby poprzez próby wszczęcia postępowania karnego nie wpływać na jego niezawisłość, aby nie można go było w ten sposób szantażować lub mścić się na nim za niekorzystny dla prokuratury czy władzy wykonawczej wyrok. W sprawie o uchylenie immunitetu sąd dyscyplinarny powinien

Po pierwsze, taka praktyka narusza zasadę równości obywateli wobec prawa. Sędzia jest takim samym obywatelem jak każdy inny. Nie ma powodu ani ustawowego uzasadnienia, aby dowody zebrane jeszcze przez sąd dyscyplinarny, zanim zostanie do oceny sąd, który ma orzekać w sprawie. Taka dodatkowa kontrola materiału ze śledztwa nie jest prowadzona w sprawie każdego innego obywatela. Po drugie, rodzi to w społeczeństwie przekonanie, że sądy

Cała ta hucpa z zamianą Izby Dyscyplinarnej na Izbę Odpowiedzialności Zawodowej nie powinna przestronić problemu związanego z odpowiedzialnością dyscyplinarną sędziów.

zatem ograniczyć przedmiot swoich badań do tej wyłącznie kwestii: czy istnieje prawdopodobieństwo, że prokuratura chce sędziemu postawić zarzut, wystąpić o jego aresztowanie, w celu wywarcia na niego nacisku, zaszantażowania go, wyłączenia z orzekania, czy z zemsty za wydane orzeczenie.

Tymczasem praktyka i wypracowane przez lata orzecznictwo pozwalały sądom dyscyplinarnym przed powzięciem decyzji o uchyleniu immunitetu analizować i oceniać zebrany w śledztwie materiał dowodowy, orzekać o tym, czy oskarżenie jest zasadne, czy nie. Czyli faktycznie robić to, co powinien robić dopiero sąd powszechny rozpoznający wniesiony przez prokuraturę akt oskarżenia.

dyscyplinarne bronią sędziów na zasadzie koleżeńskej solidarności. Na takich przekonaniach łatwo zbudować wizję sędziowskiej „kasty” i później przy akceptacji społecznej z tą „kastą” walczyć.

Wydaje się, że krytykując (i słusznie!) „reformy” Ziobry, warto zainicjować jakąś szerszą dyskusję o prawdziwej reformie wymiaru sprawiedliwości, w tym o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów (ale i prokuratorów!), o zakresie immunitetu, o przedmiocie postępowania w sprawie uchylenia immunitetu. Nie wiem tylko, czy opozycja jest taką dyskusją zainteresowana. Na razie nic na to nie wskazuje.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak

Nowy wróg Jarosława Kaczyńskiego został zaprezentowany. Nie, tym razem nie chodzi o Tuska, to wróg drugiej kategorii, mniejszy. Teraz wrogiem największym PiS, czyli – jak mówi prezes – Polski, są Niemcy i Unia Europejska. Zresztą Niemcy, Unia, Berlin, Bruksela to w zasadzie w języku Kaczyńskiego to samo.

Tego wroga ogłosił w wywiadzie dla tygodnika braci Karnowskich „Sieci”, gdzie mówił: „Ustępstwa [wobec UE] nic nie dały, choć poszliśmy daleko, według mnie ryzykownie daleko. Trzeba uznać tę prawdę. (...) Nie mamy już gdzie się cofnąć. Wykazaliśmy maksimum dobrej woli, poszliśmy na kompromisy, ale wiadać, że nie o to tu chodzi”.

O co więc chodzi? Co Kaczyński sugeruje? Otóż Bruksela ma plan, by obalić polski rząd i ustanowić Donalda Tuska premierem. Miałby on Polskę rządzić jako niemiecki namiestnik. Jak Unia chce to przeprowadzić? Chce wymusić na Polsce... praworządność.

Spór o Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego toczy się od lat, prowadzone były w tej sprawie negocjacje z Ursulą von der Leyen, wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Były one o tyle dla Polski ważne, że odblokowywały unijne pieniądze dla Krajowego Planu Odbudowy, bagatela, dziesiątki miliardów euro. W zamian Morawiecki z Dudą zobowiązali się do przyjęcia nowej ustawy o Sądzie Najwyższym, która gwarantowałaby niezależność trzeciej władzy. Ale okazało się, że nowa ustawa o Sądzie Najwyższym jest sztuką, przemalowaniem szyldów, a nie realną zmianą. Unia zatem pieniędzy nie odblokowała. W PiS panuje przekonanie, że tych miliardów euro nie dostaniemy.

Oto więc pole bitwy, tak jak je rysuje Jarosław Kaczyński. Z jednej strony, jak mówi, jest Polska, która prowadzi niezależną, irytującą Berlin i Brukselę politykę. A z drugiej – Unia, która chce Polskę sobie podporządkować. Rękami Donalda Tuska. W tej opowieści to Unia jest dla Polski głównym wrogiem. I warto zrezygnować z miliardów euro, byle

Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy

Kaczyński próbuje być większym konfederatą niż Konfederacja i większym ziobrystą niż Ziobro

tylko nie ustąpić w sprawach sądów. Taką historię Kaczyński opowiada PiS. Aż się prosi zapytać, co mu się stało, że taką wojnę wybrał. Jest kilka odpowiedzi na to pytanie, zresztą wcale się nie wykluczają.

1. To jeszcze nie wojna, to sondowanie

Jest grupa obserwatorów, która uważa, że Kaczyński nie zamierza walczyć z Unią, że zależy mu na pieniądzach z KPO. Ale potrzebuje sztandaru, pod którym mógłby prowadzić kampanię wyborczą do przyszłorocznych wyborów. Dodajmy, bardzo dla PiS trudną. Będzie ona się toczyć w niewygodnej dla partii rządzącej sytuacji; inflacja, drożyzna, możliwe braki węgla i gazu – to wszystko uderzy w rząd. Kaczyński musi więc znaleźć punkt zwarcia, który działałby na wyborców tak silnie, aby sprawy bytowe znalazły się w jego cieniu, na drugim planie.

Kiedy obserwujemy poczynania prezesa z ostatnich tygodni, widzimy, że stara się on wrzucać różne sprawy do debaty publicznej i obserwuje reakcję. Tak było podczas niedawnego objazdu Polski, gdy atakował osoby LGBTQ+. To okazało się kulą w plot, tym razem wojna kulturowa nie chwyciła, puste portfele bolą bardziej. Kaczyński sięga zatem po inne tematy. Odgrzewa nastroje antyniemieckie, buduje narrację zagrożonej ojczyzny, zdrajców, którzy wraz z Niemcami ją atakują. Może to chwyci?

2. Bo prawica i Kościół nie chcą Unii

To przynajmniej chwyci na polskiej prawicy. Wystarczy poczytać

pisowskie media – od lat ich głównym przeciwnikiem jest Unia Europejska i ład społeczny przez nią wprowadzany. Jeżeli Rosja Putina nazywa Unię i USA „kolektywnym Zachodem”, to Polska PiS – Zachodem liberalnym i lewicowym. Albo zgniłym. Unia, jej koncepcja praw człowieka, praw kobiet, trójpodziału władzy – to wszystko jest dla polskiej prawicy obce i wrogie. Jej marzeniem byłby ustrój przypominający Hiszpanię gen. Franco. Czyli prawicowa dyktatura, współrządzająca przy poparciu Kościoła, bardzo restrykcyjna w sprawach społecznych. Posłuchajmy Czarńka, Ziobry, Legutki, poczytajmy pisowskie tygodniki – jaką niechęcią zieją wobec zachodniej Europy i zachodniego ładu.

Dorzućmy do tego postawę Kościoła. Można w ciemno zakładać, że dla biskupów i proboszczów Polska zbudowana na kształt frankistowskiej Hiszpanii byłaby idealnym ustrojem. Dla polskiego kleru Unia jest głównym wrogiem, to z jej powodu, uważają biskupi, pustoszeją kościoły. To z powodu Unii głowy podnoszą dziennikarze opisujący afery w Kościele. Racja stanu polskiego Kościoła jest więc prosta i zdefiniowana już na początku lat 90. przez wicepremiera Goryszewskiego: nieważne, czy Polska jest bogata, czy niepodległa, ważne, by była katolicka. Z pełnymi świętymi. Z punktu widzenia hierarchów wyprowadzenie Polski z Unii byłoby zatem dobre.

Te nastroje Kaczyński musi uwzględniać. Kościół jest dziś jednym z filarów jego władzy, szef PiS liczy na zaangażowanie kościelnej maszyny podczas wyborów. Musi też



W 2017 r. Jarosław Kaczyński spotkał się z Angelą Merkel w hotelu Bristol, teraz odgrzewa nastroje antyniemieckie.

brać w rachubę nastroje na prawicy. Coraz bardziej antydemokratyczne. A także coraz większe obawy, że jednak opozycja wygra wybory i nastąpi czas rewanżu.

3. Minąć Ziobrę i Konfederację z prawej strony

Dorzućmy do katalogu tych rachub Kaczyńskiego kolejny element. Atak na Niemcy jest dlań wygodny jeszcze z dwóch powodów. Po pierwsze, strach przed Niemcami mamy zakodowany w DNA, można rzec, wyssaliśmy go z mlekiem matki. Odgrzewając te fobie, Kaczyński politycznie nie traci. A jeżeli skutecznie je odbuduje, będzie miał polityczny wehikuł na lata. Po drugie, doskonale czuje sytuację na politycznym podwórku. A tu ma konkurencję, która mija PiS z prawej strony – Konfederację i Solidarną Polskę.

Oba ugrupowania budują się na krytyce Unii, straszeniu Niemcami i oskarżaniu Mateusza Morawieckiego o „miękość”. I są dla władzy Kaczyńskiego niebezpieczne. Konfederacja – dlatego że może liczyć na 5-6% poparcia, a nawet więcej, czyli może zabrać PiS głosy potrzebne do zdobycia większości. I zmarnować je – bo tak działa system D’Hondta. Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry poparciem wyborców raczej chwalić

się nie może, zawsze jest ono poniżej 1%. Ale ta formacja ma spore wpływy wewnątrz PiS, wzmacniają je zresztą dobre stosunki Ziobry z Beą Szydło.

Kaczyński nie ma siły, by Konfederację i ziobrystów pokonać w otwartym boju, tak jak pokonał Gowina. A jeśli chce być liderem na polskiej prawicy, musi to zrobić. Dlatego próbuje sposobem. Próbuje być większym konfederatą niż Konfa i większym ziobrystą niż Ziobro. I właśnie taki sposób – „na Niemca” – wpadł mu w ręce.

4. Władza na długie lata

Jest jeszcze jeden, bardzo poważny powód, który pcha Kaczyńskiego do wojny z Unią. Nazywa się władza. Zwróćmy uwagę na politykę PiS wobec Unii. W większości spraw, choćby w kwestii „zielonej transformacji”, jest ona raczej uległa, PiS idzie tu na różne kompromisy. Często bezsensowne i nieprzemyślane – jak w przypadku zamykania kopalń. Ale jest elastyczne. Natomiast w sprawie „reformy” wymiaru sprawiedliwości, w sprawie sędziów – nieprzejednane. Tu Kaczyński nie zamierza ustępować; zapowiedział w wywiadzie dla „Sieci”, że daje zielone światło kolejnej ustawie, tym razem absolutnie pozwalającej na kontrolę sędziów przez władzę.

Podporządkowanie sobie sędziów jest więc dla PiS najważniejsze. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie jest chyba prosta – kontrola sądów, czyli wyroków, domknęłaby projekt państwa autorytarnego, w którym rządzący władzy nie oddają. Bo zawsze mogą gnębić przeciwników procesami, wyrokami i zawsze mogą zakwestionować wynik wyborczy.

PiS miałoby więc rządzić długie lata? W gronie działaczy, którzy żyją ze spółek skarbu państwa, z różnych fundacji – i nigdy lepiej żyć nie będą – to marzenie. Dla nich, a są to dziesiątki, może i setki tysięcy ludzi, perspektywa utraty władzy jest zapowiedzią społecznej degradacji. Może nawet stawiania w stan oskarżenia. Są więc gotowi na wszystko, byle było, tak jak jest.

5. Mł Kaczyńskiego

Gra kartą antyunijną i antyniemiecką jest dla Kaczyńskiego wygodna także dlatego, że buduje mu polityczną przeszłość. Gdyby PiS przegrało wybory jako ugrupowanie, które źle rządziło, wpełchnęło Polskę w inflację i drożyznę, rozkradało kraj – a taka jest narracja Tuska – byłaby to klęska ostateczna. W stylu AWS z 2001 r. i SLD z 2005 r. Tej sytuacji Kaczyński za wszelką cenę chce uniknąć. Dlatego buduje własną narrację, która przypominałaby „noc tęcze” Jana Olszewskiego. Olszewski 4 czerwca 1992 r. stracił władzę, ale odszedł z pewną legendą. Czyja Polska? – pytał. Agentów SB, których chciał ujawnić, czy patriotów, którzy byli za prawdą i niepodległością? Jeżeli tak zarysujemy podział polityczny, wówczas nawet utrata władzy jest chwilowa.

A taki podział buduje Kaczyński. Z jednej strony, jest on, walczący o niezależność Polski, o jej wielkość. Z drugiej – jest Donald Tusk, który w roli namiestnika Berlina chce zaprząć Polskę do niemieckiego rydwanu. Patriotci kontra zdrajcy!

Jeżeli w takiej atmosferze PiS musiałoby oddać władzę, nie byłaby to klęska, lecz chwilowy odwrót. Tak oto Kaczyński znalazł poręczne narzędzie polityczne. I właśnie nim wymachuje.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rośnie liczba zakażeń odrą

To pokłosie pandemii koronawirusa, ale niepokojący trend zaczął się już wcześniej

Anna Stachowiak

Kiedy w maju prof. Andrzej Fal, prezes Polskiego Towarzystwa Zdrowia Publicznego, powiedział w jednym z wywiadów, że straciliśmy w Polsce odporność zbiorową na odrę, media zaczęły bić na alarm. To fakt, tyle że nie stało się to z dnia na dzień. Przy odrze bezpieczną granicą jest 95% – przy takim wyszczepieniu populacji nabywa ona odporność zbiorową. W Polsce już w 2017 r. wyszczepialność spadła poniżej tego poziomu. Ponieważ jednak ostatnie dwa i pół roku świat – i służbę zdrowia – toczyła pandemia, innym chorobom – nawet, jak w przypadku odrę, bardzo zaraźliwym i niebezpiecznym zwłaszcza dla dzieci – nie poświęcano tyle uwagi, co covidowi.

Na początku 2022 r. liczba przypadków odrę na świecie wzrosła aż o 79%. W styczniu i lutym zgłoszono 17 338 przypadków odrę. W analogicznym okresie 2021 r. zachorowań było 9665. Jak wskazywały zarówno UNICEF, jak i Światowa Organizacja Zdrowia, powodem wzrostu liczby zachorowań były łagodzenie lub znoszenie obostrzeń związanych z pandemią koronawirusa oraz migracje ludności – chodzi o masowe przemieszczanie się ludzi wywołane zarówno konfliktami, np. w Afganistanie, Etiopii, Somalii czy Ukrainie, jak i kryzysem klimatycznym. Ale nie tylko – na całym świecie eksperci bili na alarm, że w pandemii zaczęła spadać liczba szczepień na choroby zakaźne. Dostęp do lekarzy był utrudniony, a miliony osób korzystały (i wciąż korzystają) z teleporad. Swoje zrobił też strach przed zakażeniem – ludzie zostawali w domach, przy okazji zaniedbując badania profilaktyczne, a w przypadku małych dzieci bilansy

roczne i szczepienia. Odra jest bardzo zaraźliwa, więc zachorowania pojawiają się błyskawicznie, kiedy spada wyszczepialność. To nie wszystko, bo odra – sama w sobie bardzo niebezpieczna, szczególnie dla małych dzieci – znacząco osłabia system odpornościowy, sprawiając, że osoba po przebytej odrze jest bardziej podatna na inne choroby zakaźne.

Podczas gdy na świecie procentowy wzrost jest ogromny, w Polsce zanotowano w 2022 r. dziewięć przypadków. Jasne, to niewiele, tyle że rok wcześniej było ich pięć.

„W czasie pandemii mniej chorowaliśmy na choroby infekcyjne układu oddechowego, ale nie tylko”, zwracał uwagę prof. Fal. Dodał, że przykładem jest właśnie odra, której występowanie w okresie pandemii „znacząco spadło”. To z powodu wprowadzonych obostrzeń: obowiązku noszenia maseczek, dystansu społecznego i zasad izolacji.

Odra stanowi zagrożenie dla najmłodszych, a jej przebieg jest u nich wyjątkowo ciężki.

Z danych WHO z kwietnia br. wynika, że w ostatnim roku na świecie pojawiło się 21 epidemii odrę, większość w Afryce i w regionie wschodniośrodkowym. Agencje zajmujące się monitoringiem, w tym WHO, podkreślają, że te szacunki prawdopodobnie są zaniżone, bo pandemia COVID-19 sprawiła, że nie wszystkie zakażenia trafiały do ewidencji poszczególnych krajów. To – znowu – wina przeciążonych systemów nadzoru.

Najważniejsza kwestia dotyczy jednak szczepień. Już przed pandemią widać było wyraźną tendencję zniżkową. A tak naprawdę panował trend wzrostowy w zakresie odmów

szczepień. Z danych Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH wynika, że coraz więcej rodziców odmawia szczepienia dzieci. W 2010 r. takich odmów było 3437, sześć lat później – już 23 147, w 2019 r. – 48 609, a w 2020 r. liczba ta przekroczyła 50 tys. (dokładnie 50 575). Procent zaszczepionych, przy którym populacja nabiera odporności zbiorowej, różni się w zależności od choroby. W przypadku odrę, która ma wysoki współczynnik reprodukcji (czyli jest bardzo zaraźliwa), powinien wynosić, jak wspominałam, ok. 95%. Obecnie wynosi ok. 92%. Oznacza to, że nie można już mówić o odporności zbiorowej. Znowu: z danych Państwowego Zakładu Higieny wynika, że procent dzieci zaszczepionych podstawową dawką MMR, czyli skojarzonej szczepionki przeciw odrze, śwince i różyczce, spadł poniżej bezpiecznej granicy 95% już w 2017 r.

To trend obserwowany na całym świecie. Dlatego WHO i Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (UNICEF) napisały, że „pandemia koronawirusa przerwała kampanię szczepień przeciwko chorobom innym niż COVID-19 na całym świecie”. Taka sytuacja stwarza ryzyko dużych wzrostów zakażeń chorobami zakaźnymi, narażając zdrowie i życie dzieci.

Odra, mówił w jednym z wywiadów Christopher Gregory, ekspert UNICEF w sprawach szczepień, jest nazywana „kanarkiem w kopalni węgla”. Czyli jest swoistym wskaźnikiem tego, gdzie znajdują się słabe punkty w systemie immunologicznym. Podobnie postrzegana jest żółta febra.



„Najbardziej martwią nas niestabilne kraje, w których systemy opieki zdrowotnej borykają się z poważnymi problemami i w których wciąż odczuwane są skutki kolejnych szczytów zachorowań na COVID-19”, wyjaśniał. Wskazywał m.in. Somalię, gdzie odnotowano 9 tys. przypadków odry, Jemen, Nigerię, Etiopię i Afganistan.

W przypadku Europy mowa o Ukrainie, gdzie od lutego trwa wojna destabilizująca kraj na każdej płaszczyźnie i gdzie już wcześniej, w latach 2017-2019, zanotowano najwięcej zachorowań na odrę w Europie. W 2018 r. w 41-milionowej populacji stwierdzono ponad 53 tys. przypadków odry, co oznacza, że chorowało ponad 125 osób na 100 tys. mieszkańców. To bardzo dużo, taka zapadalność na odrę dała Ukrainie w 2018 i 2019 r. drugie miejsce na świecie pod względem liczby zachorowań. W 2016 r. zaledwie połowa dzieci, czyli 46% populacji, została zaszczepiona przeciw odrze. Obecnie poziom wyszczepienia jest wyższy, ale nadal nie osiągnięto progu 95%.

W 2020 r. 23 mln dzieci na świecie nie zostało zaszczepionych przeciwko odrze. Ta ogromna liczba to właśnie pokłosie pandemii i przeciążeń systemów opieki zdrowotnej oraz zaniedbań. Pandemia do tej pory kosztowała życie ponad 6 mln

ludzi, może jednak się okazać, że jej koszt będzie jeszcze wyższy – od marca 2020 r. w ponad 40 krajach na świecie zatrzymano lub przełożono programy szczepień. W sumie wstrzymanych lub przełożonych zostało 57 takich kampanii. Jak podaje ONZ, mowa tu o 203 mln ludzi, którzy mogą być narażeni na potencjalne konsekwencje.

Coraz więcej rodziców odmawia szczepienia dzieci.

„Wpływ tych zakłóceń na programy szczepień będzie odczuwalny przez dziesięciolecia”, ostrzegał szef WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus, zaznaczając, że „nadszedł czas, aby przywrócić niezbędne szczepienia i rozpocząć kampanie nadrobienia zaległości”. Wszystko po to, by „każdy miał dostęp do tych ratujących życie szczepionek”. Z kolei cytowany już Christopher Gregory z UNICEF wprost mówi o tym, że „szczepienia dla dzieci muszą być traktowane przynajmniej tak samo priorytetowo jak przeciw koronawirusowi”.

Podczas gdy COVID-19 jest niebezpieczny zwłaszcza dla osób w podeszłym wieku i tych, które cierpią na choroby współistniejące – choć, jak podkreślają epidemiolodzy i lekarze, wirus bardzo się zmienił od początku pandemii – odra stanowi zagrożenie

dla najmłodszych. Tę zakaźną chorobę dróg oddechowych wywołuje wirus z rodziny paramyksowirusów, a przebieg u dzieci jest wyjątkowo ciężki. Na ciele pojawia się wysypka, towarzyszą jej objawy charakterystyczne dla innych infekcji (także tych grypopodobnych): kaszel, katar, gorączka. Groźne są powikłania, do których należą bakteryjne zapalenie płuc, zapalenie ucha środkowego i krtani oraz biegunka, drgawki, w niektórych przypadkach ślepota. Do poinfekcyjnego zapalenia mózgu dochodzi w jednym przypadku na 1-2 tys., a podostre stwardniające zapalenie mózgu (SSPE) dotyczy jednego przypadku na 100 tys. Śmiertelne przypadki spowodowane są głównie komplikacjami po infekcji bakteryjnej; zapalenie płuc odpowiada za sześć z dziesięciu zgonów związanych z odrą. Liczba przypadków śmiertelnych wynosi od jednego do trzech na 1 tys., najwyższa jest u dzieci do piątego roku życia i u osób z obniżoną odpornością. Dane na stronach rządu pokrywają się z tymi podawanymi przez WHO i UNICEF: globalnie odra pozostaje główną przyczyną zgonów dzieci, ok. 160 tys. umiera każdego roku z powodu powikłań.

Co istotne, kryzys związany z odrą pojawił się jeszcze przed pandemią koronawirusa. Jak mówiła Henrietta Fore, dyrektorka wykonawcza UNICEF, „zanim doszło do kryzysu związanego z koronawirusem, świat borykał się z kryzysem odry i to się nie zmieniło”. Nawet mając na uwadze to, że systemy opieki zdrowotnej są obciążone pandemią COVID-19, „nie można pozwolić, by nasza walka z jedną śmiertelną chorobą odbywała się kosztem walki z inną niebezpieczną chorobą zakaźną”. Działać trzeba szybko, bo dane są zatrważające. Jak pokazuje analiza WHO i Centers for Disease Control and Prevention (CDC), już w 2019 r. liczba zachorowań na odrę w regionach monitorowanych przez WHO wzrosła do ponad 860 tys. przypadków; to najwięcej od 1996 r. ■

Świat bez mikroprocesorów nie istnieje

Na Tajwanie i w Holandii są firmy, które kształtują naszą cywilizację

Marek Czarkowski

Współczesny świat bez mikroprocesorów nie istnieje. Znajdujemy je w pralkach, lodówkach, kuchenkach mikrofalowych, telewizorach, aparatach fotograficznych, komputerach osobistych, smartfonach, tabletach, samochodach, nowoczesnym uzbrojeniu. W niemal każdym urządzeniu, z którego korzystamy na co dzień. Zapewniają sprawne działanie internetu, sztucznej inteligencji, sieci telefonii komórkowej, łączności satelitarnej, telewizji, handlu elektronicznego, szpitali, usług bankowych. W przyszłości będą odpowiedzialne za sprawne działanie pojazdów autonomicznych oraz internetu rzeczy.

Pandemia COVID-19 spowodowała zerwanie łańcuchów dostaw układów scalonych, w tym mikroprocesorów, co oznaczało ograniczenie produkcji najpierw przez największe koncerny samochodowe, a następnie fabryki produkujące urządzenia AGD. Na rynek trafiło też mniej komputerów osobistych, laptopów i urządzeń zapewniających sprawne działanie internetu. Wojna w Ukrainie oraz rosnące napięcie wokół Tajwanu uświadomiły zachodnim politykom, wojskowym i przedsiębiorcom, że jeśli Chiny zaatakowałyby wyspę, najbogatsze i najbardziej rozwinięte gospodarki świata pogrążyłyby się w niewyobrażalnym kryzysie. Dlaczego? Bo Tajwan jest światowym potentatem w produkcji układów scalonych, w tym najbardziej zaawansowanych mikroprocesorów montowanych w niemal każdym smartfonie, laptopie, komputerze osobistym, serwerze itp.

Na wyspie ma siedzibę i największe zakłady produkcyjne spółka TSMC (Taiwan Semiconductor Manufacturing Company),



Sukces Tajwanu nie byłby możliwy bez współpracy z holenderskim ASML Holding N.V.

najważniejsza na świecie firma produkująca mikroprocesory dla amerykańskich, chińskich i europejskich koncernów elektronicznych. Jej centrala znajduje się w mieście Xinzhu, a w fabrykach i laboratoriach należących do TSMC zatrudnionych jest ponad 50 tys. pracowników.

Najbardziej spektakularnym przykładem współpracy Tajwańczyków z innym wielkim koncernem jest produkcja na zlecenie Apple'a zaprojektowanych przez Amerykanów procesorów Apple M1 i M2, które są sercem laptopów i komputerów produkowanych przez giganta z Cupertino. Wykonany w technologii 5 nanometrów procesor Apple M1 Ultra składa się ze 114 mld tranzystorów i wykonuje do 22 bln operacji na sekundę. To najpotężniejszy układ montowany w komputerach osobistych.

Wśród firm, które powierzyły TSMC produkcję procesorów, są:

Nvidia Corporation – jeden z największych na świecie producentów procesorów graficznych; AMD – główny konkurent Intela, producent procesorów do komputerów osobistych i serwerów; VIA Technologies – produkujący układy scalone do płyt głównych komputerów osobistych, układy graficzne oraz mikroprocesory o niskim zużyciu energii; Qualcomm – producent mikroprocesorów Snapdragon stosowanych w smartfonach.

Lecz TSMC oraz kilku innych producentów nie mogłoby funkcjonować bez holenderskiej spółki ASML Holding N.V. z siedzibą w Veldhoven. Produkuje ona najnowsze urządzenia do fotolitografii, dzięki którym możliwa jest produkcja nowoczesnych mikroprocesorów oraz innych układów scalonych. Holding zatrudnia ponad 30 tys. pracowników. Współpracuje z 4,6 tys. firm na całym świecie

i kontroluje ok. 70% rynku tych urządzeń. Najwięksi konkurenci Holendrów to Cannon, Nikon oraz Ultratech. Obecnie ASML produkuje urządzenia do fotolitografii w ekstremalnym ultrafiolecie (EUV). Jest też właścicielem licznych patentów, które zapewniają Holendrom co najmniej dziesięcioletnią przewagę nad konkurencją.

Zniszczenie w wyniku działań wojennych zakładów TSMC na Tajwanie cofnęłoby cywilizację o 30-40 lat. Ten sam efekt można osiągnąć, niszcząc zakłady ASML w Veldhoven.

Zaczęło się od miski ryżu

Po II wojnie światowej mieszkańcy Tajwanu – jak trafnie zauważył premier Mateusz Morawiecki – „zapiędalali za miskę ryżu”. Kraj rządzony twardą ręką przez przywódcę Kuomintangu, marszałka Czang Kaj-szeka, miał charakter rolniczy i był biedny. Zmieniło się to po śmierci Czanga w 1975 r. Trzy lata później premierem Tajwanu został Sun Yun-suan, uważany za ojca tajwańskiego cudu gospodarczego. Rozumiał, że

zbudować „krzemowy mur” broniący przed zakusami potężnego sąsiada.

Jedną z pierwszych innowacyjnych firm powstałych na Tajwanie była założona w 1974 r. Foxconn Group, specjalizująca się w produkcji płyt głównych do komputerów. Prawdziwy bum, który odmienił wyspę, przypada na lata 80. W 1986 r. powstała spółka Micro-Star International, bardziej znana pod marką MSI. Jej specjalnością są dziś płyty główne do komputerów osobistych oraz karty graficzne. Istniejąca od 1989 r. firma ASUSTeK Computer Inc. sprzedaje laptopy, płyty główne i karty graficzne pod marką ASUS. Najważniejszą zaś, wspomnianą już TSMC, założył 21 lutego 1987 r. urodzony w Chinach, a wykształcony w USA dr Morris Chang. W 1953 r. ukończył on Massachusetts Institute of Technology, a w 1961 r. uzyskał doktorat na Uniwersytecie Stanforda. Przez ponad 20 lat pracował w koncernie Texas Instruments, dochodząc do stanowiska wiceprezesa. W 1985 r. został prezesem amerykańskiej spółki General Instrument.

Na Tajwan ściągnął go premier Sun Yun-suan, oferując stanowisko

Ale jej sukces nie byłby możliwy bez współpracy z holenderskim ASML Holding N.V.

Tajemniczy gigant

Spółka ASML została założona w 1984 r. przez dwie holenderskie firmy – Philips i Advanced Semiconductor Materials International. Zatrudniała 17 pracowników, a zarejestrowano ją pod nazwą ASM Lithography. Zespół ten miał zbudować urządzenie, które, wykorzystując znaną drukarzom technikę litografii, „drukowałoby” na płytkach krzemów układy scalone. Lata 80. to czas rozwoju komputerów osobistych, które przebojem zdobywały rynek. Zapotrzebowanie na coraz bardziej zaawansowane układy i mikroprocesory rosło niemal w postępie geometrycznym. W 1986 r. zespół liczył już 200 inżynierów. Zbudowali oni i wprowadzili na rynek urządzenie do fotolitografii o nazwie PAS 2500, które zrewolucjonizowało produkcję układów scalonych. Było niezawodne, precyzyjne i bardziej wydajne od produktów konkurencji.

Jako pierwsi z nowych możliwości skorzystali Tajwańczycy z TSMC oraz amerykańska spółka Micron Technology. Dzięki produkowanym przez Holendrów urządzeniom układy scalone, które opuszczały ich fabryki, były tańsze i lepsze od oferowanych przez konkurencję. Dziś obie firmy należą do wiodących – TSMC jako producent mikroprocesorów, a Micron Technology jako producent pamięci półprzewodnikowych.

Rosła też pozycja spółki ASML. Dzięki współpracy z zachodniemieckim producentem optyki, firmą Carl Zeiss, ich kolejne urządzenia do „drukowania” mikroprocesorów, wykorzystujące światło lasera, pozwalały uzyskać większą rozdzielczość i na cieniutkiej płycie krzemu można było upakować więcej tranzystorów. Rosła moc obliczeniowa nowych układów, a komputery osobiste stawały się coraz bardziej wydajne. Postęp był niewyobrażalny. Pierwszy mikroprocesor wyprodukowany w 1971 r. przez Intela miał 2,3 tys. tranzystorów. ▶

Tajwan jest światowym potentatem w produkcji układów scalonych, w tym najbardziej zaawansowanych mikroprocesorów.

jeśli państwo nie będzie miało nowoczesnej gospodarki, padnie łupem Chin, rosnących w siłę po śmierci Mao Zedonga. Kierowany przez niego gabinet rozpoczął inwestycje w infrastrukturę, walczył z inflacją i wspierał rozwój przemysłu. Premier osobiście namawiał Chińczyków pracujących w Stanach Zjednoczonych, by otwierali swoje firmy na Tajwanie. Wkrótce na wyspie wyrosły przedsiębiorstwa produkujące komponenty dla amerykańskich spółek, głównie komputerowych.

Dziś wyspa jest potęgą w dziedzinie mikroelektroniki i ważnym dla całego świata dostawcą najnowocześniejszych układów scalonych, bez których nasza cywilizacja nie może się obejść. Taki jest efekt polityki premiera Sun Yun-suana, który

przewodniczącego i prezesa Industrial Technology Research Institute – sponsorowanej przez rząd organizacji non profit, która zajmowała się promocją i rozwojem przemysłu oraz nowoczesnych technologii. Dwa lata później dr Chang założył TSMC, która szybko stała się dochodowym producentem układów scalonych. W 2005 r. przekazał stanowisko Rickowi Tsaiowi, który także zdobył doświadczenie w USA, w koncernie Hewlett-Packard, i miał doktorat Uniwersytetu Cornella. Cztery lata później Morris Chang wrócił na fotel prezesa, by w 2018 r. przejść na emeryturę. Założona przez niego firma była wtedy największym i najnowocześniejszym na świecie producentem mikroprocesorów.

► W roku 1997 spółka wprowadziła na rynek mikroprocesor Pentium II z 7,5 mln tranzystorów. A w roku 2019 r. tajwańska firma TSMC na zlecenie koncernu AMD wyprodukowała procesor EPYC zawierający 39,5 mld procesorów.

Sukces ten był możliwy dzięki opanowaniu przez Holendrów technologii fotolitografii wykorzystującej ekstremalny ultrafiolet – EUV. W tym procesie zamiast szklanych soczewek wykorzystuje się specjalnie wykonane lustra. Precyzję tych urządzeń porównuje się do strzelca, który z Ziemi może trafić główkę od szpilki na powierzchni Księżyca.

Opracowanie technologii EUV zajęło naukowcom i inżynierom ponad 20 lat. Dzięki niej mamy procesory produkowane w technologii 7 nanometrów. W roku bieżącym mają się pojawić procesory Ryzen firmy AMD produkowane na Tajwanie w technologii 5 nanometrów.

W bardzo trudnej sytuacji znalazła się Rosja, z dnia na dzień odcięta od dostaw nowoczesnych układów scalonych.

Ostatnio Intel zapowiedział, że także jego procesory 14. generacji będą produkowane w tej technologii. Oczywiście przez TSMC na urządzeniach holenderskiej kompanii ASLM. Najdalej posunął się koncern IBM. W maju 2021 r. ogłosił, że jego inżynierowie pokonali kolejną barierę – jako pierwsi wyprodukowali układ scalony w technologii 2 nanometrów. Jednak do uruchomienia produkcji na skalę przemysłową jest jeszcze daleko. Nad podobnymi rozwiązaniami od dawna pracują Holendrzy. Chodzi o wykorzystanie w litografii promieni Roentgena, co pozwoliłoby na produkcję mikroprocesorów w technologii 0,1 nanometra.

Wojny krzemowe

W latach 50. i 60. prymat Amerykanów w produkcji układów scalonych był niepodważalny. Pierwszy tranzystor półprzewodnikowy został skonstruowany w 1947 r. w Bell Laboratories. Pierwszy mikroprocesor,

Intel 4004, to także dzieło amerykańskich inżynierów. Do lat 90. amerykańskie fabryki uchodziły za najnowocześniejsze. A potem pojawiła się konkurencja, która wyparła je z rynku. Produkcja mikroprocesorów i układów scalonych stała się domeną Tajwanu, Korei Południowej, a ostatnio również Chińczyków z kontynentu. Amerykańskie spółki zajmują się dziś projektowaniem nowych układów. Wyjątki są dwa – Intel i Samsung. Te firmy same projektują i wytwarzają większość swoich mikroprocesorów.

Przez ostatnie 20 lat system ten działał idealnie. Wszystko zmieniła pandemia COVID-19. Z jej powodu na Dalekim Wschodzie czasowo ograniczono produkcję układów scalonych. Pierwsze odczuły to koncerny motoryzacyjne, które z powodu braku układów elektronicznych musiały wstrzymać produkcję samochodów. Potem przyszła kolej

na producentów komputerów, telewizorów, konsoli do gier i innej elektroniki użytkowej. Stany Zjednoczone oraz najbardziej rozwinięte kraje europejskie zrozumiały, jak groźne dla ich gospodarek jest uzależnienie od Azji w dziedzinie mikroelektroniki. W 2020 r. administracja amerykańska podjęła starania, by w USA powstały nowoczesne fabryki procesorów. Inwestorom obiecano wsparcie liczne w setkach miliardów dolarów. Na pewno Intel będzie chciał sięgnąć po część tych środków. Także TSMC planuje inwestycje w Stanach.

W połowie lutego 2021 r. francuski minister finansów zasugerował, że istnieje plan budowy europejskiej fabryki mikroprocesorów, która miałaby powstać dzięki zaangażowaniu światowych liderów tego sektora, czyli TSMC i Samsung Electronics Co. Sfinansowaniem budowy podobnej fabryki zainteresowany jest koncern Volkswagen. Jako producent samochodów potrzebuje niezakłóconych dostaw układów scalonych, którymi naszpikowane są nowoczesne

pojazdy, zwłaszcza elektryczne. Na początku sierpnia br. z kolei włoski rząd ogłosił, że w 40% pokryje koszt budowy nowej fabryki Intela na terenie Piemontu lub prowincji Veneto. Wartość inwestycji szacowana jest na 5 mld dol.

To część wartych 88 mld dol. europejskich planów inwestycyjnych Intela, który chce wybudować nowe zakłady w Irlandii, w Niemczech, we Francji i we Włoszech. Berlin zapowiedział, że przyzna mu 7,3 mld dol. na budowę wartą 19 mld dol. fabryki w Magdeburgu. Z pewnością inne kraje będą równie hojne.

Za to w bardzo trudnej sytuacji znalazła się Rosja. Sankcje w reakcji na wojnę w Ukrainie spowodowały, że z dnia na dzień została odcięta od dostaw nowoczesnych układów scalonych. W ostatnich latach Rosjanie zaprojektowali dwa rodzime mikroprocesory, Elbrus i Bajkał, z wykorzystaniem których można produkować komputery osobiste i serwery. Ich wytwarzaniem zajmowała się tajwańska spółka TSMC. Gdy sankcje weszły w życie, przerwała produkcję i Moskwa została z niczym.

Obecnie w Rosji nie ma ani jednej fabryki zdolnej produkować układy scalone o możliwościach choć zbliżonych do tych, jakimi dysponuje Zachód. Kilka lat temu Rosjanie gotowi byli kupić w Holandii urządzenia do fotolitografii produkowane przez ASML, lecz im odmówiono. Dziś, bez względu na oferowaną kwotę, nikt im ich nie sprzeda. Pozostaje przemysł i tzw. import równoległy, co będzie bardzo drogo kosztowało. A bez najnowocześniejszej mikroelektroniki pod znakiem zapytania stanie zdolność rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego do produkcji nowoczesnego uzbrojenia. Ten rodzaj sankcji jest i będzie dla Kremla najdotkliwszy.

Polska w mikroelektronice się nie liczy. Niczego nie produkuje, nie ma też planów budowy fabryk wytwarzających nowoczesne układy scalone. Nie dziwny się. W gospodarce opartej na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych z powodzeniem można wytwarzać jedynie onuce.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Mój dług

O d lat chcę o niej napisać. A przypominałem to sobie w ostatnich miesiącach, najpierw po rozmowie z nią opublikowanej w „Zdaniu”, potem po podobnej rozmowie, ogłoszonej w PRZEGŁADZIE. Czas wreszcie spłacić dług, jaki mam wobec Barbary Labudy.

Poznałem ją w lipcu 1990 r., na zjeździe założycielskim ROAD (Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna). Rok później oboje zasiedliśmy w Radzie Krajowej Unii Demokratycznej (UD), następczyni ROAD. W obu tych ugrupowaniach funkcjonowałem jako redaktor katolickiego „Tygodnika Powszechnego”, ale z Labudą – czołową antyklerykałką naszego środowiska – rozumiałem się doskonale. I nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mój szef, redaktor naczelny „Tygodnika”, Jerzy Turowicz (skądinąd także członek ROAD i UD), który przed wyborami prezydenckimi z 1995 r. publicznie poparł Jacka Kuronia, raz tylko bąknął coś publicznie o Labudzie, ale nigdy jej nie zaatakował. A w moich rozmowach z nestorem Znak, Stanisławem Stomą, nie tylko nie dosłuchałem się niechęci, lecz wręcz wyczułem dla Labudy rodzaj uznania i sympatii. Natomiast katolicy prawicowi atakowali Labudę na każdym kroku. „Labuda! Do budy!” – tak brzmiała jedna z ich (uprzejmiejszych) inwektyw. Nie pomyśleli, że obrażają w ten sposób także jednego z największych polskich historyków, prof. Gerarda Labudę, jej teścia.

Piszę „Labuda”, ale myślę „Basia”, bo tak do niej zawsze się zwracałem. Nie wiem, czy mam prawo tak mówić w dalszym ciągu, skoro wtedy widywałem ją wyłącznie na posiedzeniach Rady Krajowej, a dziś, od lat ponad 20, nie mam z nią żadnego kontaktu. Powiem mimo wszystko „Basia” i wytłumaczę, w czym była mi bliska: w prostolinijności. A także w otwartości, braku „kombatanctwa”, niezgodzie na polityczne rozliczenia. Cechy te były wtedy ogólnie przyjętą postawą unitów, ale większość z nich nie akceptowała Labudowego antyklerykalizmu. Pamiętam na którejś Radzie Krajowej emocjonalne wystąpienie Aleksandra Smolara, podkreślającego, że każdy, kto wstępuje do partii, musi zrezygnować z jakiejś części osobistej wolności, że swoimi osobistymi poglądami nie może obciążać całego ugrupowania. „Zastanawiam się, czy jest jeszcze dla mnie w Unii miejsce”, zapytywała rozgoryczona Labuda. „Jest, Basiu!”, wykrzyknął jej Kuroń. On też chyba zaczynał już się bać kierunku, w którym zmierzamy.

Rację w sporze przyznawałem Alikowi. Z zakorzenionym we mnie działaniem „jednolitofrontowym”, z poczuciem partyjnej dyscypliny, ale także z moim garbem

katolickim, nie uważałem, bym akurat ja powinien brać Basię w obronę. A przecież już wówczas nie mogłem pozbyć się przekonania, że dotyka ona czegoś ogromnie istotnego, że ostrzega przed autentycznym niebezpieczeństwem, że patrzy dalej niż – poza jednym Kuroniem – my wszyscy. Tymczasem zmagania Basi skończyły się i tak już w roku 1995, bo wtedy rzeczywiście rozstała się z Unią Demokratyczną. A zaraz potem, przed drugą turą wyborów prezydenckich, poparła publicznie Aleksandra Kwaśniewskiego. Kolejną osobą z dawnej Solidarności, która zdecydowała się już wtedy na taki krok, był Andrzej Drawicz. Z obojgiem, wbrew własnemu środowisku, utrzymałem przyjazny kontakt. Co zresztą nie było trudne, skoro po paru latach sam wystąpiłem z Unii (wtedy już Unii Wolności), a trochę później także z redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Mój dług to przeprosiny. Bo nie znalazłem w sobie na tyle determinacji, by stanąć wbrew większości kolegów u boku Barbary Labudy.

W tym czasie widziałem się z Basią już tylko raz. Przyjechała do Krakowa jako minister prezydenta, by w jego imieniu objąć patronat nad naszą uniwersytecką serią „Biblioteka Literatury Pogranicza”. Przywitaliśmy się jak zawsze serdecznie i jakiś czas rozmawialiśmy. Razem uznaliśmy, że teraz mamy już tylko jedno środowisko: „Gazetę Wyborczą”. Ale potem straciłem Basię z oczu, choć słyszałem o kolejnych polach jej aktywności i oczywiście wiedziałem, że została ambasadorem RP w Luksemburgu. Widziałem też jednak, że przestała zajmować się Kościołem. Może uznała, że nie sposób kopać się z koniem. A koń – jaki jest, każdy już teraz widzi.

Tymczasem w obu wspomnianych wywiadach Basia mówi o Kościele zupełnie wyraźnie. A jej rozmówcy raz jeszcze uświadamiają, że ona pierwsza biła na alarm. Jeżeli w tamtym czasie szokowały jej sformułowania typu „fiksacje seksualne kleru”, to dziś jakże są one łagodne, jak oczywiste. Za swoją prostolinijność Basia zapłaciła wysoką cenę, ale dziś może mieć smutną satysfakcję: przewidziała wszystko. A zatem mój dług – to przeprosiny. Bo będąc członkiem Rady Krajowej Unii Demokratycznej, nie znalazłem w sobie na tyle przekonania i determinacji, by stanąć otwarcie, wbrew większości kolegów, u jej boku.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Wzlot i upadek spiskowca

Kontrowersyjny prezenter Alex Jones przegrał proces swojego życia.
Ale teorie spiskowe nie znikną

Jakub Dymek

20 lat temu dwóch młodych dziennikarzy postanowiło z ukrycia podejrzeć satanistyczno-pogański rytuał amerykańskiej prawicy. Plotka głosiła, że w ośrodku wypoczynkowym pośród lasów północnej Kalifornii spotyka się ścista elita władzy. Na wyjeździe dla wtajemniczonych, w ściśle męskim gronie bankierów, prawników, polityków i innych wpływowych mieszkańców Waszyngtonu, dzieją się rzeczy dziwne. A można tam spotkać – mówiła też pogłoska – całe rodzinne i polityczne klany: Bushów ojca i syna, Dicka Cheney'a czy Donalda Rumsfelda, polityków powoływanych do kolejnych administracji jeszcze od czasów Nixona i wojny w Wietnamie. Lepiej nawet, nigdy nie pojawiali się tam Henry Kissinger, sowieccy oficjele i przywódcy krajów Europy.

Dwójka śmiatłków – z kamerzystą i skromną ekipą – przedarła się przez las, wykiwała ochronę i ujrzała na własne oczy to, o czym mówiły legendy. Rzeczywiście na miejscu rozgrywał się mroczny rytuał, w świetle pochodni widać było zakapturzone sylwetki pałace kukły sowy przed ołtarzem. A może kogoś przebranego za sowę? Czy odwrotnie, to ołtarz

Jones został skazany nie za dezinformację, lecz za naruszenie dóbr osobistych konkretnych osób.

miał kształt sowy, a kukłę spławiano strumieniem w świetle pochodni? W każdym razie działo się tam coś, czym przedstawiciele waszyngtońskiej elity nie chcieliby się pochwalić wyborcom. „Jesteśmy w Ameryce, politycy powinni wierzyć w Jezusa, a nie w jakąś sowę”, trzeźwo zauważył jeden z członków ekipy. Legendy legendami, ale obóz dla elit w Bohemian Grove istniał naprawdę



Program Alexa Jonesa stał się szeroko rozpoznawalnym w USA symbolem popkultury.

i właśnie udało się zarejestrować jego tajemnice za pomocą kamery.

Z dwóch świadków tego wydarzenia jeden – Jon Ronson – pracował w BBC i zrobił niemałą karierę jako dokumentalista i autor reportaży, w tym nagradzanej książki „Them” o teoriach spiskowych i politycznych radykałach. Drugi, Alex Jones, wierzył, że w Bohemian Grove pałono nie kukłę, ale żywego człowieka. I zaczął opowiadać o tym widzom.

Ale czy to znaczy, że spiski nie istnieją? I czy rzeczywiście – jak przekonują amerykańskie media głównego nurtu – porażki sądowe Jonesa są zapowiedzią przyszłych sukcesów w walce z internetową dezinformacją?

Wszędzie spiski

Kto raz widział Infowars, program Alexa Jonesa, ten nie pomyli go z żadnym innym. Jones ryczy głosem demona ze starej gry wideo albo heavymetalowego wokalisty z długim stażem. W trakcie wielominutowych rantów – czyli pełnych wzmożenia monologów – oskarża rząd USA o wszelkie możliwe intrygi: eksperymenty na płodach, zatrucie wody chemikaliami, dostarczanie broni Al-Kaidzie i utrzymywanie kontaktów z międzynarodową siatką pedofilów. Jones krzyczy, pąsowieje lub prawie płacze na antenie, opisując jakąś wyjątkową niegodziwość. Przez 20 lat program stał się – mniej znanym w Europie, ale szeroko

Jones zrobił karierę jako „największy spiskowiec współczesnej Ameryki”. W pewnym momencie przypisywano mu nawet odpowiedzialność za wygraną Donalda Trumpa. Teraz, gdy minęło 25 lat, od kiedy zaczął na dobre tropić spiski amerykańskich elit, odwraca się od niego szczęście. Alex Jones przegrywa kolejne procesy i jest winien osobom, które zniesławił, miliony dolarów odszkodowań.

rozpoznawalnym w USA – symbolem popkultury. Postacie wprost inspirowane Jonesem zaczęły się pojawiać w serialach, kreskówkach i grach. Pogłoska, że w pojedynkę przyczynił

z Waszyngtonem, korporacjami i komercyjnymi mediami, to odwet ze strony tych instytucji tylko wzmocnił wiarygodność Jonesa w ich oczach. I nie doprowadził do bankructwa

Solidna ochrona dóbr osobistych jest jednym z warunków skutecznej walki z dezinformacją.

się do zwycięstwa Trumpa, jest przesadzona, ale poparcie Jonesa (którego oglądają miliony ludzi) na pewno pomogło.

Jego nazwisko na dobre skleiło się z najważniejszymi teoriami spiskowymi ostatniego 20-lecia, w tym z ruchem antyszczepionkowym i negowaniem masakry w szkole w Sandy Hook. W Infowars pracę znaleźli wyznawcy teorii Pizzagate, mówiącej, że w piwnicy waszyngtońskiej pizzerii demokratyczni politycy porywacze przetrzymują dzieci. Struktura mitu stojącego za Pizzagate jest podobna do antysemickich legend o krwi i do pogłoski, która rozpętała pogrom kielecki. A i w przypadku Pizzagate na miejscu pojawił się uzbrojony mężczyzna, który – wierząc w opowieść o demokratycznych pederastach – zaczął strzelać, choć nikogo nie zabił ani nie zranił. Mainstreamowe media znalazły zaś w Jonesie wymarzonego przeciwnika. Odwdzięczając mu się za jego nieprzebraną nienawiść do głównego nurtu, też przeinaczały jego słowa, oskarżały o rzeczy, których nie mówił, i tendencyjnie montowały klipy wideo z jego udziałem, aby zrobić z Jonesa większego oszołoma, niż jest w rzeczywistości.

Gdy Trump wygrał, platformy cyfrowe, amerykańskie korporacje i operatorzy płatności zaczęli się odcinać od skrajnej prawicy. Jones spadał z kolejnych serwisów. Choć były wyjątki. W 2018 r. w głośnym wywiadzie prawa do propagowania przez Jonesa swoich teorii na Facebooku, a także wolności wypowiadania kłamstwa oświecimskiego bronił założyciel platformy Mark Zuckerberg. Prawda jednak jest taka, że akcje przeciwko Jonesowi, które zniszczyłyby wiele niezależnych mediów, jego być może nawet wzmocniły. Skoro w Infowars odbiorcy przez 20 lat byli przekonywani, że ekipa jest na wojnie

– według jednego z udostępnionych sądom dokumentów kanał Jonesa przynosił nawet 125 mln dol. przychodu rocznie.

Trudny klient

Upadek Jonesa może jednak przynieść zakończony właśnie proces sądowy o zniesławienie rodzin dzieci zastrzelonych w szkole w Sandy Hook w 2012 r. Jones twierdził (z czego później się wycofał), że masakra mogła być rządową ustawką w celu zaostrenia prawa do posiadania bro-

niemienia i szkody, jakie ponoszą w wyniku werbalnych napaści czy gróźb ze strony jego zwolenników. Jones przeprosił ich na procesie, a także w programie, ale to mu nie pomogło – sąd do tej pory w dwóch wyrokach nakazał mu wypłacenie łącznie prawie 50 mln dol. odszkodowania i zadośćuczynienia.

Trudno się dziwić, że Jones proces przegrał. W trakcie rozprawy sąd raz po raz upominał go, żeby odpowiadał na temat i nie mówił przed ławą przysięgłych rzeczy, które już zostały przez sąd obalone. Jego prawnicy też mają kłopot z prowadzeniem spójnej obrony klienta. Sam oskarżony zaś – wbrew pogłoskom, że jest tylko cynikiem albo zrywusem – z werwą i nie oglądając się na kontrowersje, daje wyraz swoim przekonaniom. Jakby chciał nie tyle obronić się przed zarzutami, ile przekonać ławę przysięgłych i świat do swojej misji dziennikarskiej.



Jones odpowiada na pytania Marka Bankstona, prawnika rodzin ofiar strzelaniny w Sandy Hook, podczas rozprawy 3 sierpnia 2022 r.

ni, którego Jones jest gorącym zwolennikiem. Później zmienił interpretację wydarzeń – przekonuje teraz, że całkowicie wierzy w prawdziwość tej (i innych podobnych) zbrodni, choć uważa, że są one wykorzystywane przez polityków i lewicę jako pretekst do ataku na posiadaczy broni. Rodzice ofiar masakry pozwali Jonesa w 2018 r. za naruszenie ich dobrego

W wyniku komicznej i fatalnej w skutkach dla obrony Jonesa pomyłki jego prawnicy w trakcie procesu wystali zawartość telefonu oskarżonego do pełnomocników drugiej strony – rodzin ofiar. Mając dostęp do kompromitujących Jonesa materiałów, prawnicy dosłownie zmasakrowali w trakcie przesłuchań charyzmatycznego prezentera – w obliczu ▶

► kolejnych wpadek, kłamstw i ewidentnych dziur w jego obronie porażka była nieuchronna. Ale nawet ewidentnie nieprzychylny Jonesowi sąd, jak się okazuje, widzi w nim człowieka i w pewnym sensie empatyzuje ze spiskowcem. Gdy znany z zachrypniętego głosu (oraz problemów z alkoholem, nadwagą i używkami) Jones zaczął się krztusić, sędzia Maya Guerra Gamble podała mu pastylkę

nie tylko musielibyśmy się pożegnać z wolnością słowa, ale i same mainstreamowe media miałyby niemałe kłopoty. Dziś redaktorami naczelnymi w prestiżowych amerykańskich magazynach, mediach najbardziej elitarnych z elitarnych, nadal są ludzie, którzy szerzyli kłamstwa i teorie spiskowe uzasadniające inwazję na Irak lub (to nowszy przykład) tezę o tym, że Trump jest rosyjskim agentem.

w czasie wojny domowej w Syrii. Eksperymenty medyczne na ludziach, takie jak niesławny projekt Tuskegee, miały miejsce. Służby specjalne i członkowie administracji Trumpa naprawdę sabotowali pracę prezydenta, o czym zresztą piszą dziś otwartym tekstem w swoich biografiiach. Korporacje i skorumpowane władze naprawdę zatruty wodę pitną – jak we Flynt w stanie Michigan – i nic sobie nie robili ze śmierci biednych.

Teorie spiskowe to rodzaj zemsty ludzi na elitach, a Jones świadomie chciał być jej narzędziem. Pod postacią teorii spiskowych uparcie bowiem powraca to, o czym władza często nie chce, by mówiono. Ludzie kochają spiskowców, bo wiedzą, że tradycyjne media nie mają oporów przed zwodzeniem i paternalistycznym ignorowaniem „ciemnego ludu”. Jones zaczynał jako aktywista antywojenny, krytyk George’a Busha, skorumpowanych elit prawicowych i kompleksu militarno-przemysłowego. Uważał się raczej za lewicowego populistę. Można więc z jego historii wyciągnąć lekcję, że dziś to prawicowi radykałowie i spiskowcy mówią ludziom o tym, o czym przestała im mówić lewica, gdy wyzbyła się swojego populistycznego czy ludowego rdzenia. O spiskach korporacji, o odklejeniu elit, o finansowym i seksualnym wynaturzeniu klasy miliardersów, o kłamstwach rządu i służb uzasadniających wojny, o eksperymentach medycznych i chciwości przemysłu farmaceutycznego... Jones tylko wypełnił niszę.

Teraz może upaść, ale na jego miejsce na pewno znajdą się inni.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeklad.pl

Teorie spiskowe to rodzaj zemsty ludzi na elitach. Pod postacią teorii spiskowych powraca to, o czym władza często nie chce, by mówiono.

do ssania, mówiąc: „Tym razem robię wyjątek od zakazu spożywania posiłków na sali sądowej”.

Jones został skazany za naruszenie dóbr rodzin ofiar koszmarnej zbrodni. Zapłaci im, i słusznie, niemałe pieniądze. Ale próby dowiedzenia, że jest wyrachowanym cynikiem, który wcale nie wierzy w to, co mówi, nie przyniosły zadowalających rezultatów. Okazało się, że Jones, nawet ryzykując sądową porażkę, będzie bronił swojego prawa (i prawa swoich widzów) do kwestionowania wszystkiego, co mówi rząd. „Są ludzie, którzy nie wierzą w nic i kwestionują wszystko. Kiedyś było mi do nich blisko. Ale są też ludzie, którzy wierzą we wszystko i nie kwestionują niczego. I oni są jeszcze bardziej szaleni”, wyłożył swoje credo na sali sądowej Jones.

Historia nie taka prosta

Porażka Jonesa i jego sądowe upokorzenie wywołały niemało radości w głównym, liberalnym i lewicowym, nurcie amerykańskich mediów. „New York Times” w relacji z procesu nazwał przegraną Jonesa „pierwszym, przełomowym procesem w walce z dezinformacją”. Ale ta historia nie jest aż tak prosta, jak chciałby ją widzieć mainstream.

Jones został skazany nie za dezinformację, lecz za naruszenie dóbr osobistych konkretnych osób, a to istotna różnica. Gdyby bowiem szerzenie nieprawdziwych informacji i teorii spiskowych było karalne, to

Ofiary pomówień Alexa Jonesa miały szczęście wygrać w sądzie, ale ofiary pomówień mediów głównego nurtu – np. fałszywie oskarżony o molestowanie senator Al Franken – doczekały się po latach jedynie przeprosin.

Solidna ochrona dóbr osobistych jest jednym z warunków skutecznej walki z dezinformacją. Ale to nie Alex Jones wymyślił algorytmy i platformy, które dają olbrzymie zasięgi szkodliwym bzdurom lub agresywnym napaściom na niewinnych ludzi. Cały model biznesowy wielkich cyfrowych korporacji zbudowany jest na oburzeniu i nienawiści. Na treściach podobnych do głoszonych przez Alexa Jonesa miliony i setki milionów zarabiały latami platformy cyfrowe; dzisiaj deklarują walkę z dezinformacją, ale robią wszystko, aby nie musieć ponosić za nią odpowiedzialności. Wciąż algorytmy serwisów internetowych wciskają nam najbardziej emocjonalne, chwytliwe, skandalizujące i grające na strachu treści.

No i wreszcie jest pytanie o naturę i miejsce teorii spiskowych w debacie publicznej. Są one bowiem także sposobem, w jaki informacje wykluczane i cenzurowane przesączają się pod postacią legendy do masowej świadomości. Fakt, w waszyngtońskiej pizzerii nie działała siatka pedofilów, ale rzeczywistość elity polityczne Ameryki utrzymywały przyjazne relacje ze skazanym przestępcą seksualnym Jeffreyem Epsteinem (i jego oskarżaną o handel ludźmi partnerką). USA rzeczywiście dozbrajały sojuszników Al-Kaidy, czyli front Al-Nusra,



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Czy musimy być idiotami?

Rzecz jasna, można by tę samą kwestię opisać całkiem odmiennym pytaniem, np. „Czy istnieją ludzie, którzy nie są idiotami?”, „Czy wszyscy jesteśmy idiotami?”, „Czy jesteśmy skazani na bycie idiotami?”. Nie wchodząc w historię terminu, który miał swoją krótkotrwałą medyczną złotą erę (XIX w.), kiedy opisywał przypadki pewnego typu upośledzenia umysłowego, niekiedy określano jego graniczne zdefiniowanie bardzo wielu precyzyjniejszych określeń, kategorii, jednostek odmienności, wszystkiego, co dzisiaj możemy odnaleźć we współczesnej psychiatrii. Dzisiejszym problemem nie jest jednak określanie tym słowem pacjentów (czy, jak to już często się mówi w praktyce terapeutycznej, „klientów”) bądź osób wymagających opieki i pomocy psychiatrycznej. To słowo, którym żywo reagujemy, określając kogoś jako głupka, kogoś, kto nie rozumie podstawowych spraw, nie ogarnia, komentuje bez żadnego powodu coś, na czym się nie zna, o czym nie wie nic albo wie zbyt mało. Idiotą wcale nie musi oznaczać kogoś niewykształconego – na poczekaniu moglibyśmy zrobić listę utytułowanych naukowo „idiotów”, profesorów takż. Mamy zapewne tendencję do zajmowania stanowiska (i chyba jednak prawo) nawet w sprawach, w których mamy liche rozeznanie, małą wiedzę, luźną orientację. Równocześnie technika (sieć) pozwala błyskawicznie to weryfikować (przynajmniej na podstawowym poziomie).

I tu zaczyna się problem. Kiedy wygłaszając „idiotyczne” przekonania, mieszając fakty, nie łącząc kropek logicznego łańcucha rozumowania, zostajemy przytłamani na swoim „idiotyzowaniu”, nie mamy obyczaju wycofania się, przyznania do błędu, douczenia się. Obserwuję od lat zjawisko nieodróżniania sfery faktów od przestrzeni poglądów. Jestem przywiązany (może to jeszcze inny idiotyzm?) do tego, że o faktach się nie dyskutuje.

Zbliża się rok kopernikański (będzie zalew publikacji, o! będzie, po czym i tak ktoś wyskoczy ze swoim „A ja uważam, bo mam prawo do własnego poglądu”), więc weźmy tę umęczoną nami (ludzkością) bryłę, nazywaną Ziemią. Wiemy z całą dostępną ludzkością pewnością, że jest nieregularnie okrągła, zbliżona do kuli i krąży w obrębie naszego układu planetarnego wokół Słońca, naszej najbliższej, życiodajnej i śmiercionośnej gwiazdy. Ale zdarzało mi się spotkać osoby, które mówiły o tak: „Wiem, że Ziemia nie jest płaska i krąży wokół Słońca, ale uważam, że ktoś inny ma prawo mieć inne zdanie”. A ja tak nie uważam, bo trzeba by umieć tego dowieść; to na kimś, kto buduje tezę

o istnieniu czegoś, ciąży konieczność dowodzenia. Jako ateista nie muszę dowodzić nieistnienia boga, bogów – próby dowodzenia jego istnienia nie są powszechnie akceptowane. W kwestii kształtu i ruchu Ziemi nie ma poglądów, możesz spróbować dowieść, że Kopernik nie miał racji. Ale jak ma to zrobić człowiek, który nie wie np., co to całka, pierwiastek trzeciego stopnia, paralaksa czy orbita?

Ale właściwie chciałem o czymś innym. Najciekawsze w terminie idiota wydaje mi się starogreckie znaczenie tego słowa. Otóż w niedoskonałej, niesprawiedliwej, nierównościowej demokracji ateńskiej, która w swój własny wykluczający sposób (bez kobiet, bez niewolników, bez niemających) promowała wartości życia wspólnotowego, zaangażowania społecznego – słowem idiota określano kogoś aspołecznego, zajętego prywatnymi sprawami, niezaangażowanego w życie polityczne, publiczne. Pozostaje pod dużym wrażeniem takiego widzenia spraw, żyjąc 2,5 tys. lat później, gdy formalnie nasza demokracja jest

Czas odzyskać politykę z prywatnych rąk. Nie stać nas na świat sprywatyzowany, na świat idiotyzmów.

doskonalsza (kobiety mogą głosować na równi z mężczyznami, nie ma kryterium zamożnościowego, niewolnictwo teoretycznie nie istnieje), ale jednym z ważnych słów określających naszą epokę jest postpolityczność. Polityka jako namysł nad doskonalszym funkcjonowaniem wspólnot, społeczności, rozumiana jako bezustanna dyskusja, spór, debata, ustępuje mechanizmowi zdobywania władzy i paramerytokratycznemu zarządzaniu masami, majątkiem (kiedyś dobrem wspólnym). Zamiast poczucia, że wszyscy jesteśmy politykami, czyli zależy nam na tym, jak wygląda nasze życie: edukacja, praca, odpoczynek, ochrona zdrowia i reguły życia wspólnego – mamy wrażenie, że nas to nie dotyczy, oddajemy to wszystko kaście zawodowych polityków. Zdecydowaliśmy się, rezygnując z polityki jako naszego prawa, obowiązku i codziennego uczestnictwa we wspólnym, na skrajną prywatność i troskę wyłącznie o „swoje”, na bycie poza polityką. Wybraliśmy bycie poza polityką. I tak zostaliśmy idiotami. Na własne życzenie. Możemy jednak nie być idiotami, czego sobie i Państwu życzę. Czas odzyskać politykę z prywatnych rąk. Nie stać nas na świat sprywatyzowany, na świat idiotyzmów. Ziemia też nie jest idiotką, nie ma powodu, żeby nas takich akceptowała. Wysyła czytelne sygnały – no, niestety nie dla idiotów.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Prawda w oczy kole

Niepokorni związkowcy nigdy nie mieli łatwo. Przykład – działacz z olsztyńskiej uczelni

Marek Książek

Andrzej Adamowicz (rocznik 1961) był kiedyś policjantem i rolnikiem. Po pięćdziesiątce założył w podolsztyńskiej gminie Purda Wielka lokalną gazetę i został jej redaktorem naczelnym. Od tej pory władza gminna nie miała z nim lekko, bo wytykał jej błędne decyzje i zadawał niewygodne pytania. Nie tylko wójtowi, ale również przewodniczącej rady gminy i poszczególnym radnym. Dochodziło nawet do procesów sądowych. Mimo tych szykan Adamowicz uważał, że jest moralnie czysty, i nadal wypełniał dziennikarską misję, tak jak wielu wydawców lokalnej prasy w Polsce – pisaliśmy o tym w tekście „Medialne wojny na dole” (PRZEGLĄD, nr 31/2018).

Założyli własny związek

Niepokorny charakter Adamowicza dał o sobie znać także na drugim froncie walki, czyli na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, gdzie od 2007 r. zarabiał na chleb jako komendant zmiany Straży Uniwersyteckiej. Po 10 latach został starszym portierem w bibliotece, ale to już inna historia. Ważniejsze, że w 2016 r. utworzył Niezależny Związek Zawodowy Pracowników UWM Prawda, niewchodzący w żadną regionalną czy krajową strukturę organizacyjną. Była to kolejna organizacja związkowa obok Związku Nauczycielstwa Polskiego i Solidarności, które powinny bronić pracowników, zwłaszcza swoich członków. Jak tłumaczy Adamowicz, Prawda powstała w reakcji na rozpowszechniane na uczelni informacje, że Dział Bezpieczeństwa i Ochrony Mienia UWM ma być rozwiązany, a jego pracownicy zwolnieni, bo te usługi przejmie firma

zewnętrzna. Co prawda, niektórzy strażnicy i portierzy należeli do ZNP lub do Solidarności, ale skoro te związki nie przejawiały chęci obrony członków, skrzyknęli się i założyli Prawdę. Na czele związku stanął Andrzej Adamowicz, który dla władz uczelni od początku stał się cierniem w oku. Świadczył o tym fakt, że nie mógł umieszczać komunikatów swojego związku na uczelni i w zakładce na witrynie UWM.

Ile zarabia rektor

Tymczasem przewodniczący działał tak, jak miał zapisane w statucie. „Autentycznie angażował się w sprawy pracowników. Pozostałe dwa związki żyły dobrze z rektorem i jak w PRL zajmowały się głównie, jak to się mówi, rozdawnictwem paczek na święta”, oceniał Adamowicza jego były przełożony. Z czasem do Prawdy przystępowali pracownicy dydaktyczni, w tym z tytułami naukowymi, a kilka lat temu wiceprzewodniczącym został prof. dr n. med. Jerzy Gielecki z wydziału lekarskiego. Ostatnio związek zrzeszał ponad setkę osób.

Bezpardonowa działalność związku oznaczała w praktyce np. zadawanie władzom uczelni pisemnych pytań o wynagrodzenie rektora i o listę pracowników, którym tenże rektor przyznał dodatki specjalne. Bo dodatki mogły wskazywać, kto ma dobre notowania w kierownictwie i za co mógłby się odwdzięczać. A tacy ulegli pracownicy wszędzie są potrzebni, na uniwersytecie głównie po to, żeby głosować w wyborach na rektora. I dostosować przepisy uczelni do bieżących potrzeb. Tak jak w 2020 r., gdy prof. Ryszard Górecki, były senator PO, szykował się do odejścia ze stanowiska rektora UWM, na które rekomendował

swojego zastępcę, Jerzego Przyborskiego. Zaproponował wówczas zmianę statutu uczelni, w tym zapis, że rektorem nie musi być profesor tytularny. Sęk w tym, że prorektor Przyborski był profesorem uczelnianym, a nie belwederskim. Przewodniczący Prawdy, podobnie jak kilka innych osób, uznał, że to sprytny sposób na ułatwienie nominatowi Góreckiego startu w wyborach, i tych zmian nie zaakceptował. Jednak dr hab. Jerzy Przyborski i tak został rektorem. Adamowicz zdawał więc sobie sprawę, że czeka go kolejny etap ciężkiej walki.

Czternaście zarzutów

Jego obawy były uzasadnione. Bo oto w czerwcu 2022 r. do zarządu Prawdy dotarło pismo powiadamiające o zamiarze zwolnienia z pracy starszego portiera Andrzeja Adamowicza. Postawiono mu serię zarzutów, w tym tak „ciężkie” jak: „Nieuprawniona wymiana wkładki do zamka w drzwiach do pomieszczenia udostępnionego przez pracodawcę NZZZ UWM w Olsztynie PRAWDA na wykonywanie działalności związkowej u pracodawcy”. Takich zarzutów, związanych z kluczami i systemem alarmowym, było sześć.

Ale im dalej, tym groźniej. W piśmie do zarządu Prawdy prorektor dr hab. prof. UWM Mirosław Gornowicz zarzucił Adamowiczowi nielojalność wobec pracodawcy „polegającą na publicznym wygłaszaniu szkalujących dobre imię uczelni i jej władz wypowiedzi w postępowaniach sądowych”. Tu padają nazwiska trzech osób, które pozwały uczelnię przed sąd pracy. Adamowicz występował jako przedstawiciel społeczny i wspierał je w imieniu organizacji. A że nie owija słów w bawełnę, akurat w tych przypadkach



wypowiedział się krytycznie o uczelni i jej władzach. Dlaczego jednak przypisano ten „niegodny czyn” portierowi, a nie szefowi związku zawodowego?

Podobnie było z kolejnymi zarzutami, w których mowa o karygodnym zachowaniu wobec inspektora pracy, komendanta Straży Uniwersyteckiej oraz szefa ZNP, którego Andrzej Adamowicz miał pomówić o „zmowę przestępczą” z przewodniczącym Solidarności podczas wyborów do senatu uczelni w 2020 r. Bo w opinii szefa Prawdy obaj przewodniczący tamtych związków działali zgodnie z sugestiami (wytycznymi?) rektora.

No i wreszcie ostatni, 14. zarzut, który trzeba zacytować w całości: „Utrudnianie normalnego funkcjonowania uczelni, powodując konieczność udzielenia odpowiedzi na 54 zapytania (daty pism od 14 marca 2022 r. do 19 kwietnia 2022 r.) w trybie dostępu do informacji publicznej

Przewodniczący Andrzej Adamowicz przed siedzibą Prawdy.

lub w trybie ustawy o związkach zawodowych”. No bo jak można odpowiedzieć na pół setki pytań w ciągu dwóch tygodni?!

To portier, nie nauczyciel

Chociaż zarząd Prawdy, w tym wiceprzewodniczący prof. Jerzy Gielecki, nie zgodził się na zwolnienie Adamowicza, to kanclerz uczelni mgr inż. Bogusław Stec takie wypowiedzenie umowy o pracę 30 czerwca związkowcowi wręczył. Powiełało ono wspomniane zarzuty, choć nie można w nich rozgraniczyć roli ochroniarza i związkowca. Wobec tego jako dziennikarz PRZEGLĄDU przestałem kanclerzowi trzy pytania:

1. Czy wypowiadając Andrzejowi Adamowiczowi umowę o pracę w ochronie uniwersytetu, pracodawca dostosował się do wymogów Prawa pracy, tzn. powiadomił o swoim zamiarze inne związki zawodowe w UWM, skoro zarząd ZZ Prawda nie wyraził zgody na jego zwolnienie?
2. Andrzej Adamowicz 17 maja 2022 r. skończył 61 lat, a więc od tej pory jest objęty okresem ochronnym przed emeryturą – czy ten fakt był brany pod uwagę przy

skierowane do Kanclerza UWM informuję, że pan A. Adamowicz nie jest nauczycielem akademickim, nie jest więc traktowany jak funkcjonariusz publiczny i informacje go dotyczące nie stanowią informacji publicznej. Kwestie związane z p. Adamowiczem będą prawdopodobnie przedmiotem postępowania sądowego i do jego zakończenia nie będą udzielane informacje w ww. temacie”.

Zostawić głowę, uciąć rękę

Zobaczmy więc, co będzie się działo w sądzie, do którego wpłynął już pozew Adamowicza. Pewnie będą tam również zeznawać jako świadkowie szefowie ZNP i Solidarności. Na razie ich reakcja jest zadziwiająca. Na pismo informujące o zamiarze zwolnienia Adamowicza (z tego wynika, że byli o tym powiadomieni) odpowiedzieli pytaniem skierowanym do rektora, czy zostały już wyczerpane wszystkie środki dyscyplinowania pracownika. A więc uznali postępowanie kolegi związkowca za naganne. Na koniec proszą rektora „o ponowne rozpatrzenie sprawy i ewentualne rozważenie innego sposobu ukarania” Adamowicza, wynikającego z regulaminu UWM. Czyli, jak złośliwie komentuje sam zwolniony, po co mu obcinać głowę, jeśli można tylko rękę?

Przewodniczący związku działał tak, jak miał zapisane w statucie – autentycznie angażował się w sprawy pracowników.

przekazaniu mu wypowiedzenia 30 czerwca 2022?

3. Ze stawianych zarzutów, których przynajmniej część sprawia wrażenie dziwnych, wynika, że Andrzej Adamowicz popełnił te „wykroczenia” jako przewodniczący związku zawodowego, nie ochroniarz. Czy zatem wypowiedzenia nie można uznać za swego rodzaju represje wobec uciążliwej dla władz działalności związkowej?

Kanclerz nie zareagował, ale w ciągu kilku dni otrzymałem odpowiedź rzecznika prasowego uczelni. „W odpowiedzi na Pana pytania

Duże szanse na wygraną Adamowicza w sądzie pracy widzi przewodniczący OPZZ w Olsztynie Jarosław Szunejko. Z jego doświadczenia wynika, że art. 32 ustawy o związkach zawodowych obejmuje szczególnie ochroną związkowców.

Proces pewnie nie ograniczy się do sprawy zwolnienia pracownika ochrony. Przy okazji wyjdą na jaw sekrety, które przed załogą UWM skrywają władze uczelni. Znając docieklivość szefa Prawdy, właśnie tak może to się skończyć. I wtedy się okaże, jak bardzo prawda w oczy kole. ■

Marcin Ogdowski

Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań Pokojowych (SIPRI) nie ma dobrych wiadomości: po raz pierwszy od 1991 r. możliwy jest wzrost potencjału nuklearnego na świecie. A przecież już to, co obecnie znajduje się w silosach i magazynach, wystarczyłoby do wielokrotnego zniszczenia naszej cywilizacji. 90% światowego potencjału atomowego posiadają Rosja i USA – odpowiednio 6 tys. i 5,4 tys. głowic – reszta zalega w arsenałach Wielkiej Brytanii, Francji, Chin, Indii, Pakistanu, Izraela i Korei Północnej. „Mamy wyraźne oznaki, że redukcje przeprowadzane od zakończenia zimnej wojny właśnie dobiegły końca”, mówi Hans Kristensen z Programu Broni Masowego Rażenia SIPRI.

Łączna liczba pocisków nuklearnych zmalała w ciągu minionego roku o niespełna 400 sztuk (do 12,7 tys.), a proces ten wynikał przede wszystkim z konieczności utylizacji najstarszych głowic. „Państwa posiadające broń jądrową zwiększają lub modernizują arsenały, a większość zaostreża retorykę nuklearną i podkreśla rolę, jaką broń atomowa odgrywa w ich strategiach”, konkluduje Wilfred Wan, dyrektor programu.

Strach tknąć

Inwazja Rosji na Ukrainę i wsparcie wojskowe Zachodu dla Kijowa zwiększyły napięcia wśród państw posiadających głowice. „Ryzyko użycia tego rodzaju broni jest największe od dziesięcioleci”, twierdzą analitycy SIPRI. Należy dodać, że marne rosyjskie postępy w Ukrainie i ujawniony przy tej okazji kiepski stan konwencjonalnych sił zbrojnych Federacji zwiększają jeszcze jedno ryzyko. Moskwa chroni się dziś za nuklearną tarczą, bez której inaczej wyglądałaby współpraca NATO z napadniętym krajem. Ryzyko atomowej eskalacji i ponawiany co rusz jądrowy szantaż Kremla powstrzymują zachodnich przywódców przed otwartą konfrontacją, która zakończyłaby się niechybną klęską Rosji. Dla innych państw jest oczywiste, że tylko

Glob najeżony bronią

Gdy wojna wróciła do Europy, przypomnieliśmy sobie, że Ziemia to beczka prochu



Pojazdy z pociskami balistycznymi krótkiego zasięgu DF-15B, prezentowane w Pekinie na paradzie z okazji 70. rocznicy zakończenia II wojny światowej.

atomowy argument zapewni im bezpieczeństwo. Można więc założyć, że zwiększą wysiłki mające na celu pozyskanie takiej broni. Pouczający jest tu przykład Korei Północnej, którą „strach tknąć”, bo skutki dla całego regionu mogą być dramatyczne.

W tym kontekście łatwiej zrozumieć decyzję Chin, posiadających stosunkowo skromny zasób 350 głowic jądrowych. Z danych pozyskanych przez Departament Obrony USA wynika, że Pekin planuje podwoić arsenał do 2027 r., a trzy lata później dysponować już tysiącem pocisków. Służby wywiadowcze donoszą o trwających w ChRL pracach budowlanych, w wyniku których powstaną ok. 300 nowych silosów raketowych. Tym wysiłkom – oraz sytuacji we wschodniej Europie – z niepokojem przygląda się Tokio. Kilka tygodni temu ministerstwo obrony Japonii w dorocznym

raporcie, znanym jako „Biała księga obronna”, wyraziło „głębokie zaniepokojenie agresywnymi działaniami Chin i Rosji”. Efekt? Japoński rząd nie ustanowił maksymalnego pułapu wydatków na obronność w kolejnym roku fiskalnym (a taki przewidziano w projektach budżetu w poprzednich latach, by tym sposobem unikać niekontrolowanego wzrostu długu publicznego). W bieżącym roku fiskalnym nakłady Japonii na wojsko zaplanowano na poziomie 5,4 bln jenów, co odpowiada kwocie 40 mld dol. Dla porównania – tegoroczny budżet polskiego MON ma równoważność 13,7 mld dol.

Trzech prowodyrów

Kolejne nasze budżety będą tylko wyższe, gdyż Polska planuje podnieść wydatki zbrojeniowe do 3% PKB już w 2023 r. (w 2020 było to 2,1%). Jak

zauważa sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg, Sojusz przechodzi obecnie „największą od czasów zimnej wojny przebudowę obrony zbiorowej i odstraszania”. Statystyki mogą tu się wydawać nieco mylące, bo z 29 obecnych członków Paktu (posiadających siły zbrojne) zaledwie dziewięciu łoży na armie ustalony w 2014 r. pułap 2% PKB. Poza Polską są to: Grecja (3,76%), USA (3,47%), Litwa (2,36%), Estonia (2,34%), Wielka Brytania (2,12%), Łotwa (2,10%),

remilitaryzację świata rozkłada się i na inne podmioty. Rosja istotnie, począwszy od roku 2000, wydawała wiele, próbując odzyskać status supermocarstwa. Ponad dekadę temu była jednym z nielicznych krajów, które nie obcięły wydatków na wojsko w następstwie kryzysu z 2008 r. W 2021 r., gdy gromadziła żołnierzy wzdłuż ukraińskiej granicy, nakłady na obronność sięgnęły 65,9 mld dol., czyli 4,1% PKB. Ale to Chiny od 30 lat napędzają indo-pacyficzny wyścig

dolarów można kupić więcej niż w Stanach). Zdaniem analityków koszty rosyjskiej inwazji na Ukrainę oraz wywołane przez nią militarne wzmoczenie sprawią, że tegoroczne wydatki zbrojeniowe przekroczą 2,3 bln dol.

Ktoś straci – bo wojna to śmierć i zniszczenie – ale ktoś też zarobi. Według SIPRI w latach 2017-2021 największymi eksporterami uzbrojenia były USA z 39-procentowym udziałem w światowym rynku. Kolejne miejsca zajmowały Rosja (19%), Francja (11%), Chiny (4,6%) i Niemcy (4,5%). Amerykańska broń trafiała do 103 państw; w wielu z nich koncerny z USA zdominowały miejscowe rynki. Rosja eksportowała broń do Indii, Egiptu, Chin, Algierii, Wietnamu, Iraku, Kazachstanu i Białorusi. Chiny zyskały status wiodących dostawców w Pakistanie, Bangladeszu i Mjanmie. W gronie największych importerów znalazły się Indie (11% udziału w globalnym imporcie), Arabia Saudyjska (11%), Egipt (5,7%), Australia (5,4%) i Chiny (4,8%). Stany zajęły 13. miejsce, Rosji zabrakło w pierwszej czterdziestce – oba państwa mają bowiem rozwinięty przemysł zbrojeniowy i pozostają w dużej mierze samowystarczalne.

Jest pewne ale – w czym kryje się odpowiedź na pytanie o źródła przewagi amerykańskiej zbrojeniówki. Oferuje ona broń drogą, lecz niezawodną, znacząco lepszą od rosyjskich

90% światowego potencjału atomowego posiadają Rosja i USA (odpowiednio 6 tys. i 5,4 tys. głowic).

Chorwacja (2,03%) i Słowacja (2,00%) – co znamienne, w większości państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Rumunia i Francja, które osiągnęły już dwuprocentowy cel, w 2022 r. spadły nieznacznie poniżej tego progu. Stawkę zamykają więksi i zasobniejsi członkowie NATO – Niemcy, Kanada, Włochy i Hiszpania. Ale w liczbach rzeczywistych budżety wojskowe tych krajów i tak pozostają imponujące (np. Berlin w 2021 r. przeznaczył na cele obronne 56 mld euro), no i nie bez znaczenia są podjęte niedawno zobowiązania do odnowienia potencjału wojskowego, zaniedbanego przez ostatnie 30 lat. Najdalej w tym zakresie idą Niemcy, przeznaczając na armię dodatkową kwotę (poza bieżącymi budżetami) 100 mld euro w zaledwie pięć lat.

Dramatyczne wzrosty dotyczą także innych krajów. Kazachstan na kolejny rok zwiększa budżet wojskowy o 900 mln dol. – do kwoty 1,7 mld dol. (mamy zatem do czynienia z więcej niż podwojeniem wydatków!). Jednocześnie państwo to – dotąd blisko związane z Moskwą – zacieśnia stosunki z ChRL z jednej strony, a z drugiej z krajami NATO. Powodem takiej woltury są ambicje geopolityczne Władimira Putina, obnażone wraz z napaścią na Ukrainę. Działania Rosji są więc impulsem do zbrojeń nie tylko w obszarze euroatlantyckim, gdzie sprawy przyspieszyły po aneksji Krymu w 2014 r., ale też w Azji Centralnej. Trzeba jednak podkreślić, że odpowiedzialność za

zbrojeń. Spektakularne są również wzrosty wydatków militarnych USA po 11 września 2001 r.

Ktoś straci, ktoś zarobi

Według SIPRI w ciągu dekady (licząc od początku 2012 r. do końca 2021 r.) światowe wydatki na zbrojenia wzrosły o 12%. Rok do roku (2020-2021) powiększyły się o nieznaczne 0,7%, lecz i tak pierwszy raz w historii przekroczyły 2 bln dol. – dołącznie było to 2,11 bln dol. W 1989 r. globalne wydatki na cele wojskowe zamknęły się w kwocie 1,7 bln dol., a 10 lat później wyniosły „tylko” 1,2 bln dol. To wtedy – po „biednym” 1999 r. – zaczął się trend wzrostowy

Reszta broni zalega w arsenałach Wielkiej Brytanii, Francji, Chin, Indii, Pakistanu, Izraela i Korei Północnej.

w zbrojeniach. Wśród państw wydających najwięcej na wojsko w 2021 r. znalazły się USA – 801 mld dol. (38% udziału w światowych wydatkach), Chiny – 293 mld dol. (14%), Indie – 76,6 mld dol. (3,6%), Wielka Brytania – 68,4 mld dol. (3,2%) i Rosja – 65,9 mld dol. (3,1%).

Zastrzec należy, że chińskie i rosyjskie dane są oficjalne – rzeczywiste nakłady bez wątpienia były większe. Nie zapominajmy przy tym o innej sile nabywczej dolara w krajach Zachodu i u pozostałych liderów stawki (w Chinach czy w Rosji za miliard

i chińskich odpowiedników. Chojnie dofinansowana, szybko opracowuje i wdraża kolejne systemy. Chińczycy wciąż takiej wydajności nie osiągnęli, Rosjanie zmagają się z technologicznym zapóźnieniem – dlatego ich broń pozostaje głównie ofertą dla biednych. Mają teraz dodatkowy kłopot – odcięto ich od zachodnich komponentów, a ciężkie straty w Ukrainie zmuszają do skupienia wysiłków na odbudowie własnej armii. Chiny już ostrzą sobie zęby na porzucone przez Rosję rynki.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Chrystian Ślusarczyk
Korespondencja z Bułgarii

Bułgaria ta sama, ale nie taka sama

Letni raport z czarnomorskiej riwieri

Kończący się powoli sezon na bułgarskim wybrzeżu Morza Czarnego wyglądał inaczej niż w minionych latach. O tym, że turystyczna rzeczywistość wciąż jest tam daleka od normalności, można się przekonać już na lotnisku w Burgas. Od razu rzuca się w oczy brak „zaparkowanych” na płycie samolotów, które tradycyjnie przywoziły na plaże turystów z Rosji i Ukrainy. Na lotniskowej tablicy odlotów i przylotów próżno szukać Moskwy, Sankt Petersburga czy rosyjskich i ukraińskich miast, o których słyszeliśmy tylko mocni z geografii.

Gdy po kontroli dokumentów uśmiechnięte Bułgarki oferowały turystom ulotki z luksusowymi ofertami w języku rosyjskim, zainteresowanie nimi było w zasadzie żadne. Po bagaże nie musieliśmy jak niegdyś

ukraińskie miasto i port nad Morzem Czarnym. Dla turystów z Zachodu Bułgaria – choć nie graniczy z Ukrainą – podobnie jak Polska stała się krajem frontowym. Jej obecność w NATO i stacjonowanie tam oddziałów amerykańskich mało kogo uspokajały.

Do 24 lutego wydawało się, że tegoroczny sezon będzie całkiem udany. A na pewno lepszy niż dwa ostatnie. Wskazywały na to liczne rezerwacje i umowy z bułgarskimi touroperatorami. Niestety, wojna

lata zajętość bułgarskiej bazy hotelowej nad Morzem Czarnym osiągnie poziom 85% bardzo udanych lat 2018 i 2019. Na pewno będziemy daleko od rekordowych 12,5 mln turystów zagranicznych w roku 2019. Pamiętajmy, że samych Bułgarów jest dziś już tylko 6,9 mln”, powiedział Rumen Draganow z Instytutu Analiz i Ocen Turystycznych.

Podobnie jak w innych krajach korzystających z dobrodziejstw atrakcyjnego wybrzeża bułgarska turystyka w ciągu ostatnich dwóch lat bardzo ucierpiała z powodu COVID-19. Jak poinformował Narodowy Instytut Statystyki Bułgarii, w minionym roku kraj odwiedziło tylko 3,5 mln turystów zagranicznych. Ogromna większość wybrała kurorty nadmorskie. To o 35% więcej niż w pandemicznym roku 2020, ale ciągle znacząco mniej niż we wspaniałym finansowo roku 2019. Największą grupę przyjezdnych stanowili wówczas Rumuni – aż 23,5% wszystkich gości. W tym roku północnych sąsiadów jest znacznie mniej; samochody z bukareszteńskimi rejestracjami widywane były sporadycznie.

Dla turystów z Zachodu Bułgaria, choć nie graniczy z Ukrainą, stała się krajem frontowym.

przepychać się między Rosjankami z trudem ściągałymi z taśmy walizki wypchane ubraniami.

Nowiutki, wyprodukowany w Polsce miejski autobus (zakup dofinansowany ze środków unijnych) jadący do dworca autobusowego, zapełnił się, ale nie turystami, tylko załatwiającymi codzienne sprawy mieszkańcami Burgas. Choć pogoda idealna, dla tej części Europy wręcz klasyczna, jeszcze przed rozpoczęciem kaniukuły czuć było, że kolejny już sezon nie jest w Bułgarii taki jak zwykle.

Było magnesem, teraz cięży

Wspaniały czarnomorski klimat, kilometry piaszczystych plaż i czysta, ciepła woda przyciągała niczym magnes. Jednak po 24 lutego, czyli po rozpoczęciu rosyjskiej agresji na Ukrainę, Morze Czarne zaczęło w Europie Zachodniej kojarzyć jako akwen objęty działaniami wojennymi, niepewny, by nie powiedzieć niebezpieczny. Sytuację pogorszyły jeszcze ataki na Odesę, największe

spowodowała lawinowe anulowanie rezerwacji. I to zarówno ze strony klientów indywidualnych, jak i biur podróży. Bliskość wojny w Ukrainie spowodowała, że przeciętny Niemiec, Włoch czy Szwed wybrał tego lata bezpieczniejsze w jego mniemaniu plaże na południowym zachodzie kontynentu.

„Na progu letniego sezonu turystycznego wiele wskazywało, że tego

Nie tylko wybrzeże

W latach 70. i 80., gdy niemal każdy Bułgar szczycił się własnym moskwiczem czy ładą, latem popularne było pytanie „kiedy”, a nie „czy” wybierasz się w tym roku nad morze. Mało kto decydował się wówczas na góry, a Morze Czarne stanowiło swoisty letni obowiązek. Sytuacja ta – choć ze względów finansowych nie tak masowa – powtarza się i dziś, kiedy większość turystów kieruje się w okolice Warny czy Burgas. Tymczasem bułgarskie góry Riła, Pirin czy Rodopy oferują niezliczone atrakcje. Klasztor Rylski, miasteczko i stacja narciarska Bansko, bajeczna Sziroka Łyka, Kopriwuszica czy Melnik z degustacjami win to tylko niewielki fragment przebogatej oferty bułgarskiego interioru. Dodajmy także rozwijające się ośrodki spa, bo Bułgaria to potentat, jeśli chodzi o wody termalne i mineralne. Welingrad czy Sandanski na południu w porównaniu z czarnomorskimi kurortami są wciąż atrakcyjniejsze cenowo.



Tanio już było, czyli kolacja na tarasie

Tych, którzy wakacje od lat spędzają na bułgarskim wybrzeżu, tegoroczne ceny zaskoczyły. Pogardliwe komentarze w stosunku do wypoczywających w Chorwacji, którzy jechali tam z zabranym z kraju prowiantem i wodą, chyba są historią. W tym roku pobyt w hotelu nieoferującym wyżywienia i codzienne korzystanie z restauracji „na mieście” mogły się okazać druzgocące dla wielu portfeli. Od Słonecznego Brzegu po zapomniane wioski na południu ceny poszły ostro w górę. Można śmiało powiedzieć, że w bułgarskich lokalach tanio już było, a latem 2022 r. w przeciętnej nadmorskiej knajpie za obiad i kolację zapłacimy tyle samo, ile na krakowskim czy wrocławskim rynku. Zaskakująco drogi stał się też alkohol. Zarówno doskonała miejscowa rakija, jak i lokalne piwo czy wino nabiły rachunki.

W sierpniu na południowym wybrzeżu w restauracji średniej klasy dwóm osobom trudno było zjeść kolację za mniej niż 50-55 lewów (ok. 130 zł). Wzrost cen powoduje – nieznanne z czasów przedpandemicznych – pustki w restauracjach. W tradycyjnie najbardziej obleganym miesiącu wakacyjnym, jakim jest sierpień, nawet około godz. 21 (ulubiona pora posiłku Bułgarów) znalezienie wolnego stolika nie stanowiło problemu. Wysokie ceny w restauracjach błyskawicznie zrodziły nowe zjawisko

– jedzenie na wynos w niezbyt ekologicznych plastikowych pojemnikach. W porze obiadowej i wieczorem przed zainstalowanymi wiosną budkami ustawiały się kolejki po smażone ryby (wzięciem cieszyła się caca – miniatury szprotki), małe, smażone warzywa czy mięsne kebabczeta. Do tego trzy razy tańsze niż w restauracji piwo zakupione w markecie – i obiad na hotelowym tarasie gotowy!

Niemiałym zaskoczeniem na wybrzeżu były również horrendalnie wysokie ceny owoców i warzyw. Za wizytówkę Bułgarii, czyli pomidory, w sierpniu trzeba było zapłacić 4-6 lewów (10-15 zł), tyle samo kosztowały brzoskwinie. Cena oleju słonecznikowego, dla Bułgarów strategicznego produktu spożywczego, tego lata podskoczyła do 6 lewów za litr, czyli ok. 15 zł. Najmniej podróżali wspinały bułgarski ser solankowy. W niemieckich dyskontach kilogram tego smakołyku (bez którego nie ma

Bułgaria i euro

1 stycznia 2024 r. Bułgaria wejdzie do strefy euro. W przyszłym roku prawdopodobnie pojawią się już tabliczki informujące klientów o cenach w dwóch walutach. Dla polskiego turysty, ze słabą złotówką w portfelu, niewiele to zmieni. Rok wcześniej 1 stycznia w eurozonie znajdzie się inny bałkański kraj – Chorwacja.

Spore podwyżki nie ominęły infrastruktury plażowej.

sałatki szopskiej) można było kupić już od 12 lewów.

Wysokie ceny jedzenia w sklepach i restauracjach generowane są przez ceny paliwa. W sierpniu za litr benzyny bezołowiowej A95 na rosyjskim Lukoilu trzeba było zapłacić 3,35 lewa, czyli więcej niż w tym samym czasie nad Wisłą. Powoduje to niekończące się podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej (wciąż jednak są niższe niż w Polsce) czy przejazdów busami. Spore podwyżki nie ominęły też infrastruktury plażowej. Na pięknej plaży w Łozneciu (65 km na południe od Burgas) na komplet parasol plus dwa leżaki trzeba było wydać 30 lewów (75 zł). Wielu (Bułgarzy stanowili 99% plażowiczów) decydowało się jedynie na nieodzowny cień parasola, leżaki odstawiając właścicielom...

Dobre wiadomości mamy natomiast dla wielbicieli małej czarnej. W każdej miejscowości przybyło automatów do kawy. Wyborne espresso lungo kosztuje 50-60 stotinek (niewiele ponad złotówkę). Ale lista produktów, za które zapłacimy w stotinkach, jest wyjątkowo krótka. Zaledwie 50 stotinek kosztuje jeszcze dziennik „Duma” – organ bułgarskich socjalistów. Za to na dworcową toaletę wydamy już niestety 1 lewa.

Warna czy Burgas?

Od dziesięcioleci za swoją morską stolicę Bułgarzy uważają Warnę. To największe miasto wybrzeża. Ma ponad 300 tys. mieszkańców i jak na warunki bułgarskie jest niemal metropolią. W czasach komunistycznych turyści pojawiający się na tamtejszym lotnisku kierowali się do pobliskich Złotych Piasków czy znajdującej się na przedmieściach Warny Drużby (dziś Sweti Konstantin i Sweta Elena). Złote Piaski przez lata uznawane były za najbardziej prestiżowy kurort dla mieszkańców tej części Europy, którzy nie mogli sobie pozwolić na wakacje na Zachodzie. Rosjanie, turyści z Polski, NRD lub Czechosłowacji pobyt w Złotych Piaskach umilali sobie wypadami do Warny. Morska stolica ▶



z roku na rok. Szczególnie atrakcyjnie prezentuje się rozległy Park Morski i piaszczysta plaża z molo. W parku, który może dziś się poszczycić... bananowcami, można znaleźć polski akcent – pomnik Adama Mickiewicza. Poeta odwiedził Burgas w 1855 r., w drodze do Konstantynopola, gdzie w tym samym roku zmarł. Tego lata język polski w okolicach pamiątkowego kamienia jest słyszalny rzadziej i trzeba trochę się wysilić, by same-mu znaleźć Mickiewicza w Burgas.

Autostrady do konkurencji

Już wczesną wiosną mogliśmy przeczytać, że najtańszym europejskim letnim kierunkiem dla polskiego turysty będzie Bułgaria. Być może mimo galopującej inflacji i cenowego szaleństwa w posezono-nych podsumowaniach okaże się to prawdą. Trzeba jednak pamiętać, że sąsiedzi i inne kraje bałkańskie są dla Bułgarii mocną konkurencją.

Jeśli chodzi o koszty, podobnie jak Bułgaria kształtuje się Grecja.

W otwartej na dwa ciepłe morza Turcji tegoroczne lato na skutek gigantycznej inflacji i bardzo słabej liry okaże się zapewne tańsze niż w Bułgarii. Podobnie jak Bułgaria cenowo kształtuje się Grecja, zresztą wielu Bułgarów już od maja wybierało ją jako cel wypadów na długie weekendy. Otwierane sukcesywnie nowe odcinki autostrady z Sofii do Salonik czy Niszu oraz nowe bułgarsko-greckie przejścia graniczne w Rodopach odciągają od bułgarskiej riwiery. Dziś z kilku miast południowej Bułgarii szybciej można się dostać na greckie wybrzeże (np. Chalkidiki) niż do Słonecznego Brzegu czy Złotych Piasków. Bułgarzy obawiają się też konkurencji ze strony coraz popularniejszej, wręcz modne w naszej części Europy Albanii. Ten dysponujący wspaniałymi plażami i ciepłym Adriatykiem kraj turystom z Zachodu wciąż wydaje się niepewny, ale w Polsce bądź w Czechach ma coraz lepszą opinię.

Chrystian Ślusarczyk

► pod względem kulturalno-rozrywkowym tętniła życiem.

Po roku 1989 zarówno Złote Piaski, jak i Sweti Konstantin i Sweta Elena powoli zaczęły tracić na znaczeniu. Oba kurorty rozwijały się i wciąż rozwijają znacznie wolniej niż Słoneczny Brzeg. Po roku 2000 ten położony ko- to Burgas kurort przeżywa prawdziwy rozkwit. W ciągu ostatnich lat połączył się z pobliską, położoną u stóp Bałkanów miejscowością Sweti Włas oraz Neseberem – pełnym starożytnych zabytków miasteczkiem muzeum. Możliwości hotelowe Słonecznego Brzegu i atrakcje okolic znacznie przewyższają

dziś Złote Piaski. Ogromna większość turystów udających się do Słonecznego Brzegu, chcąc nie chcąc, musi zahaczyć o Burgas. Zarówno lotnisko, jak i dworce kolejowe i autobusowe w Burgas po roku 2000 pełne były turystów z całego świata. Na tamtejszym lotnisku Sarafowo rzucały się w oczy stoiska z tabliczkami najbardziej renomowanych touroperatorów, organizujących transfer autokarowy turystów do Słonecznego Brzegu i okolic. Burgas od lat jest także punktem przesiadkowym dla udających się na południe – do malowniczego Sozopola, otoczonego plażami i lasami Primorska czy romantycznej wioski Sinemorec przy granicy tureckiej. Tłumy turystów spędzających lato na południowej riwierze chętnie odwiedzały Burgas. Tym bardziej że 200-tysięczne miasto – dzięki m.in. dobru wykorzystaniu środków unijnych – rozwija się najszybciej w Bułgarii.

Zauważali i doceniali to zarówno turyści, jak i sami mieszkańcy. Kilkakrotnie Burgas było wybierane jako najlepsze miejsce do życia w Bułgarii. W latach przed pandemią głównymi ulicami, Aleksandrowską czy Demokracja, przelewało się morze ludzi. Tego lata w centrum Burgas było zaskakująco pusto. Turystów tak naprawdę było mniej niż samych mieszkańców, grających w tryktraka i popijających w cieniu platanów kawę z automatu.

Pustki na ulicach i placach mogą dziwić, bo mimo pandemiczno-wojennych perturbacji miasto pięknieje



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Sztokholm

Lecę do Sztokholmu, na kilka dni, dla zabawy, dla oddechu, dla odmiany, by popatrzeć na Polskę z boku, by spotkać się z dawnymi przyjaciółmi, z miejscami i z duchami własnej przeszłości. Mieszkalem w Sztokholmie cztery lata, byłem dyrektorem Instytutu Polskiego, attaché kulturalnym i pierwszym sekretarzem ambasady. Wszystko po wielkim przełomie, lata 1990-1994. Zastąpiłem na funkcji dyrektora funkcjonariusza SB o wilczym nazwisku. Cała ekipa ambasady trzęsła się ze strachu, co to będzie. I słusznie, wszyscy byli na odstrzał prędzej czy później. A ja przybyłem tu z biednej Polski, udręczonej, wskoczyłem nagle na planetę dobrobytu. Oszło mi. Mogło mi się przewrócić w głowie. Bywałem tu czasami po powrocie do kraju, ale zawsze na chwilę, a teraz tak się czuję, jakbym przybył po 30 latach nieobecności.

Lotnisko Arlanda też odmienione, powiększone, ale wyjście takie samo jak za moich czasów, wąskie gardło. Pamiętam, jak tu witam Mrożka, Szymborską, Wajdę, Miłosza, jak wyłaniają się z tego gardła. Mroźek roztrzęsiony, bo zgubiono mu bagaże. Teraz jakaś przypadkowa toaleta w tym labiryncie, tylko jedna kabina, zamknięta, czekam, mężczyzna w białej, luźnej koszuli też czeka, nagle pyta: „Pan poeta?”. Okazuje się, że czytelnik moich felietonów w PRZEGŁADZIE. Od razu się poczułem w tej toalecie jak w domu.

Mieszkam u Basi, blisko centrum miasta, pracowała w moim instytucie, mądra, rozwibrowana, jej mężem był znany operator filmowy Peter Mokrosinski. Grywałem z nim w tenisa. Piotrek zajeżdża po mnie nowym, płonącym czerwienią porsche. „Coś ty, oszalał? Po co ci takie zwierzę?”. „Jestem dziecinny, taki kaprys”, mówi. Robił tu dużo filmów, najbardziej znany to „Millennium”. Kolorowy człowiek. Przez dwa dni objeżdżamy cały Sztokholm, oglądam świat przez panoramiczną szybę i pomalutku plan miasta zaczyna mi się układać w znany wzór. Ale chwilami czuję, jakbym tu wrócił po swojej śmierci i zwiedzał Pola Elizejskie. Ale potem to piękne miasto osadzone na kilku wyspach nad jeziorem Melar i nad Bałtykiem, przetykane srebrnymi skałami i błękitem wody, znowu staje się dla mnie siecią pajęczą, na której drżą owady wspomnień. Zabytkowy pałacyk to budynek Ministerstwa Spraw Zagranicznych, balkon, na którym stałem z panią minister kultury Danii, patrząc na pobliski zamek, mówiłem jej o swoim wzruszeniu, że tu z nią stoję z kieliszkiem wina w dłoni, podczas gdy jako mały

chłopiec stałem na bałtyckiej plaży z wiaderkiem i ze strażniczymi groźnymi wieżami za plecami i patrzyłem w stronę mitycznej północnej krainy.

U malarza Piotra Krosnego; mój przyjaciel, moja trośka, znakomity malarz, który nie daje sobie rady, klepie biedę, nie sprzedaje obrazów. Wiele jego winy, jest autodestrukcyjny, nie ma telefonu, komputera. Dzielnica Bromma, ładnie, małe mieszkanko, wszędzie jego niezwykłe obrazy. Nasze narzekania na zdrowie, na głupotę ludzkości, na sztukę, na własne bóle duszy. Wpadam oczywiście do Muzeum Narodowego, wracam do mieszkających tam obrazów jak do starych znajomych, malutki autoportret Rembrandta patrzy mi głęboko w oczy.

Spotkanie z „dziewczynami” z mojego instytutu, wspominamy, jak szalona Laura – jest teraz z nami, w instytucie opiekowała się malarstwem – załatwiła królową Szwecji. Była bardzo przejębiona, a zajmowała się królową, kiedy para królewska, przed zapowiedzianą wizytą w Polsce, a po obiedzie w pobliskiej ambasadzie, odwiedziła nasz instytut. Królowa Sylwia nie pojechała z królem do Polski, bo zapadła na przeziębienie, na pewno z winy Laury. Wpływ kataru na historię świata.

Wypytyuję znajomych o napływ imigrantów, Szwecja przyjęła ich ponad milion. Kraj kiedyś niezwykle jednolity etnicznie, jasnowłosy, teraz pełen ciemnoskórych i śniadych, kobiety w chustach. Ale już widać, jak wzbogacają szwedzki krajobraz. Coraz więcej ich w świecie kultury, w polityce, w sporcie. Na niepokoju i z lęku przed imigrantami urosła jednak populistyczna partia Szwedzkich Demokratów, jest teraz na trzecim miejscu w partyjnym rankingu. Ale generalnie Szwecja to kraj wielkiej tolerancji.

Wszystkie autobusy udekorowane tęczowymi flagami, bo zbliża się parada równości, takie flagi też na budynkach państwowych. To już niemal święto narodowe, wesole, radosne. Myślę o Szwecji, jak zmieniła się od mojego tu pobytu, jest bardziej na zewnątrz, tysiące kawiarni. I chociaż Polska doskoczyła cywilizacyjnie, sklepy spożywcze mamy nawet lepsze, to nadal mi się zdaje, że Szwedzi mają gładkie dusze, a Polacy postrzępione.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Kłopoty w turystycznym raju

Tunezja wraca
na ścieżkę
autorytaryzmu



Jakub Katulski

Do Tunezji po dwuletniej przerwie spowodowanej pandemią koronawirusa stopniowo wracają turyści. To ogromna ulga dla hotelarzy, restauratorów i pracowników sektora turystycznego czy drobnych przedsiębiorców, takich jak producenci i sprzedawcy pamiątek, w kraju będącym przecież jednym z najpopularniejszych kierunków urlopowych w Afryce Północnej. W ostatnim czasie nie mieli powodów do zadowolenia, dzisiaj odradzają się choćby warsztaty drobnych rzemieślników, takich jak ci wyplatający ręcznie tradycyjne torebki ze żdźbeł ostnicy morskiej, trawy występującej w basenie Morza Śródziemnego.

Rękodzieło jest dla Tunezyjczyków istotne i kraj szczyci się ponad 80 jego gałęziami, takimi jak garncarstwo, tkactwo czy produkcja wyrobów miedzianych, czym według danych ONZ para się ponad 350 tys. rzemieślników. Tunezja uczyniła

z nich jeden z głównych elementów kampanii promujących turystykę w regionie i te właśnie towary są jednymi z najpopularniejszych pamiątek kupowanych przez turystów.

Choć ruch turystyczny z zagranicy się zwiększa, najbliższa przyszłość kraju wciąż nie jest do końca jasna, zwłaszcza w obliczu trwających przemian politycznych. Do niedawna panowało przekonanie, że Tunezja to jedyne państwo, w którym protesty arabskiej wiosny odniosły sukces, przekształcając ją w demokrację liberalną, zaprojektowaną na wzór zachodni, z pluralizmem politycznym, wolnością słowa i prasy. Dzisiaj wygląda na to, że powróciła na ścieżkę autorytaryzmu.

W lipcu ub.r. prezydent Kais Saied postanowił przejąć pełnię władzy, zawiesić parlament, odwołać gabinet Hiszama Maszisziego i rządzić za pomocą dekretów. Opozycja i niezależni dziennikarze, zarówno z regionu, jak i spoza niego, niebezpiecznie nazwali ten ruch zamachem stanu. Parlament wybrany został

w końcu w demokratycznych wyborach i w równie demokratycznym procesie wyłoniony został rząd. Ale według Saieda był to jedyny sposób na wyjście z trudnej sytuacji, w której znaleźli się Tunezyjczycy.

Kraj bowiem, po demokratycznych reformach, wpadł w kryzys bezrobocia i niskich płac, spotęgowany przez pandemię. W trzecim kwartale ub.r. ponad 18% Tunezyjczyków pozostawało niezatrudnionych, a w przypadku populacji do 24. roku życia wskaźnik ten przekraczał nawet 42%. Wywołało to zrozumiały gniew, którego wyrazem były protesty, przetaczające się przez Tunezję od początku 2021 r.

Premier Hiszam Maszisi próbował uspokoić wówczas nastroje, nie przyniosło to jednak pożądanego skutku, a prezydent Saied krytykował nieporadność rządu. Sam też winą obarczał siły islamistyczne, w tym dominującą w parlamencie i powiązaną z Braciami Muzułmanami partię An-Nahda (arab. Odrodzenie). Niepokoje społeczne nie sprawiły,

że politycy poszli po rozum do głowy. W lipcu ub.r. do mediów wyciekły informacje, że premier Maszisi z grupą ministrów spędził weekend w luksusowym hotelu w mieście Hammamet, jednym z najpopularniejszych kurortów w regionie. Obywatelom w tym czasie nie wolno było korzystać z podobnych atrakcji, gdyż obowiązywały ograniczenia poruszania się po kraju, a w szpitalach kończył się tlen podawany pacjentom w stanie ciężkim.

Nie jeden turysta zastanawia się, na ile bezpieczne będą wakacje w kraju, który od roku znajduje się w poważnym kryzysie politycznym.

Znacząco wzrosły także ceny podstawowych towarów, ponieważ rząd zdecydował się na obniżenie subsydiowania cukru, odmawiając jednocześnie nałożenia ograniczeń na ceny innych produktów. Wynikało to z trwających rozmów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym w kwestii udzielenia Tunisowi pożyczki, która mogłaby podreperować finanse publiczne. Decyzja niepopularna, ale MFW często oczekuje od potencjalnych pożyczkobiorców ograniczenia wydatków socjalnych, co zwykle stanowi cios w najbiedniejszych obywateli.

Było to tym trudniejsze, że kryzysem został dotknięty jeden z najważniejszych sektorów gospodarki. Do 2019 r. Tunezja przyjmowała niemal co sezon więcej turystów. Jedynie w latach niepokoju, jak podczas arabskiej wiosny, te liczby spadały, choć nigdy nie do poziomu tak niskiego jak w pierwszym roku pandemii. Bezpośrednio przed nim kraj odwiedziła rekordowa liczba niemal 9,5 mln chętnych do zwiedzania zabytków czy wypoczynku na malowniczych plażach Morza Śródziemnego. Hotelarze i inni przedsiębiorcy działający w sektorze liczyli, że kolejny rok przyniesie jeszcze większe przychody, przebijając dotychczasowy spektakularny wynik 5,6 mld dinarów.

Pandemia brutalnie zweryfikowała oczekiwania, obcinając przychody z turystyki do ledwie 2 mld dinarów,

które przyjechały razem z 2 mln turystów. Wiele hoteli nie było w stanie sobie z tym poradzić i musiały się zamknąć, co spowodowało, że dziesiątki tysięcy Tunezyjczyków straciły pracę.

Dzisiaj sytuacja trochę się poprawia, choć wciąż jest daleka od idealnej. Dotychczas w 2022 r. Tunezję odwiedziło ok. 3 mln osób, głównie z sąsiedniej Libii i Algierii, w dużej mierze dzięki otwarciu lądowych granic po dwuletniej przerwie.

Ostateczna liczba raczej nie przebieje rekordu sprzed trzech lat, ale daje pewne nadzieje na odbicie się sektora, który dawniej odpowiadał za ponad 12% produktu krajowego brutto.

Nie jeden turysta może jednak się zastanawiać, na ile bezpieczne jest odwiedzenie kraju będącego od roku w poważnym kryzysie politycznym, którego ostatnim przejawem było referendum konstytucyjne z 25 lipca, zbojkotowane przez opozycję jako legitymizujące działania Kaisa Saieda. Do urn wybrało się ledwie ok. 30% obywateli, najmniej w historii wszystkich ważniejszych głosowań, które odbyły się w Tunezji od czasu arabskiej wiosny. 95% opowiedziało się za przyjęciem dokumentu, który wprowadzał pełny system prezydencki, dający Saiedowi uprawnienia do mianowania i odwoływania członków rządu czy zawieszania parlamentu, a przy tym zapewniający mu immunitet i wykluczający możliwość zdjęcia go ze stanowiska.

Co prawda, liczba kadencji prezydenta została ograniczona do dwóch, lecz Saied pozostawił sobie furtkę pozwalającą na przedłużenie urzędowania, gdyby wybory nie mogły się odbyć ze względu na „nagłe zagrożenie”. To budzi poważne obawy o przyszłość tunezyjskiej demokracji.

Ci, którzy popierali decyzję prezydenta i nową ustawę zasadniczą, przekonują, że władza w rękach

silnego przywódcy jest gwarancją bezpieczeństwa i stabilnej sytuacji. W świecie arabskim demokracja widziana jest jako system słaby, który wiąże się z problemami ekonomicznymi. Zwolennicy tej zmiany liczą więc, że Saied rozwiąże ich kłopoty, poprawi sytuację rynkową i zwiększy zatrudnienie. A jeśli uda mu się zabezpieczyć kraj, to wrócą turyści i znowu ruszy tunezyjska gospodarka. Nie zdołał jeszcze powstrzymać inflacji, która w lipcu ponownie wzrosła – w dziesiątym z kolei miesiącu – osiągając 8,2%. Przede wszystkim wzrosły ceny jedzenia i napojów, a także odzieży i obuwia, choć zwolnił wzrost cen alkoholi i wyrobów tytoniowych.

Tunezja zdecydowała się na poluzowanie obostrzeń nakładanych na przyjezdnych, umożliwiając wjazd osobom w pełni zaszczepionym przeciw covidowi, jak również niezaszczepionym, którzy wykonają test PCR lub antygenowy. Dotychczas musiałyby one też odbyć pięciodniową kwarantannę, ale od czerwca nie jest już wymagana.

Jeszcze w maju minister turystyki Mohamed Moez Belhassine w rozmowie z „Rzeczpospolitą” podkreślał, że popyt na tunezyjskie wakacje jest duży także wśród Polaków, a jego kraj liczy na to, że w sezonie przyjmie aż 100 tys. turystów z nad Wisły, czyli tylu, ilu przyjechało w 2019 r. Czy ta prognoza się sprawdzi, dopiero się okaże. Tymczasem biura podróży w swoich ofertach kuszą wakacjami all inclusive dostępnymi przeciętnie za ok. 2,5 tys. zł za tydzień, choć są i propozycje tańsze. Bardzo lubiany przez Polaków kierunek może więc znowu zyskać na popularności. ■



Nierozliczona rzeź na Woli

Zobaczyłem, iż dom nr 54 stoi w płomieniach, słyszałem dochodzące straszne krzyki i wołanie dzieci „mamo”

Kiedy w dniach obchodów rocznicy wybuchu powstania warszawskiego składany jest hołd powstańcom, często ich walka pokazywana jest jako przegrana młodych ludzi, którzy chwycili za broń. W prawicowej polityce historycznej powstanie wybuchło przeciw Niemcom, a tak naprawdę przeciw Rosji, zakończyło się zwycięstwem (moralnym) i dzięki niemu Polacy zostali Polakami. 1 sierpnia warszawiacy śpiewają powstańcze piosenki w atmosferze prawie pikniku. A przecież ta rocznica powinna być dniem żałoby, upamiętniającym śmierć co najmniej 150 tys. mieszkańców miasta, skazanych na zagładę i zamordowanych nierzadko z bezwzględny okrucieństwem. Również przez Polaków.

Wola i Ochota były pierwszymi dzielnicami, w których Niemcy przystąpili do uderzenia na powstańców, a także miejscami największych tragedii. O ile zbrodnie na Ochocie (w mniejszej skali) były w zasadzie efektem przyzwolenia dowództwa Niemców na mordowanie, o tyle na Woli były one systematycznym działaniem, realizowanym z iście niemiecką precyzją. A dokładnie ludobójstwem.

Dowódca AK gen. Bór-Komorowski wiedział o masakrach, 6 sierpnia bowiem ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław” informował go: „Nieprzyjaciół paląc kolejne domy – wycina ludność Woli... Szykuje się wielka tragedia, tak jak historyczna rzeź Pragi... Jeśli możecie dać pomoc, to

szybko, godzin zostało niewiele...”. Trudno powiedzieć, że powstańcy uchylali się od udzielenia pomocy ludności Woli, bo robili to na miarę możliwości, należy jednak zapytać, czy dowódcy AK po 6 sierpnia nie powinni zakończyć powstania.

Prezentujemy fragmenty protokołów zeznań mieszkańców Woli, złożonych przed warszawską Komisją Badania Zbrodni Niemieckich w 1946 r., które ukazały się w czteroczęściowej publikacji „Ludność cywilna w powstaniu warszawskim” (PIW, Warszawa 1974).

Paweł Dybicz

WIESŁAWA CHEŁMIŃSKA, lat 14, (...) opisała 6 maja 1946 r. przebieg egzekucji w piwnicy szpitala św. Łazarza, położonego przy ulicy Leszno.

Na podwórzu esesmani kazali nam stanąć pod murem tego budynku, z którego wyszliśmy. Stała tam już grupa wyprowadzona z sąsiedniej piwnicy, licząc na oko, mogło być ponad pięćset osób. Personel lekarsko-sanitarny został odprowadzony. Pozostała ludność cywilna i ranni. Postyszałam strzały dochodzące z piwnicy i zobaczyłam, iż esesmani przez okna strzelają do leżących w piwnicy rannych. Po pewnym czasie zaprzestano strzelać, a esesmani zaczęli wołać do piwnicy po kilka osób z naszej grupy, a zaraz potem, jak wchodziły, słyszałam strzały. Gdy

w grupie pozostało około trzydziestu osób, zawołano mnie do piwnicy z matką. (...) Zaraz za drzwiami po wejściu zobaczyłam na ziemi krew, a w oddziale piwnicy naprzeciwko wejścia stos trupów wysokości 1 metra. Paliło się światło elektryczne. Na korytarzu stała grupa esesmanów, a przy wejściu do każdego oddziału stał esesman z bronią gotową do strzału (z rozpylaczem). Kazano mi wejść do oddziału, gdzie leżał stos trupów wielkości jednego metra i kałuże krwi. Mnie i matkę kazano wejść na zwłoki. Matka weszła pierwsza i widziałam, jak esesman strzelił jej w tył głowy i jak upadła. Wszłam za nią i upadłam, nie czekając, aż żołnierze strzelą do mnie. Strzelił jednak, raniąc mnie w prawe ramię. Po mnie musiał wchodzić na stos około 20 osób, zanim je rozstrzelano. Na mnie upadło kilka zwłok, tylko głowę miałam nieprzykrytą. (...) Nie wiem, kiedy Niemcy wznieśli pożar. (...)

Wydostałam się spod trupów i przeszłam do następnego oddziału piwnicy, gdzie leżało wewnątrz przy drzwiach około piętnastu zwłok. Schowałam się pod stołem w obawie przed nadejściem żołnierzy niemieckich. Było bardzo gorąco, dusił zapach spalenizny, a materace zakrywające okna zaczęły się tlić. Po pewnym czasie dostrzegłam, iż jakaś

**HISTORIA
bez IPN**

**DEMASKUJEMY
KŁAMSTWA
O POWSTANIU**

**5 tomów
w pakiecie
140 zł ~~210 zł~~**



41 zł 31 zł
**Kto odpowiada
za śmierć
200 tysięcy cywilów**



42 zł 32 zł
**Błędy dowódców.
Poufne rozkazy
i dokumenty**



40 zł 30 zł
**Obłęd i głód.
Nieznany „dziennik
powstańców”**



44 zł 34 zł
**Raporty oficerów AK:
To się skończy
katastrofą**



43 zł 33 zł
**Gen. Władysław
Anders: Powstanie
to zbrodnia**



Ofiary rzezi powstańczej na Woli.

kobieta kręci się pomiędzy zwłokami. Stojący na podwórzu koło piwnicy żołnierz zastrzelił ją. Dołączyła do mnie chora na zapalenie płuc Maria Rykiel (...). Poza nią nie widziałam, by ktoś z rozstrzelanych dawał znaki życia. Rano razem z Ryklową wyszliśmy z piwnicy, ponieważ na podwórzu nie było Niemców. Widząc, iż pożar nie objął kuchni, weszłam tam i zobaczyłam zwłoki mej siostry i innych ciężko rannych. Zwłoki miały ślady postrzałów. (...)

STEFAN URLICH, zeznanie z 26 stycznia 1946 r. (...) o zbrodniach popełnionych przez hitlerowców przy ulicy Bema.

W dniu 5 czy też 6 sierpnia 1944 (daty dokładnie nie pamiętam) oddziały niemieckie wypędziły ludność cywilną z ulicy Bema. (...) W kilka dni po wysiedleniu ludności, 8 czy 9 sierpnia 1944 roku, zauważyłem,

iż nad bramą domu 54 została wywieszona flaga z czerwonym krzyżem, okna od strony toru kolejowego zostały zabite deskami, a przed bramą domu zauważyłem grupki po dwu, trzech esesmanów z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawach mankietów. W tym czasie ulicą Bema od Dworca Zachodniego były prowadzone pod eskortą grupy ludności cywilnej, wysiedlonej z innych dzielnic Warszawy. Esesmani z opaskami Czerwonego Krzyża odłączali od grupy pędzonych grupy dzieci lat sześciu do dziesięciu, kaleki, staruszki i kobiety ciężarne i odłączonych zaprowadzili do domu Kosakiewicza. Widziałem to, jadąc rykszą po kartofle dla kuchni kolejowej przez ulicę Bema na pola pod Szczęśliwicami. Widziałem potem, iż dzieci wyglądały przez okna od strony ulicy Bema na parterze, starsi na pierwszym piętrze. Sądząc z tego, iż w oknach widać

było dużo osób zgromadzonych w domu, mieszkania były wypełnione. Liczby osób zgromadzonych w domu nie umiem określić. Pomiędzy godziną 23 a 24 usłyszałem straszne jęki, krzyki i strzały dochodzące z posesji Kosakiewicza. Wydawało mi się, iż strzały padają z posesji Lilpopa, położonej naprzeciwko nr 54. Wyszedłem po cichu z domu (było to niebezpieczne, robotnikom zakazano wychodzić z domu po zmierzchu), doczołgałem się do rowu po stronie toru kolejowego. Zobaczyłem wtedy, iż dom nr 54 stoi w płomieniach, a jednocześnie słyszałem dochodzące z płonącego domu straszne krzyki i przekleństwa rzucane na Niemców i wołanie dzieci „mamo”. Nikt z płonącego domu nie uciekał, z tej strony okna były zabite deskami, drzwi musiały być zamknięte. Od strony fabryki Lilpopa padały strzały seryjne, nie zorientowałem się z jakiej broni. Zrozumiałem, iż płoną ludzie żywi zamknięci w domu, a żołnierze niemieccy stacjonujący w fabryce Lilpopa ostrzeliwują okna wychodzące na Bema. Czy wszyscy zgromadzeni w domu Kosakiewicza zostali żywym spaleni, czy część została przedtem rozstrzelana, nie wiem. (...)

Po powrocie do Warszawy w dniu 18 stycznia 1945 roku udałem się do domu Kosakiewicza, gdzie zastałem gruzy. W miejscu, gdzie stał uprzednio dom Kosakiewicza, znajdowało się mnóstwo drobnych kości, prochów, czaszek ludzkich i piszczeli. Pod szkieletami łóżek żelaznych na parterze były grupki kości o rozmiarach drobnych, niedopalonych.

FOT. WIKIPEDIA

Nakład już prawie wyczerpany! Dziękujemy!

Robimy kolejny dodruk

Jeśli chcesz mieć pewność, że książki trafią w Twoje ręce, kup teraz 5 tomów w promocyjnej cenie 140 zł. Po wyczerpaniu nakładu wysyłka zostanie zrealizowana z nową dostawą 24 sierpnia 2022 r.

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeгляд.pl

lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

KURIER GRATIS



Tytuły dostępne jako e-booki
9,90 zł
29,90 zł

Książki PRZEGŁADU

Między zwycięstwem a podłością

Rugowanie lewicy z udziału w wojnie 1920 r. zbiera owoce

Paweł Sergiejczyk

Wydawać by się mogło, że w naszej najnowszej historii akurat zwycięstwo nad bolszewicką Rosją w 1920 r. jest tym wyjątkowym wydarzeniem, które łączy, a nie dzieli Polaków. Ale każdy istotny moment dziejowy stanowi pokusę dla różnych środowisk, by wykorzystać go do kreowania własnej wizji przeszłości, korzystnej z punktu widzenia ich aktualnych potrzeb politycznych i ideologicznych. Nie inaczej jest z ocaleniem polskiej niepodległości 102 lata temu.

Wybitny lewicowy ekonomista, prof. Czesław Bobrowski, który jako 16-latek poszedł wówczas na ochotnika do armii, pisał po latach: „Wracając do roku 1920, muszę podkreślić, że ta atmosfera solidarności czy wręcz jedności, jaka wyraziła się w powszechnych zgłoszeniach do wojska, nie była trwała. Przeciwnie, bardzo prędko zarysowały się dwa obozy. Dla jednych bohaterami byli generał Haller i ksiądz Skorupka, drudzy ojca zwycięstwa widzieli w marszałku Piłsudskim”¹.

Trudno nie zauważyć, że tamten podział powoli odradza się i dzisiaj. Oczywiście nikt otwarcie nie kwestionuje faktu, że to Piłsudski był w 1920 r. naczelnym wodzem polskiej armii – można o tym przeczytać w każdym szkolnym podręczniku. Ale już w szczegółach opowieść o sierpniowym zwycięstwie nad armią Tuchaczewskiego – i w ogóle o pierwszych latach niepodległej Polski – zawiera coraz więcej niedomówień i przekłamań.

Stoi więc na piedestale Józef Piłsudski, ale jako człowiek pomnik, a nie działacz polityczny, który miał konkretną wizję Polski i Europy, konkretne przekonania, konkretny życiorys, który dziś jest co najmniej w połowie przemilczany. „Sądzę, że jego socjalizm nie był wallenrodzmem, ani owym zmyślonym przez Nowaczyńskiego tramwajem, z którego jakoby z góry postanowił wysiąść na przystanku niepodległości, lecz że był to socjalizm autentyczny. Wystarczy zresztą zapoznać się z pisarstwem Piłsudskiego z owych czasów, by zrozumieć, że nic tam nie było udane, że każde słowo biło żarem szczerości socjalistycznych przekonań”, pisał w stulecie urodzin Piłsudskiego Adam Ciołkosz, jeden z przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej. Tej samej partii, której późniejszy marszałek Polski był czołowym działaczem przez niemal ćwierć wieku (od utworzenia PPS w 1892 r.). „Prawdą jest, że Piłsudski z biegiem lat odchodził od socjalizmu i odczuwał go jako przeszkodę w swych zamierzeniach. Z Polskiej Partii Socjalistycznej wystąpił w roku 1916. Jednakże ślad przekonań i rozpoznania, nabytych w młodych latach, pozostał w nim i później. Jeszcze w roku 1928 zapewniał górników z Jaworzna, że będą mieli ubezpieczenie na starość”².

Kompleks kleru

Formalna bezpartyjność Piłsudskiego jako naczelnika państwa w latach 1918-1922 nie miała znaczenia dla jego przeciwników politycznych. A przeciwnikiem numer jeden była

wówczas prawica narodowo-demokratyczna (endecja), czyli obóz Romana Dmowskiego, który – trzeba to podkreślić – najpierw przebywał w Paryżu jako delegat Polski na konferencji pokojowej, a po powrocie do kraju niechętnie angażował się w bieżącą walkę polityczną (przynajmniej do 1926 r., potem stał się bardziej aktywny jako najwyższy autorytet dla młodego pokolenia narodowców). Ale nawet bez faktycznego zaangażowania Dmowskiego endecja pozostawała najsilniejszym ugrupowaniem w pierwszych sejmach II Rzeczypospolitej, co zawdzięczała przede wszystkim poparciu dużej części – jeżeli nie większości – duchowieństwa rzymskokatolickiego. Miał w tym pewien udział, chcąc nie chcąc, sam Piłsudski, który jeszcze pod koniec 1918 r. wprowadził (jako jeden z pierwszych w Europie) powszechne prawo wyborcze dla kobiet. Skutek był taki, że większość kobiet na terenach wiejskich głosowała tak, jak im kazali proboszczowie, czyli na endecję.

Dlaczego polski kler w pierwszych dekadach XX w. postawił na narodowców, tak jak dziś stawia na PiS? Przecież sam Dmowski przez większość życia był człowiekiem niewierzącym, a wśród jego najbliższych współpracowników nie brakowało ludzi o mało katolickich życiorysach (np. Zygmunt Balicki w młodości był masonem, Stanisław Grabski zaś – jednym z założycieli PPS). Jakże charakterystyczna jest anegdota o tym, jak czołowy krakowski konserwatysta, prof. Stanisław Tarnowski, przekazując w 1910 r. katedrę historii literatury polskiej na Uniwersytecie



Narada w głównej kwaterze naczelnego wodza w Łapach, sierpień 1920 r.
Nz. gen. Leonard Skierski, członek Misji Francuskiej gen. Paul Henryks i marszałek Józef Piłsudski.

Jagiellońskim Ignacemu Chrzanowskiemu, wymógł od niego przysięgę na krucyfiks, że nie należy do masonerii – Chrzanowski był bowiem endekiem, a ci uchodzili w oczach starych konserwatystów za towarzystwo bezbożne i ogólnie podejrzane.

A jednak duża część polskich biskupów i proboszczów po 1918 r. poparła partię Dmowskiego. Czy powodem takiego stanowiska był antysemityzm narodowców, który – choć rozpętany przez obóz Dmowskiego w 1912 r. na polu ekonomicznym – dobrze współbrzmiał z ówczesnym podejściem Kościoła do Żydów? Czy raczej zadecydował kompleks duchowieństwa wobec Piłsudskiego i jego środowiska legionowego? Wszak polski Kościół przed 1918 r. wykazywał się daleko idącym konformizmem wobec władz zaborczych, czego symbolem może być kard. Aleksander Kakowski, który w 1910 r. został rektorem Akademii Duchownej w Petersburgu, trzy lata później z woli cara Mikołaja II objął funkcję arcybiskupa warszawskiego, po wybuchu I wojny światowej zajął stanowisko skrajnie prorosyjskie,

a gdy Warszawa znalazła się pod władzą niemiecką, zmienił orientację i wszedł w skład powołanej przez nowych okupantów Rady Regencyjnej. Polski kler nie miał większych tradycji niepodległościowych (odważni księża angażujący się w działalność przeciwko zaborcom miewali raczej kłopoty z przełożonymi), toteż endecja, która od 1905 r. otwarcie wspierała rząd carski przeciwko powstańczo-rewolucyjnym akcjom PPS, była dla duchowieństwa idealnym sojusznikiem.

Za to Piłsudski był dla obu tych środowisk wrogiem śmiertelnym. Nieustającą endecką kampanię przeciwko naczelnikowi państwa da się porównać tylko z dzisiejszą kampanią rządzącej prawicy przeciwko Donaldowi Tuskowi, a wcześniej, przez wiele lat, przeciwko Lechowi Wałęsie. Narodowcy i duża część kleru uważali Piłsudskiego nie tylko za socjalistę, ale wręcz za „bolszewika” (co stanowiło odpowiednik dzisiejszego „lewactwa”, a nie nazwę konkretnego nurtu politycznego). Kwestionowano jego patriotyzm, umniejszano znaczenie walki

zbrojnej o niepodległość (Organizacji Bojowej PPS i Legionów Polskich), przypisywano mu wrogość do religii oraz uzależnienie od masonerii i żydostwa, rozpowszechniano nawet plotki, że jego żona jest Żydówką.

Tak było od samego początku niepodległości, gdy okazało się, że dzięki osobistemu autorytetowi Piłsudski stanął na czele państwa, bo nikt inny nie mógł już wtedy z nim konkurować jako symbol wolnej Polski. Rozgoryczenie endecji było tym większe, że choć wygrała pierwsze wybory do Sejmu w 1919 r. (podobnie jak i drugie w 1922 r.), to nie miała samodzielnej większości, by tworzyć rząd. I właśnie wtedy – wbrew późniejszej czarnej legendzie – okazało się, że to marszałek jest człowiekiem politycznego kompromisu, a jego prawicowcy przeciwnicy zachowują się jak dzisiejsze PiS, traktując Piłkę jako coś, co „im się po prostu należy”.

Dowódcy z trzech zaborów

Piłsudski nie miał problemu z tym, by jako głowa państwa współpracować z ludźmi o odmiennych

► poglądach i życiorysach – już w pierwszych tygodniach sprawowania władzy zaakceptował Dmowskiego jako przedstawiciela Polski wobec zachodnich aliantów, powierzył Ignacemu Paderewskiemu kierowanie ponadpartyjnym rządem, a gdy armie bolszewickie szły na Warszawę, uczynił premierem przywódcę ludowców Wincentego Witosa. Również jako naczelny wódz kierował się wyłącznie interesem państwa, a nie osobistymi uprzedzeniami. Dlatego nie robił w armii żadnej „lustracji” ani politycznej czystki, lecz współpracował z generałami o bardzo różnych drogach życiowych. W rezultacie w 1920 r. wśród dowódców polskich jednostek byli oficerowie zarówno o przeszłości legionowej (Edward Rydz-Śmigły, Kazimierz Sosnkowski, Stefan Dąb-Biernacki czy Marian Kukiel), jak i wywodzący się z armii austriackiej

jednak przyszła kontrofensywa Armii Czerwonej i przeciwnicy naczelnego wodza powrócili do swojej retoryki. Atakowano Piłsudskiego w Radzie Obrony Państwa, w której w lipcu 1920 r. zasiadał sam Dmowski (obok przedstawicieli innych klubów poselskich), ale nie tylko tam.

19 lipca „zgłosiła się do Belwederu, gdzie odbywały się posiedzenia ROP, delegacja z Poznania, którą prowadził poseł na Sejm, ks. Stanisław Adamski. Piłsudski wyszedł z sali obrad w towarzystwie gen. Sosnkowskiego i przyjął delegację. Swoje przemówienie ks. Adamski zakończył słowami: »Społeczeństwo poznańskie obserwuje z głęboką troską niepojęte wydarzenia na froncie, a nie rozumiejąc, co się dzieje, dopatruje się zdrady i zdradę tę widzi tutaj« – i wyciągnął palec w stronę Piłsudskiego, który bez słowa odwrócił się i wyszedł z pokoju”, pisał biograf

– nieproporcjonalnie do rzeczywistego znaczenia – legendy gen. Józefa Hallera (związanego ze środowiskami kościelnymi) i ks. Ignacego Skorupki. Oczywiście bohaterskiej śmierci młodego warszawskiego kapelana czy niewątpliwych zasług wojskowych gen. Hallera nikt nie kwestionuje. Nie ma też wątpliwości co do istotnej pozycji kierującego wówczas Sztabem Generalnym gen. Tadeusza Rozwadowskiego, którego część środowisk prawicowych próbuje jednak obsadzić w roli faktycznego zwycięzcy w bitwie warszawskiej (szczególnie dużo dla zbudowania legendy Rozwadowskiego zrobił czołowy publicysta endeki na emigracji, Jędrzej Giertych, niekryjący niechęci do Piłsudskiego).

W tych usiłowaniach umniejszenia roli marszałka trudno nie dostrzec zamiaru wciśnięcia historii Polski w nacjonalistyczno-klerykalny

Adam Ciołkosz: Socjalizm Piłsudskiego nie był wallenrodzysmem ani owym zmyślonym przez Nowaczyńskiego tramwajem, z którego jakoby z góry postanowił wysiąść na przystanku niepodległości, lecz był to socjalizm autentyczny.

(Józef i Stanisław Hallerowie, Stanisław Szeptycki, Władysław Sikorski) czy nawet rosyjskiej (Wacław Iwaszkiewicz, Leonard Skierski, Władysław Anders). I nie miało znaczenia, że wielu z nich nie kryło politycznej niechęci do Piłsudskiego – pierwsze lata II Rzeczypospolitej to nie był czas na małostkowość w służbie państwowej. Zupełnie inaczej niż w III Rzeczypospolitej...

Dzięki takiemu nastawieniu marszałka odrodzone państwo szybko zyskiwało kolejne fundamenty: najpierw małą, następnie dużą konstytucję (w marcu 1921 r.), sojusz wojskowy z Francją (co było ówczesnym odpowiednikiem członkostwa w NATO), a przede wszystkim samo ocalenie niepodległości w wojnie z bolszewicką Rosją. Tutaj postawa prawicy wobec Piłsudskiego od początku była agresywna, z wyjątkiem maja 1920 r., gdy po zdobyciu Kijowa cały Sejm – podobnie jak społeczeństwo Warszawy, z duchowieństwem włącznie – rozpywał się w hołdach dla „następcy Chrobrego”. Potem

marszałka Wacław Jędrzejewicz, dodając przy tym: „Po stolicy i po kraju krążyły w tym czasie najbardziej nieprawdopodobne plotki dotyczące Piłsudskiego, że porozumiewa się z Trockim, że w podziemiach soboru na placu Saskim znajduje się telefon, którym rozmawia bezpośrednio z Kremlem itp. Polityczni przeciwnicy Piłsudskiego szeroko to rozpowszechniali”³. Trudno nie zauważyć, że insynuacyjny język polskiej prawicy i niektórych duchownych (wspominany ks. Adamski został później biskupem katowickim) mimo upływu ponad stu lat niewiele się zmienił.

Zatrzymanie radzieckiego najazdu w sierpniu 1920 r. nie zmieniło zaś stosunku endecji do zwycięskiego wodza. Od tej pory robiła ona wszystko, by podać w wątpliwość kluczową rolę Piłsudskiego jako autora planu rozstrzygającej ofensywy. Temu służyło upowszechnienie określenia „cud nad Wisłą” (pochodzącego z artykułu czołowego publicysty ówczesnej prawicy, Stanisława Strońskiego), a także budowanie

szablonu ideologicznego. Szablon, który niewiele ma wspólnego z prawdziwą przeszłością naszego kraju, a już Piłsudski do takiego szablonu na pewno nie pasuje. Nie tylko dlatego, że w barwnym życiorysie miał epizod zmiany wyznania na ewangelicko-augsburskie (z powodów tyleż osobistych, co konspiracyjnych), zresztą bez większego znaczenia, bo jeszcze w czasie I wojny światowej formalnie wrócił do katolicyzmu. Znacznie ważniejsze jest podejście Piłsudskiego do polskości i jego rozumienie idei Rzeczypospolitej.

W styczniu 1920 r. wygłosił on dwa przemówienia w największych miastach Wołynia, znajdującego się wówczas na linii frontu polsko-sowieckiego. W Równem padły kluczowe słowa: „Kiedy mówimy o kresach, to musimy zdać sobie sprawę z tego, co to są kresy. Kresy to zetknięcie się jednego narodu z innym, jednej kultury z drugą, jednego wychowania z innym. Dlatego też najtrudniejszą zawsze jest wszelkiej polityki kresowej umiejętnością



Oddziały wyruszające na front defilują przed Józefem Piłsudskim, kwiecień 1920 r.

zdobyć silny, mocny szacunek dla władzy jawnej. (...) Jeżeli na całym świecie panuje nieuczciwość w polityce kresowej, ja chciałbym, by nasza polityka kresowa była polityką uczciwą". Natomiast w Łucku Piłsudski oświadczył: „Wołyń zaludniony jest przez różne narodowości, religie i języki. Jeśli ludzie nie będą sobie okazywali szacunku i zaufania, to stan dzisiejszy się nie ostanie. Tylko współpraca wszystkich wyznań, stanów i narodowości może go utrzymać”.

Tysiące lewicowych ochotników

To ostatnie zdanie stanowi po nure memento, bo właśnie Wołyń jest dziś symbolem tego, do czego może doprowadzić skrajny nacjonalizm. Czy dawny PPSowiec zrobił wszystko, by do tego nie dopuścić? Jego sojusz z atamanem Semenem Petlurą (takim samym jak on socjalistą-niepodległościowcem, tyle że ukraińskim) z kwietnia 1920 r. nie doprowadził do

powstania niepodległej, przyjaznej Polsce Ukrainy. Bo choć zwycięstwo w tamtej wojnie mogło dać II Rzeczypospolitej granice znacznie dalej wysunięte na wschód (z Mińskiem i Kamieńcem Podolskim włącznie), to przy zawieraniu traktatu pokojowego w Rydze zwyciężyło myślenie endeckie – główny negocjator z ramienia Sejmu, Stanisław Grabski, skutecznie optował za pozostawieniem większości ziem ukraińskich i białoruskich pod władzą Moskwy. Ten sam Grabski, już jako minister oświaty w kolejnych rządach, robił wszystko, by słowiańskie mniejszości narodowe nie miały prawa do własnego szkolnictwa. Ale i sam obóz Piłsudskiego po przejęciu władzy w 1926 r. nie miał dobrego pomysłu na politykę narodowościową i popełnił w tej sferze poważne błędy – choć najcięższe już wtedy, gdy marszałek nie żył, a jego spadkobiercy podążali w kierunku nacjonalizmu.

Do prawicowej mitologii historycznej nie pasuje jednak nie tylko socjalista Piłsudski, ale w ogóle

jakakolwiek lewica. Jakże wymowny jest fakt, że odsłonięcie w Warszawie pomnika Ignacego Daszyńskiego nastąpiło dopiero w 2018 r., czyli 12 lat później niż odsłonięcie pomnika Dmowskiego. Nic w tym dziwnego, skoro o Daszyńskim już prawie nikt nie pamięta, choć był to pierwszy premier niepodległej Polski (w listopadzie 1918 r. stał na czele Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej z siedzibą w Lublinie) i wicepremier w Rządzie Obrony Narodowej, który powstał w lipcu 1920 r. pod kierownictwem Wincentego Witosa. To połączenie przywódcy ludowców z przywódcą socjalistów w owej dramatycznej chwili zagrożenia państwa nie było przypadkowe. Daszyński, przemawiając wówczas przed Sejmem, wzywał: „Najlepszą instytucją dla obrony narodu jest rząd robotników i chłopów. (...) Apeluję do was nie jako do członków partii, lecz jako do ludzi, którym zagraża wielka, wspólna katastrofa. Jeśli robotnik ma produkować amunicję, chłop ma oddać ▶



Józef Piłsudski (w środku na pierwszym planie) w towarzystwie m.in. dowódcy 4. Armii gen. Leonarda Skierskiego (na prawo od marszałka).

► wojsku swoje zboże, swojego jedynego konia i syna, to niech czuje, że rząd jest jego własny”.

Ale dziś już nie mówi się o „rządzie robotniczo-chłopskim” Witosa-Daszyńskiego, który powstał w wyniku kompromitacji prawicowego gabinetu Władysława Grabskiego (premier został zmuszony do dymisji, po tym jak zgodził się na upokarzające dla Polski warunki narzucone przez zachodnich aliantów podczas konferencji w belgijskim mieście Spa). Dziś w ogóle uczestnictwo działaczy chłopskich i robotniczych w walce o niepodległość spychane jest na margines. A przecież Polskę w 1920 r. uratowała właśnie mobilizacja mas pracujących (jakże to niemożliwy termin!), które poszły do walki na apel Witosa i Daszyńskiego.

Wśród tysięcy ochotników wступających wtedy do armii byli ludzie, o których prawicowa „polityka historyczna” wołałaby zapomnieć – rówieśnicy i pobratymcy ideowi Cezarego Baryki z „Przedwiośnia” Żeromskiego. Tacy jak Adam Ciołkosz i Stanisław Dubois – późniejsi przywódcy PPS, jak młodzi komuniści Aleksander Zawadzki i Zygmunt Modzelewski – po latach

członkowie najwyższych władz PZPR i Polskiej Ludowej (pierwszy był przewodniczącym Rady Państwa PRL, drugi – ministrem spraw zagranicznych, w 1920 r. (!) młodym działaczem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski), czy początkujący poeta Władysław Broniewski, wtedy jeszcze uważający się za socjalistę, niedługo później już za komunistę. Broniewski zapisał w pamiętniku pod datą 2 września 1920 r.: „Wczoraj z wielką paradą przypięto mi Virtuti Militari – na razie zamiast krzyża wstążeczkę. Odbiło się to w Janowie na rynku, po uprzednim odprawieniu mszy i długim gładzeniu klechy”⁴.

I jeszcze jedna charakterystyczna scena, którą z kolei zapamiętał Władysław Bartoszewski jako uczestnik kongresu Mikołajczykowskiego PSL w styczniu 1946 r.: „Gośćmi kongresu byli Bierut, Osóbka-Morawski, Cyrankiewicz, Rola-Żymierski, Stronnicwo Demokratyczne reprezentował minister Jan Rabanowski. Ich wystąpienia przyjęte zostały z godną uwagą, natomiast przemówienie Podedwornego, który reprezentował »lubelskie« Stronnicwo Ludowe, było przerywane krzykami. On nie ustępował, odkrzykiwał,

kłócił się z salą, aż w końcu powiedział: – Jeśli nie chcecie mnie słuchać jako działacza Stronnictwa Ludowego, to wysłuchajcie mnie jako ochotnika z 1920 roku! Sala wybuchła oklaskami. Pozwolono mu dalej mówić. A ja pomyślałem, że to są prawdziwi Polacy, którzy mogą coś rozumieć albo czegoś nie rozumieć, ale miejsce polskiego inteligenta jest pośród nich”⁵.

Dodajmy, że Bolesław Podedworny był później wieloletnim wiceprezesa ZSL, ministrem leśnictwa, wreszcie wiceprzewodniczącym Rady Państwa PRL. Tak, Polska Ludowa również była ojczyzną ludzi, którzy w 1920 r. uratowali niepodległość II Rzeczypospolitej. Tylko kto chce o tym pamiętać?

Paweł Siergiejczyk

¹ Czesław Bobrowski, *Wspomnienia ze stulecia*, Lublin 1985, s. 41.

² Adam Ciołkosz, *Walka o prawdę. Wybór artykułów 1940-1978*, Londyn 1983, s. 191-192.

³ Wacław Jędrzejewicz, *Józef Piłsudski 1867-1935. Życiorys*, Londyn 1985, s. 90-91.

⁴ Władysław Broniewski, *Pamiętnik 1918-1922*, Warszawa 1984, s. 201.

⁵ Michał Komar, *Władysław Bartoszewski. Skąd pan jest? Wywiad rzeka*, Warszawa 2006, s. 139-140.

Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny

Związek zawodowy rolników w Polsce w okresie od 1 maja 2021 r. do 31 sierpnia 2022 r. realizuje projekt „Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny”, który proponuje różnorodne działania i wydarzenia zapewniające godną pracę oraz wzmocnienie ochrony socjalnej sektora rolnego. Projekt rzuca także wyzwanie brakowi standardów godnych warunków pracy w sektorze rolnym. Identyfikujemy:

- niewielki zasięg rolniczych związków zawodowych;
- wysoki wskaźnik pracy dorywczej i pracy nierejestrowanej;
- wysoki wskaźnik pracowników zagranicznych oraz udział w zatrudnieniu pośredniczących agencji rekrutacyjnych.

„Godna praca na obszarach wiejskich” w Polsce nigdy nie została opracowana.

Celem projektu jest:

- znalezienie sposobów, dzięki którym zainteresowane strony w sektorze rolnym mogą osiągnąć godne warunki pracy dla pracowników, jednocześnie budując wspólną wizję zrównoważonego rolnictwa poprzez dialog społeczny;
- większy dostęp do informacji i poprawa wiedzy pracowników w sektorze rolnym;
- podnoszenie świadomości krajowych stowarzyszeń branżowych, izby handlowej i organizacji pracodawców, związków zawodowych, inspekcji pracy i sieci organizacji pozarządowych;
- tworzenie poprzez komitety godnej pracy narzędzi do monitorowania negatywnych zjawisk dotyczących pracowników migrujących w sektorze rolnym.

W ramach projektu zrealizowano następujące działania:

- spotkanie otwierające projekt;
- badania ankietowe;
- wizyta studyjna w Norwegii;



- spotkania konsultacyjne w zakresie dialogu społecznego na poziomie dwustronnym i trójstronnym;
- podręcznik;
- dwa szkolenia;
- konferencja międzynarodowa w Polsce.

Wszystkie zadania zostały zrealizowane pomyślnie, a ich uczestnicy ocenili projekt bardzo wysoko. Przeprowadzone badania oraz rozważania przedstawione w podręczniku skłaniają do kilku wniosków. Związki zawodowe odgrywają i powinny odgrywać ogromną rolę jako organizacje, które są najbliżej pracownika i reprezentują jego interesy w relacjach z pracodawcą, często mocniejszym i o silniejszej pozycji rynkowej. W tym względzie warto wykorzystywać dobre praktyki, sprawdzone w innych wysokorozwiniętych krajach, np. w Norwegii. Dobra i skuteczna działalność związków zawodowych zachęcałaby pracowników do włączania się w ich szeregi i wspierania ich działalności. Tym samym siła oddziaływania związków zawodowych, mających mandat większej grupy społecznej, byłaby większa. Ze względu na zmieniające się warunki otoczenia i szoki popytowo-podażowe na rynku pracy (wywołane np. pandemią czy wojną) konieczne jest stałe monitorowanie szeroko rozumianej sytuacji pracowników sektora

rolnego, np. w zakresie standardów bezpieczeństwa i higieny pracy, warunków i form umów między pracodawcami i pracownikami, a także realizacji ich zapisów. Rolę takiego strażnika powinny odgrywać prężnie działające organizacje pracownicze, takie jak związki zawodowe. Warto postrzegać (lub przynajmniej próbować) interesy pracodawców, pracowników i innych partnerów jako wspólne i zbieżne, a nie jako z natury rzeczy wykluczające się. Pracownik wykonujący godną pracę i godziwie wynagradzany jest bardziej wydajny, usatysfakcjonowany swoją sytuacją zawodową i bardziej identyfikuje się z zakładem pracy, dzięki czemu wykonuje swoje zadania bardziej efektywnie. Taki układ zmniejsza koszty transakcyjne wszystkich stron i przyczynia się do lepszego rozwoju danego sektora, a tym samym całej gospodarki.

Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work”. Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca”



Czy Ukraina wdraża strategię obrażania sprzymierzeńców?

Stawianie własnego narodu na pierwszym miejscu i unikanie konfliktu nie czyni nikogo „sprzymierzeńcem Kremla”

Doug Bandow

22 czerwca 2022 r. na stronie Antiwar.com ukazał się tekst Douga Bandowa, którego fragmenty prezentujemy poniżej. Bandow jest pisarzem politycznym, doktorem prawa (doktorat uzyskany w Stanford Law School), współpracownikiem Instytutu Katona (Cato Institute), specjalistą w zakresie polityki międzynarodowej, byłym doradcą prezydenta Ronalda Reagana. Jego poglądy wpisują się w nurt realistycznego myślenia o polityce. Analizy publikowane na łamach takich periodyków jak „Foreign Policy”, „National Interest” czy „National Review” oraz gazet, takich jak

Follies. America’s New Global Empire” (Zagraniczne szaleństwa. Nowe globalne imperium Ameryki). Zawiera ona m.in. miazdzącą krytykę wypowiedzianą przez prezydenta Busha juniora wojny w Iraku, dającej dżihadystom pretekst do wytworzenia i potęgowania antyameerykańskich nastrojów w świecie muzułmańskim oraz poza nim.

Wydaje się, że ukraiński minister spraw zagranicznych Dmytro Kułeba zainicjował nową strategię w wojnie swojego kraju z Rosją. Strategię obrażania najzagorzalszych sprzymierzeńców Kijowa poprzez określanie ich mianem rosyjskich pionków. Napisał on artykuł do „Foreign Affairs” (pod tytułem „How Ukraine Will Win”

i zbrodni wojennych”. Kułeba z pewnością nie jest pilnym czytelnikiem pracy Dale’a Carnegiego „How to Win Friends and Influence People” (wydanie polskie „Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi” – przyp. PK). Potępienie rządów, od których spodziewa się pomocy, jest wątpliwą taktyką. Mówienie im, aby ignorowali interesy własnych narodów, nie zadziała. Nawet dla przyjaciół Kijowa jest to krok za daleko.

Frustracja Kułeby jest zrozumiała. Jego naród został napadnięty, co jest zbrodnią i tragedią. Jednakże jeśli Kułeba i jego rząd liczą na to, że Zachód uratuje Ukrainę, mogą się srodze rozczarować. (...) Po pierwsze, jest to wojna Ukrainy, nie krucjata Zachodu. Od czasu zakończenia II wojny światowej wybuchło wiele konfliktów, ale nawet Stany Zjednoczone (...) unikały zaangażowania się w zdecydowaną większość z nich. (...).

Po drugie, Kijów nie walczy ani za Europę, ani za Zachód, ani za żaden inny kraj. Ukraińcy walczą za Ukrainę. (...)

Po trzecie, walka nie toczy się o demokrację, wolność, porządek oparty na regułach albo o jakąś inną abstrakcję. Urzędnicy waszyngtońscy stale rozprawiają o tych ideałach (...), ale rzadko praktykują to, co głoszą. To, że rządy USA czy Europy są tak często na bakier z wyznawanymi przez siebie wartościami, oczywiście nie usprawiedliwia działań Moskwy, ale podaje w wątpliwość ich nieustanne twierdzenia, że walczą o coś większego. (...)

Po czwarte, ci urzędnicy krajów wspierających Ukrainę, których Kułeba oskarża o „sprzedawanie Ukrainy w imię pokoju i stabilności

Kijów nie walczy ani za Europę, ani za Zachód, ani za żaden inny kraj. Ukraińcy walczą za Ukrainę.

„The New York Times” i „Washington Post”, zawierają wyliczenie i krytykę błędów w polityce wewnętrznej i zagranicznej popełnianych zarówno przez demokratów, jak i republikanów. W swoim dążeniu do obiektywizmu Bandow realizuje jeden z postulatów metodologicznych realizmu. Jak wielu innych amerykańskich realistów sprzeciwiał się rozszerzeniu NATO i konsekwentnie podkreśla konieczność powstrzymywania się przez USA od interwencjonizmu. Inaczej mówiąc, jest przekonany o ograniczonych obowiązkach Ameryki w sferze polityki międzynarodowej. Bandow jest autorem wielu książek, z których chyba najważniejsza ukazała się w 2006 r. pod tytułem „Foreign

– W jaki sposób Ukraina zwycięży; ukazał się on 17 czerwca 2022 r. – przyp. PK). (...) W jego przekonaniu USA i Europa nie robią wystarczająco dużo dla Ukrainy. Uważa on, że kraje ją wspierające, pomimo sankcji nałożonych na Rosję oraz dostarczania Ukrainie broni, w rzeczywistości przechodzą na ciemną stronę. Kułeba pisze: „Wezwania do zawierania niebezpiecznych umów stają się głośniejsze. W miarę jak rośnie zmęczenie i słabnie uwaga, coraz więcej prokremlowskich komentatorów proponuje sprzedaż Ukrainy w imię pokoju i stabilności gospodarczej ich własnych krajów. Choć mogą udawać pacyfistów czy realistów, lepiej postrzegać ich jako sprawców rosyjskiego imperializmu

gospodarczej ich własnych krajów”, robią dokładnie to, po co zostali wybrani. Amerykańscy i europejscy politycy zostali wybrani po to, by promowali „pokój i gospodarczą stabilność swoich krajów”. Dotyczy to także prezydenta Zełenskigo. Jest rzeczą naturalną, że ludzie pragną uniknąć zaangażowania w straszliwe wojny. Szacuje się, że w latach 90. XX w. i pierwszej dekadzie XXI w. w masowym konflikcie rozgrywającym się w Demokratycznej Republice Konga zginęło 5,4 mln osób. Czy ktokolwiek w Kijowie zaproponował interwencję w imię obrony prawa międzynarodowego i ratowania ludzkiego życia? Kto w Ukrainie domagał się działań w celu ochrony Syryjczyków podczas trwającej dekadę wojny domowej? Ukraińcy oczekiwali raczej, że ich przywódcy prowadzić będą politykę „pokoju i gospodarczej stabilności”.

Walka nie toczy się o demokrację, wolność czy porządek oparty na regułach. Urzędnicy waszyngtońscy stale rozprawiają o tych ideałach, ale rzadko praktykują to, co głoszą.

Po piąte, stawianie własnego narodu na pierwszym miejscu i unikanie konfliktu nie czyni nikogo „sprzymierzeńcem Kremla”. Najwyższym zobowiązaniem przywódcy politycznego jest ochrona własnych obywateli, przy czym używane do tego środki muszą być moralne. Nie istnieje zobowiązanie zaangażowania się w wojnę na rzecz innych, a powstrzymanie się od takiego zaangażowania nie oznacza, że sprzyja się agresorowi. Szczególnie gdy weźmie się pod uwagę negatywne konsekwencje przyłączenia się do wojny prowadzonej przez inne państwo. Nikt, kto rozpoczyna konflikt, nie zakłada, że przegra, lecz większość wojen przebiega inaczej, niż przewidywano. Rządy wspierające Ukraińców, które szukają sposobów na ograniczenie swojego zaangażowania w Ukrainie, dbają o własnych obywateli, nie o Kreml.

Po szóste, rosyjsko-ukraińska wojna może eskalować w nieprzewidywalny i niebezpieczny sposób. Kułeba beztrząsco odrzuca wszelkie

ryzyko: „Putin nie jest samobójcą. Zwycięstwo Ukrainy nie doprowadzi do wojny nuklearnej. Takie obawy mogą być celowo podsycane przez Kreml w celach strategicznych. (...) Jestem pewien, że sami Rosjanie propagują wizję osaczonego Putina, aby osłabić zachodnie poparcie dla Ukrainy”. Być może Kułeba wierzy w ten argument, ale ma ku temu powody, gdyż życzy sobie zaangażowania sprzymierzeńców w wojnę (nie ma w tym nic złego, lecz USA i Europa mają dobre powody, by temu nie ulegać). Nikt nie wierzy, że Putin jest samobójcą. Obawa zasadza się raczej na tym, że perspektywa przegranej zachęci go do eskalacji, aby osiągnąć cel, który uważa za egzystencjalny – egzystencjalny dla Rosji, nie dla państw wspierających Ukrainę. Wojna ma o wiele większe znaczenie dla Moskwy, która w związku z tym wyda

więcej pieniędzy i bardziej zaryzykuje, by zwyciężyć. Tak, jak robią to Kułeba i jego koledzy, dążąc do zwycięstwa pomimo straszliwych nieszczęść doświadczanych przez ich współobywateli. Jest to ich wybór. Jednakże nie powinni oni nie doceniać chęci Putina osiągnięcia zwycięstwa wszelką bronią, którą ma do dyspozycji.

Ukraina ma pełne prawo przedkładać walkę nad negocjacje. Kijów powinien jednak dokładnie zważyć koszty takiego postępowania i prawdopodobieństwo zwycięstwa. Co więcej, rządy wspierające Ukrainę muszą podejmować odrębne decyzje, biorąc pod uwagę swoje interesy. Jeśli będą zwiększać presję na wynegocjowanie porozumienia, byłoby lepiej, gdyby Kułeba wysłuchał ich argumentów, zamiast je obrażać. Ostatecznie rządy USA i Europy muszą działać na rzecz swoich obywateli, a nie ukraińskiego rządu.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

WYDAWNICTWO Studio Emka

Mauro F. Guillén

2030

**Jak ścieranie się najwyraźniejszych
dzisiejszych trendów przekształci
przyszłość wszystkiego**

Warszawa 2021

Dobrze wiemy, co się dzieje z dolarami i centami, ale jesteśmy zdumiewająco niedoinformowani o tym, jak struktury społeczne przekształcają świat wokół nas. Ten stan rzeczy zmienia socjolog Mauro F. Guillén. Jego odważna, prowokacyjna książka wyjaśnia, dlaczego mamy mniej dzieci, klasa średnia trwa w zastoju, następują przesunięcia w strukturze bezrobocia i ujawniają się nowe potęgi.

Od przesunięć w trendach demograficznych po urbanizację, zmiany w sieci powiązań między plcią a bogactwem, straty procesowe oraz korekty w gospodarce światowej – autor przypomina o naszych wzajemnych powiązaniach i słabościach.



Mel Silberman, Freda Hansburg

Inteligencja interpersonalna

**Jak utrzymać mądre relacje
z innymi**

Warszawa 2022

Autorzy książki odkrywają tajniki ośmiu podstawowych umiejętności, składających się na inteligencję interpersonalną, oraz proponują skuteczne działania, pomocne w radzeniu sobie we wszelkiego typu kontaktach międzyludzkich – z szefem, współpracownikami, współmałżonkiem, krewnymi i przyjaciółmi. W końcu wszyscy w taki czy inny sposób współpracujemy z ludźmi; każdy z nas niemal nieustannie ma do czynienia z innymi.



PIĘĆ LAT TEMU ODSZEDŁ JANUSZ GŁOWACKI

Hemingway z Krakowskiego Przedmieścia

Był „twórcą i tworzywem” w jednej osobie.
Przekonał o tym najpierw Warszawę, Polskę, potem Amerykę,
a w końcu cały świat

Wiesław Kot

Z domu Głowacki był warszawskim inteligentem. Mama, która wierzyła, że jej jedynak zostanie osobą wybitną, czytywała mu, kiedy był chory, „W poszukiwaniu straconego czasu” i ubolewała, że ta literatura go nie porywa. Prorokowała zatem, że zostanie sprawozdawcą sportowym albo oficerem, zwłaszcza że na pewno fantastycznie będzie się prezentował w mundurze. On z czasem zaczął obawiać, że kiedy dorośnie, zostanie pisarzem. Rodzice na to: „Synku, albo – albo!”. W końcu mama się poddała, a nawet pomagała. „Bardzo długo wszystko, co napisałem długopisem, dyktowałem matce, czyli była pierwszą osobą, która to czytała i oceniała. Rozmaici życzliwi znajomi wiedzieli, że matka jest redaktorką w wydawnictwie, więc opowiadali, że niemożliwe, żebym ja to pisał, bo jestem playboy i chodzę po Nowym Świecie w rozpiętej do pasa koszuli. I się zaklinali, że to matka wszystko za mnie robi. Dopiero kiedy zacząłem pisać rozmaite świństwa, zawahali się, bo tego to już by pani Głowacka nie napisała”, wspominał po latach.

Wirówka nonsensu

Tymczasem jako nastolatek wiedzę o tym, jak się zachować na co dzień, czerpał z kina. Z tym że w kinach wyświetlano jednak głównie filmy radzieckie, toteż pomysły typu „wpadnij do mnie, bo moja żona wyjechała na delegację do Stalingradu”,

trudno było zastosować w warszawskich realiach. Nie zastosował się również do powtarzanej mu często przez ojca porady: „Nie krytykuj, nie podskakuj, siedź na dupie i przytakuj. Tak dożyjesz starczej renty, nawet w dupę niekopnięty”. Z kolei pierwsze wtajemniczenia erotyczne Janusz zaliczał jako dzieciak w bramie kamienicy przy Piotrkowskiej w Łodzi, dokąd rodzina przeniosła się na chwilę po powstaniu warszawskim. Tam rezydowała pani Ala, której chłopcy przynosili kieszonkowe.

W kwestii tego, jak ma zarabiać na życie, były też inne przymiarki – miał zostać piosenkarzem, a nawet aktorem. Na szczęście nie kto inny jak brat jego mamy, słynny aktor Kazimierz Rudzki, doprowadził do relegowania go ze szkoły aktorskiej za brak talentu. Przeniósł się zatem Głowacki na polonistykę. Tu wiele skorzystał od prof. Jana Kotta, który wskazywał, jak ogromne możliwości tkwią w grotesce: „Bierze się ona z zakłócenia związku między przyczyną i skutkiem. Że na przykład ktoś w czasie wojny siedzi na klozecie, pociąga za sznurek i w tym momencie w dom trafia bomba. A facet razem z klozetem i całym piętnem ląduje na parterze i patrzy na sznurek z niedowierzaniem”.

To wycucie groteski przydało mu się, gdy pisał pierwszy reportaż – jako sekretarz redakcji w warszawskiej „Kulturze”. W Żyrardowie dwóch pijaków zamordowało na ulicy ormowca, który zwracał im uwagę, by zachowywali się przyzwoicie. Milicja w ciągu tej samej nocy aresztowała aż 50 podejrzanych mężczyzn,

z czego 15 przyznało się do winy. A zabił i tak ktoś zupełnie inny, zresztą zademonstrowany przez zdradzoną kochankę. W trakcie tej delegacji służbowej Głowacki zauważył ze zdumieniem, że rodacy poza stolicą prowadzą całkowicie odmienny styl życia: „Na podwórzach stały pompy z żelaznymi wajchami. Mężczyźni wieczorami wysyłani przez żony wychodzili z wiadrami po wodę. Oczywiście zamiast do pompy szli do knajpy. W szatni wieszali wiadra na numerkach. Więc te wiadra wisiły sobie zamiast płaszczy, których nie mieli, długim rzędem”. A relację tego pijaka, który zadźgał ormowca, ujął według klucza topograficznego: „Pierwsze dwie flaszki zrobiliśmy na Armii Czerwonej, później doprowadziliśmy się w melinie na Nowotki. Potem poszliśmy na Lenina do baru »Młoda Gwardia«, tam wzięliśmy nóż i poszliśmy na Dzierżyńskiego”.

Przy okazji poczynił przełomowe spostrzeżenie – przeciętny czytelnik myśli głupio, o ile w ogóle. I pod żadnym pozorem nie należy go od tego myślenia odwozić, przeciwnie – należy go w tej głupocie wyprzedzać ze dwa kroki. On i tak się nie potapia, że felietonista drze z niego łacha, a ta garstka bystrzaków, która to przeczyta, będzie miała ubaw. W felietonie opisał własną sprawę sądową, wytoczoną mu przez władzę za opalanie się nago na plaży dla nudystów na Helu. Kiedy Wysoki Sąd zapytał, co oskarżony chce powiedzieć w ostatnim słowie, ten, trzymając w rękach majtki jako poszlakę, zaapelował ze skrucą: „Proszę o darowanie mi



życia". I właśnie za to dostał najwyższy wymiar kary, czyli 3 tys. zł. Odezwali się także zniesmaczeni czytelnicy: „Pana postać przypomina gibona w charakterystycznej pozie. Początkowo chciałem do pana napisać kulturalnie, ale pomyślałem, co się będę wysilał dla chama”.

Ścieki, skrzeki, karaluchy

W „Kulturze” zaczął również pisać recenzje teatralne i filmowe. Dla pieniędzy i żeby się odegrać na tym całym warszawskim świecie teatralnym, który się na nim nie poznał. I absolutnie nie korzystał z rady pewnego starego wyjadacza dziennikarskiego, który zalecał, aby o wszystkich pisać zawsze tak dobrze, jak tylko się da, bo dzięki temu na stanowisku recenzenta utrzyma się do emerytury. W jednym z felietonów oburzał się, że reżyser Hoffman zamierza obsadzić w roli Kmicica w „Potopie” Daniela Olbrychskiego, który jest najwyżej brzydki, a w dodatku to beztalencie. Zamiast niego proponował Stanisława Mikulskiego. Do redakcji napłynęła fala listów od czytelników z pełnym poparciem dla kandydatury kapitana Klossa, ponieważ „cała Polska jest z niego dumna”. O ekranizacji „Nocy i dni” napisał zaś: „Byłem w kinie na filmie o jednej pani, co jedzie furą i dostaje retrospekcji”.

A tu z czasem ujawniły się okazje, by i felietonista Głowacki zaangażował się w twórczość filmową jako scenarzysta. Choćby i „Rejsu”. Bo jest końcówka lat 60. minionego wieku i dwójka przyjaciół, Marek Piwowski (reżyser) i Janusz Głowacki (pisarz i playboy), nudzi się. No ileż można zalewać pałę w SPATiF-ie? Głowacki miał nawet własną miarę. Siedział, popijał i spoglądał na pewną niemłodą i niepiękną niewiastę, która do tej knajpy przychodziła niemal co wieczór. I kiedy ta pani zaczynała mu się podobać, wstawał, płacił i wychodził. Rozumiał, że to jest ten moment, gdy rozsądny facet nie powinien wypijać już ani kieliszka więcej.

I Piwowski z Głowackim obmyślał, jak by tu nakręcić film, który da do wiwatu towarzyszeniowi Gomulce, przez którego życie takie nudne, a wódka taka droga. Scenariusz? Musi być, bo inaczej komisja nie przystawi pieczątki, nie skieruje do produkcji i nie otworzy rachunku w banku. Powstał zatem przeszło 50-stronicowy tekst zaczynający się: „Letni, słoneczny poranek nad Wisłą. Brygada złożona z czterech spawaczy kończy nocną zmianę”. Po czym brygada wsiada na statek wycieczkowy, płynie w dół rzeki, a na horyzoncie ścielą się wielkie budowy socjalizmu, np. wrocławskie Azoty. Bo film miał być o tym, jak klasa robotnicza regeneruje siły

w trakcie wycieczki zakładowej. Ciąg dalszy tej filmowej legendy doskonale znamy.

W redakcji „Kultury” spędził 12 lat. Opuścił ją, gdy ukazał się jego tom opowiadań „Wirówka nonsensu”. Podsumowywał: „Ja się tak przyzwyczaiłem do tego, że żyję ironicznie, że po paru latach już nie byłem pewien, czy jeszcze udaję”. Łatkę „warszawskiego pisarza kawiarnianego” zyskał nieprzypadkowo. Ostatecznie treścią jego opowiadań było to, co zaobserwował na trasie między Bednarską na Mariensztacie, hotelem Bristol i kawiarnią Czytelnika na Wiejskiej (dopraszany bywał do stolika Tadeusza Konwickiego). „W tym kwadracie było całe jego życie – wspominał Kazimierz Kutcz. – Dzięki wielkiemu talentowi potrafił tak pisać, że te lokalne opowieści stawały się uniwersalne”. Trasa powrotna wiodła często od SPATiF-u do niewielkiego Klubu Stowarzyszenia Filmowców Polskich, zwanego potocznie Ściekiem. O takśówki było trudno, więc kurs odbywało się miejską polewaczką za 50 zł, a jeżeli polewaczka w trakcie jazdy tryskała wodą, za ten efekt trzeba było wybulić stówę.

Inny jego ulubiony rewir Warszawy to Trójkąt Bermudzki: między klubem Hybrydy, barem o nazwie Przechodni oraz przychodnią skórno-wenerologiczną. Sam mówił: „Zdarzało się, i to często, że ludzie tam wpadali i znikali na całe lata”. Z tym że w tych lokalach, wbrew legendzie, Głowacki pił mało, za to słuchał i zapamiętywał bardzo dużo. To tam powstawała jego literatura. Do legendy różnych miejsc w Polsce, np. zakopiańskich Krupówek, przeszedł jego kozuch, tzw. kozuch filmowy. Z kieszeni tego kozucha wystawał rulon kartek, na których Głowacki na bieżąco notował pomysły na kolejne felietony i opowiadania.

Nowy taniec la-ba-da

Głowacki powtarzał: „Kiedy zmieniasz adres, zmieniasz swoje przeznaczenie”. Adres zmienił w grudniu 1981 r., gdy poleciał do Londynu na premierę swojej sztuki „Kopciuch”. Po 13 grudnia do Warszawy nie odlatywał już żaden samolot, a jemu ▶

► kończyły się pieniądze. A tu padła propozycja, by objąć posadę wykładowcy w Stanach Zjednoczonych w Bennington College. Wcześniej bywał w Stanach, i to dłużej, ponieważ w latach 70. dostał stypendium Departamentu Stanu, ale wtedy, zamiast spotykać się z wybitnymi pisarzami rangi Philipa Rotha, wołał oglądać *drag queens* w nowojorskich barach. No i wykladał tym swoim kulawym angielskim, i cierpiał, głównie z tego powodu, że tak świetny temat jak stan wojenny w Polsce przemyska mu koło nosa, a on nic nie może

zza pazuchy i wręczyć reżyserowi. W końcu jednak, dzięki łańcuszkowi dość przypadkowych protekcji, „Kopciucha” w Nowym Jorku wystawiono, zdobył nawet recenzję z kategorii *rave*, czyli entuzjastyczną, ale po premierze Głowacki wracał do swojej klitki metrem. Na taksówkę ciągle nie było go stać.

A tu trzeba było podtrzymywać zainteresowanie młodym pisarzem z Europy Wschodniej i dlatego konieczna była nowa sztuka. Głowacki pisze o tym, co było mu znane z pierwszej ręki. W „Polowaniu na

przekalkulował, że wtedy zostałby z niczym, więc zafundował sobie sportową toyotę. Jeździł nią po Nowym Jorku, przeglądając się w witrynach luksusowych wystaw jako człowiek sukcesu.

Gdy skończyły się pieniądze, nowojorczyk Głowacki znowu znalazł się na skraju biedy i bezdomności. Chadzał wtedy do Tompkins Square Park, do siedliska bezdomnych, i obserwował, jak sobie dają radę na samym dnie. „To poczucie, że i ja za chwilę mogę wylądować na dnie, towarzyszyło mi w Nowym Jorku od początku”, tłumaczył. Postanowił je przenieść do nowej sztuki. Nazywała się „Antygona w Nowym Jorku” i pokazywała trzech skrachowanych imigrantów, którzy jadą na tzw. Potter’s Field, Pole Garncarza, gdzie grzebie się bezdomnych, aby odzyskać ciało ukochanego Portorykanki Anity. Analogia do Sofoklesa była odległa, ale czytelna. I znowu tygodnik „Time” umieścił sztukę na liście dziesięciu najlepszych, jakie wystawiono w 1993 r. w Ameryce. W ślad za tą rekomendacją wystawiono ją w 20 krajach na całym świecie.

Sukces był ogromny, ale Polonia z Nowego Jorku ledwo go zauważyła. Kibicowała za to temu rodakowi, który przez lata oszukiwał nowojorską policję. Parkował bowiem swój samochód przy hydrancie straży pożarnej. Nie dał się jednak złapać, dlatego że na hydrant nakładał atrapę skrzynki pocztowej. Rodacy byli z niego dumni: Polak potrafi!

Do Polski Głowacki przyjeżdżał coraz częściej, ale tutaj szukał śladów PRL, których ubywało z każdym dniem. Coraz więcej zaś było w rodakach fascynacji Ameryką – i tylko on wiedział, jak bardzo taka fascynacja potrafi być płytka, nawet bezrozumna.

Śmierć dopadła go w miejscu absurdalnym – w banalnym ośrodku wypoczynkowym na południu Egiptu. Wstępna lokalizacja grobu na Powązkach wypadła blisko mogił ofiar katastrofy smoleńskiej, ale szybko z niej zrezygnowano. Pochowano go zaraz przy wejściu. Obok Bronisława Geremka, Jacka Kuronia, Leszka Kołakowskiego. Niezła okolica.

Wiesław Kot



Mural przy ul. Piłsudskiego w Łodzi.

z tym zrobić. Zrozumiał też, że i pobyt na amerykańskiej prowincji niewiele mu da, że musi zaatakować Nowy Jork. „Polacy wszystko wiedzą o Nowym Jorku z filmów, pocztówek, ale to jest taka wiedza jak o Monie Lisie. Wiadomo, że się uśmiecha, ale nie wiadomo dlaczego i co ten uśmiech ma oznaczać”.

Udało mu się wynająć klitkę na Manhattanie. Próbował zainteresować swoimi dramatami miejscowych agentów teatralnych i literackich. Obdzwaniał ich po kolei. Panienki w sekretariatach obiecywały, że odzwonią. On warował przy telefonie, bojąc się nawet wyjść do ubikacji, ale nie doczekał się ani jednej odpowiedzi. Maszynopis swojej sztuki nosił zawsze ukryty pod koszulą, aby, gdy nadarzy się okazja na jakimś bankiecie, móc go natychmiast wyjąć

karaluchy” aktorka i pisarz z Warszawy przyjeżdżają do Nowego Jorku z nadzieją na wielką karierę. Na razie gnieżdżą się w ciasnym mieszkanku na Manhattanie. Sztuką zainteresował się reżyser Arthur Penn i sam ją wystawił, obsadzając w głównej roli Dianne Wiest, ulubioną aktorkę Woody’ego Allena. „W Polsce nie każdy to rozumie, ale osiągnąć w Nowym Jorku tyle co Janusz, to jest prawie niemożliwe”, mówił jego przyjaciel, fotograf Czesław Czapliński. I znowu oceny z kategorii *rave*, a tygodnik „Time” uznał, że to „najlepsza sztuka 1987 r.”.

„Karaluchy” okazały się najczęściej graną sztuką w Ameryce. Wystawiano ją na przeszło 50 scenach. Głowacki zarobił też wtedy pierwsze większe pieniądze w Ameryce. Mógł sobie za nie kupić dom, ale



Wokół Pol'and'Rock wytworzyła się cała społeczność, której obce jest zblazowanie uczestników komercyjnych festiwali.

Kornel Wawrzyniak

W roku 2022 za jednodniową wejściówkę na festiwal muzyczny płacono tyle, ile za czterodniowy karnet w 2010 r. Widać, że festiwale zmieniły się z rozrywki masowej w elitarną zabawę. Czy duch wolności znany z legendarnego festiwalu Woodstock upadł? A może od zawsze był mitem?

Festiwale po pandemii

Polska festiwalami stoi. Stały się one tak nieodłącznym elementem okresu wakacyjnego jak parawany na plaży w Dębku. Do wyboru jest ponad 20 festiwali trwających najczęściej dwa, a czasami nawet cztery dni. To te najpopularniejsze. Przekrój jest tak duży jak ilość muzyki, którą można znaleźć w serwisach streamingowych.

Do najpopularniejszych imprez należą Open'er, OFF Festival, Orange Warsaw Festival, FEST Festival, Tauron Nowa Muzyka czy wreszcie ogromny Pol'and'Rock. Nie ma więc co się dziwić, że polska publiczność była wyjątkowo głodna muzyki po

FESTIWALOZA

Dla kogo dziś są festiwale?

dwóch latach przerwy spowodowanej restrykcjami pandemicznymi. Niestety, fani festiwali płacą w tym roku za bilety jak za zboże. Organizatorzy argumentują, że to koszty, które trzeba ponieść na rzecz

albo w formule online, albo były odwoływane, jak choćby gdyński Open'er w 2020 r. czy Orange Warsaw Festival z lat 2020 i 2021. Ten drugi został rok temu odwołany głównie dlatego, że polski rząd nie mógł się

Festiwale zmieniły się z rozrywki masowej w elitarną zabawę.

odbudowywania się branży muzycznej po COVID-19.

Nie da się zaprzeczyć, że rynek muzyczny wiele wycierpiał podczas pandemii. Artyści na całym świecie musieli ograniczyć się do lokalnych występów dla niewielkiej publiczności lub w ogóle zaprzestać jeżdżenia w trasy koncertowe. Wpłynęło to w oczywisty sposób na organizowanie festiwali muzycznych, które w odpowiedzi na ciągle zmieniającą się politykę antycovidową działały

zdecydować co do obostrzeń dla koncertów na świeżym powietrzu. Organizatorzy dali sobie spokój, bojąc się, że straty przerosną zyski. Bałagan był taki, że jeszcze w lutym 2022 r. na tzw. koncerty na świeżym powietrzu mogło przyjść 250 osób, podczas gdy widowiska sportowe mogło oglądać 20 tys. widzów. Sprawa trafiła nawet do Biura Rzecznika Praw Obywatelskich.

Organizatorzy największych wydarzeń muzycznych argumentują, że ▶

► część zagranicznych artystów chce teraz między 150% a 200% swoich koncertowych stawek sprzed pandemii. To wygodna wymówka, by podnieść ceny biletów, które w tym roku kosztują średnio 100 zł więcej niż przed pandemią. Festiwalowiczów to nie dziwi, bo przecież każdy chce wyjść na swoje. Prawda jest jednak trochę bardziej złożona.

Dlaczego tak drogo?

Zagadnienie rosnących cen nie dotyczy ostatnich dwóch lat. Warto się przyjrzeć, ile bilety kosztowały dekadę temu, kiedy festiwale dopiero stawiały się w Polsce popularną rozrywką. W ciągu dziesięciu lat wejściówki na tego typu wydarzenia zdrożały przynajmniej dwukrotnie. W 2010 r. czterodniowy karnet na Open'era kosztował 350 zł. W 2022 r. wejście na ten sam festiwal z biletem jednodniowym kosztuje dokładnie tyle samo. Warto podkreślić, że już wtedy na scenach festiwali grały światowe gwiazdy muzyki, więc skok cenowy nie wynika ze skoku jakościowego. W 2014 r. na scenach Orange Warsaw Festival gościli najwięksi światowi artyści i artystki, reprezentujący cały katalog muzycznych gatunków: Florence and the Machine, Kings of Leon

czy Snoop Dog. Cena biletów? Karnet na trzy dni – 579 zł, a jednodniowe wejściówki – 229 zł. W tym roku przy równie znanych wykonawcach jednodniowa wejściówka kosztowała 329 zł plus opłaty manipulacyjne, czyli kolejne 40 zł. Łącznie 369 zł za jednodniowy bilet.

Bilety w tym roku kosztują średnio 100 zł więcej niż przed pandemią.

Opowieści o artystach żądających nawet dwukrotności przedpandemicznych gaź także mają pewne luki. Widać to, gdy sprawdzamy ceny biletów na koncerty pojedynczych wykonawców. Weźmy światowej sławy gitarzystę solowego Joego Satrianiego, który w 2013 r. grał w Parku Sowińskiego na warszawskiej Woli. Cena za bilet wynosiła 140 zł. W 2018 r. Satriani znowu grał w Warszawie, tym razem na Torwarze – bilety kosztowały 159 zł. Gdy gitarzysta wrócił do Polski w tym roku, za wejście na jego majowy koncert trzeba było zapłacić 180 zł. Jak widać, cena w ciągu dziewięciu lat wzrosła, ale nawet po pandemii nie można mówić o jej dwukrotności.

Tymczasem skok cen dotyczy właściwie wszystkich najpopularniej-

szych festiwali w Polsce. Dyskusję o tym, że ich organizatorzy są po prostu pazerni, wywołało przerwanie trzeciego dnia festiwalu Open'er 2022. W obliczu zagrożenia meteorologicznego ewakuowano wszystkich festiwalowiczów i odwołano występy artystów. Wiele osób

zdziwił fakt, że pozostałe koncerty przywrócono już po kilku godzinach od ulewy, kiedy spora część ludzi była daleko poza terenem imprezy. Internauci w komentarzach nie zostawili na organizatorach suchej nitki – przywrócenie koncertów pod koniec tego feralnego dnia miało, według rozżalonych uczestników, zabezpieczyć organizatorów Open'era przed zwrotem pieniędzy za bilety. Z jednej strony, trzeba przyznać, że firma Alter Art wyszła z sytuacji obronną ręką, proponując poszkodowanym zniżkowe vouchery na bilety na przyszły rok. Z drugiej, nie było mowy o zwrocie gotówki. Organizator nie miał jednak wyjścia i coś musiał zrobić, gdyż festiwalowicz to przeważnie zamożny klient, o którego wielokrotny powrót się dba.

Fest-biznes

Mimo legendy oryginalnego festiwalu Woodstock, który miał być miejscem wolności, miłości i darmowego wejścia, był on zwykłym pomysłem na zarobienie pieniędzy. W budowie mitu pomogły przypadek i problemy organizacyjne. Podobnie jak dziś, również w 1969 r. festiwalowiczów traktowano jak nabywców. Wstęp na Woodstock kosztował 24 dol. za trzydniowy karnet. W przeliczeniu na dzisiejszą wartość amerykańskiej waluty to kwota ok. 125 dol., czyli prawie 600 zł. A co z tym darmowym wejściem? Otóż przewidywano, że liczba uczestników Woodstocku zamknie się w granicach 200 tys. osób. Na festiwal przybyło ich jednak dwa razy więcej, czyli



400 tys., a na dodatek ogrodzenie i kasy biletowe nie zostały ukończone na czas, dlatego mniej więcej połowa uczestników, która nie kupiła biletów z wyprzedzeniem, weszła na festiwal za darmo.

Dziś mamy kontynuację pomysłu z końcówki lat 70., tylko że organizatorzy są dużo lepiej przygotowani. W 1969 r. nikt nie miał jeszcze doświadczenia w urządzaniu strefy gastronomicznej dla setek tysięcy osób. Bałagan wywołał wściekłość uczestników. Kiedy burgery zdrożały w trakcie festiwalu z 25 centów do dolara, ludzie spalili dwa punkty Food For Love, które zajmowały się ich sprzedażą. W 2022 r. taka

Wyjścia są dwa. Pójść do strefy gastronomicznej – butelka wody po 8 zł i jedzenie z budek w papierku, za które płaci się jak w restauracji. Opcją numer dwa jest siedzieć około ośmiu godzin o suchym pysku w środku lata.

Imprezy dla wybranych

Podsumowując te wszystkie koszty, warto zadać sobie pytanie, dla kogo są dzisiaj mainstreamowe festiwale muzyczne. Kiedyś bilety na te imprezy były dwukrotnie tańsze, więc w zasięgu możliwości niektórych nastolatków i studentów czy osób pracujących, które mogły

wpaść na koncert po pracy. Podobnie jest z plockim Audioriver i katowickim Tauron Nowa Muzyka, które od zawsze nastawione były na fanów muzyki elektronicznej. Podążanie za mainstreamowymi trendami byłoby więc dla tych imprez aktem samobójczym. Jednocześnie powoli pojawia się coś, co można nazwać efektem festiwalowego przesytu. Fani zaczynają obojętnieć poprzez nadmiar muzycznych wrażeń. Na przykład na Górnym Śląsku w samym sierpniu odbywają się cztery festiwale właściwie tydzień po tygodniu.

Jedynym wyjątkiem wśród dużych festiwali muzycznych jest Pol'and'Rock, który do niedawna nazywał się Przystankiem Woodstock. Jego organizatorzy oparli ideę swojego wydarzenia na micie wolności i miłości oryginalnego Woodstocku, dlatego wejście na Pol'and'Rock od zawsze jest całkowicie darmowe. Niestety, przez swoją pierwszą nazwę festiwal był kojarzony z narkotykami. Przeszedł jednak długą drogę od wyobrażenia o tańczeniu pogo w błocie do spotkań z demokracją. Choć na imprezę ściągani są topowi artyści, najciekawsze w festiwalu Jurka Owsiaka jest to, co się dzieje

Wyjątkiem wśród dużych festiwali muzycznych jest Pol'and'Rock, na który wejście od zawsze jest darmowe.

sytuacja jest oczywiście nie do wyobrażenia, a ludzie chętnie płacą nie tylko za jedzenie, bo pomysłowość organizatorów jest ogromna. Między scenami powstają całe strefy, w których można nie tylko zjeść, pić drinki, ale nawet potańczyć w specjalnie zorganizowanym klubie z własnym didżejem, który nie ma nic wspólnego z artystami występującymi na głównych scenach.

Gastronomia to na festiwalach osobny biznes. Orange Warsaw Festival chwalił się w 2014 r.: „Na mapie festiwalu pojawiło się również Miasteczko Festiwalowe, które zagwarantowało wszystkim uczestnikom wiele dodatkowych atrakcji, a w specjalnej strefie gastronomicznej najbardziej wytworne foodtrunki z całej Polski obsłużyły ponad 110 tys. festiwalowiczów”. Brzmi pysznie, jednak wszystko ma swoją cenę. W tym wypadku cenę z festiwalową przebitką. Jeśli chcemy spędzić cały dzień na festiwalu, czyli być na miejscu od godz. 16. do późnej nocy, o piknikowaniu z własnymi kanapkami, a nawet własną wodą, możemy zapomnieć. Natychmiast zostaniemy cofnięci na bramce i poproszeni o pozbycie się wszelkiego prowiantu, słysząc, że to ze względów bezpieczeństwa.

się wyrwać na weekend z koncertami bez brania wolnego. Ale zmieniło się nawet to. Open'er 2022 trwał od piątku do wtorku, podobnie jak śląski FEST Festival, który w tym roku zaczął się w środę i skończył w niedzielę. To wskazuje, że festiwale zamieniły się w przyjemność dla wybranych, którzy mogą sobie

Część zagranicznych artystów chce teraz między 150% a 200% swoich koncertowych stawek sprzed pandemii.

pozwolić na wzięcie urlopu pod wydarzenia w środku tygodnia. W tej puli zostają więc studenci i nastolatki z zamożnych domów, osoby z zasobnymi portfelami wykonujące raczej wolny zawód oraz entuzjaści, którzy są gotowi poświęcić cztery dni ze swojego urlopu na festiwal.

Oczywiście pozostają też bardzo znane, ale mniej mainstreamowe festiwale muzyczne, nastawione na konkretną publikę. To chociażby Warsaw Summer Jazz Days, który nie tylko z nazwy, ale również z podejścia jest imprezą dla mieszkańców stolicy. WSJD odbywa się w ciągu tygodnia i w godzinach wieczornych, aby publika zdążyła

między koncertami. Działa tam Akademia Sztuk Przepięknych, w ramach której odbywały się rozmowy z osobami ważnymi dla polskiego życia publicznego. Zapraszani byli m.in. Adam Bodnar, Andrzej Wajda, a nawet noblistka Olga Tokarczuk. Dodatkowo co roku na terenie imprezy roztawiana jest strefa organizacji pozarządowych, bo organizatorzy przyjęli za cel pokazywanie uczestnikom, jak powinno wyglądać społeczeństwo obywatelskie. Być może właśnie dlatego wokół Pol'and'Rock wytworzyła się cała społeczność, której obce jest zblazowanie widowni komercyjnych festiwali.

Kornel Wawrzyniak



28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Marcin Wasilewski Trio – En attendant

W niezmiennym składzie grają już od 1993 r., początkowo jako Simple Acoustic Trio: pianista Marcin Wasilewski, basista Sławomir Kurkiewicz i perkusista Michał Miśkiewicz. Ich znakiem rozpoznawczym stała się wyjątkowa płynność i symbioza brzmienia. „W całej historii polskiego jazzu nie było takiej grupy jak oni”, komplementował trębacz Tomasz Stańko młodszych kolegów, z którymi występował i nagrywał w kwartecie. W sobotni wieczór usłyszymy nagrodzony Fryderykiem album „En attendant”, kolejny nagrany dla ECM. Drobny muzyków zawsze zbiera znakomite recenzje, także w światowej prasie jazzowej, a Marcin Wasilewski wielokrotnie odbierał statuetkę Fryderyka jako artysta roku w jazzie i za jazzowy album roku. Zespół zdobył również nominację do Niemieckiej Nagrody Jazzowej 2022 (Deutscher Jazzpreis) w kategorii Najlepszy Zespół Zagraniczny. **Więcej na: www.jazznastarowce.pl.** (ap)

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 20 SIERPNIĄ, GODZ. 19

NA EKRANACH



Biegnąc, dziewczyno, Arab, mąż

reż. Alain Guiraudie, prod. Francja, już w kinach

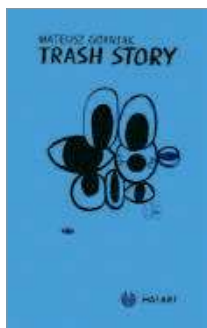
Takiej jazdy po bandzie nie widziałem w kinie dawno, choć jestem na bieżąco. Francuz Alain Guiraudie już nieraz przesuwiał granice tego, co można poddać satyrycznej obróbce, a teraz idzie jeszcze dalej. W najnowszym filmie bierze na

celownik islamofobię francuskiej klasy średniej, jej drobnomieszczaństwo, ksenofobię i doprowadzoną do skrajności poprawność polityczną. Zaczyna się od zamachu terrorystycznego w sennym Clermont-Ferrand. To wydarzenie będzie zapalnikiem, za jego sprawą przetną się losy ludzi z kompletnie innych światów.

Nakręcony lekką ręką, z poczuciem humoru film wciąga intrygą, ale też piekielnie mądrze oddaje cienie i blaski życia we Francji. Po premierze wzbudził tyle samo zakłopotania na tamtejszej lewicy, co i na prawicy. Guiraudie jak nikt inny potrafi wsadzić kij w mrowisko.

Mateusz Demski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Mateusz Górniak

Trash story

Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2022

Kolejny mocny, zakręcony debiut. Nie jest to jednak ożywczy, ciepły, letni deszcz, raczej chmara słów, lawina cytatów, festiwal ironii i przednia zabawa. Po kwasie, pomidorowej i kanapce z salcesonem. Opowieść zaczyna snuć Mati, ale potem do narracji dołącza Waldek Kiepski z Polsatu, Normik z raczej dobrego domu, Kenny, najsłabsze ogniwo „South Parku”, a także packa na muchy, telewizor Okil, motor, toster i cała plejada rzeczy, gratów i durnostojek. To baśń na wiele głosów, ballada wielu snów, historia z tysięcy żyć. Widać, że Górniak (rocznik 1996) ma zarazem młodzieńczą dezynwolturę w sobie i słuch absolutny. Jest Mironem Białoszewskim epoki transformacji i seriali, piewą codzienności przeoranej przez późny kapitalizm. Owszem, lektura może być trudna i brudna, może momentami męczyć, ale to polowanie na grubego literackiego zwierza (pomimo skromniutkiej objętości książki). Zdecydowanie hot niż not.

Rafał Piłkuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Adam Wagner, Dariusz Noras
Noskowski/Franck.
Sonatas for Violin and Piano
DUX

Niezwykle, akusmitne brzmienie XVIII-wiecznych włoskich skrzypiec i błyskotliwe towarzyszenie fortepianu. Na płycie nagrano dwie sonaty skrzypcowe, niemal zapomnianą i bardzo znaną. Doświadczenie i maestria artystów sprawiają, że słucha się tych dzieł z ogromną przyjemnością. A dodatkowo sonata Francka, jak mówi legenda, znalazła swój opis w powieści Marcela Prousta.

Bronisław Tumilowicz



Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Śmiertelna perć

Dziwne, ponure zbiegi okoliczności. Któryś już raz wybrałem drogę tatrzańską nieświadom tego, że chwilę wcześniej zginął na niej człowiek, albo wręcz w tym samym czasie, kiedy na niej ginął. Najtęższy agnostyk zdrząłby w posadach swojego racjonalizmu. Na przykład nieomal dokładnie przed 14 laty spontanicznie przedsięwziętem z ówczesną małżonką „partyzanckie” wejście na Murań. Choć góra obfituje w kawałki wspaniałego wapienia, nikt się na jej ściany nie zapuszcza, bo to ścisły rezerwat przyrody obwarowany zakazami. Tylko najbardziej obłąkani tatomaniacy (do nich z pewnością się zaliczam) docierają przez hektary stromych chaszczy i wiatrołomów pod północną lub wschodnią ścianę Murania – ta zachodnia od lat pozostaje nieruszana, bo każda jej piędź widać jak na dłoni z chatki TANAP w Dolinie Jaworowej. Dzieciństwo spędzając w Bukowinie Tatrzańskiej, grań Tatr Bielskich oglądałem z okna przez lata całe i poprzysiągłem sobie, że ją przejdę w całości. Tamtego sierpniowego dnia byłem więc uzbrojony w cierpliwość i gotowy ponieść ryzyko karnej opłaty.

Po wielodniowych opadach wreszcie wyszło słońce, ruszyliśmy tedy z werwą i... zakończyliśmy akcję już po kilkudziesięciu krokach, bo mostek na Jaworowym Potoku tyle co musiała zerwać woda, a jej stan wciąż był zbyt wysoki, żeby nam się chciało szukać bezpiecznego brodu. Obeszliśmy się smakiem, w zastępstwie poszliśmy grzecznie na syty spacer przez Szeroką Przełęcz, jedynym legalnym szlakiem w Bielskich. Po zejściu w strefę zasięgu zacząłem odsłuchiwać paniczne wiadomości na komórce. Okazało się, że: na Muraniu zginął (tam ktoś ginie raz na sto lat) Polak (pierwszy raz w historii) z Chorzowa (jeszcze wtedy niezmiennie mieszkalem w Chorzowie), do tego mój rówieśnik (to już przesada). Zanim więc późnym wieczorem odpaliłem telefon, wielu bliskich przeżyło moją śmierć. Kiedy oni odetchnęli z ulgą, ja sam zacząłem ją przeżywać, bo taki ciąg zbiegów okoliczności to już wyraźna pogróżka losu. Młodszy powiedziałby: błąd w matrixie, najmłodszy, że małe zaplątanie multiwersum.

Od tej pory nie staram się obejmować wszystkiego rozumem, dopuszczam myśl, że zginąłem już w górach wielokrotnie, jak i tę, że dawno zostałem najmłodszym laureatem Nagrody Nobla – w innych, równoległych rzeczywistościach, z których czasem przez nieszczęsne miejsca coś przecieka. Mogę mieć tylko nadzieję, że w przeciwieństwie do najbardziej zakręconej utopii filmowej roku („Wszystko wszędzie naraz”) nie jestem najgorszą możliwą wersją siebie. W ten sposób wzmocniła się we mnie odwieczna groza tatrzańska – w żadnych innych wysokich górach świata, które odwiedzałem, ani w Alpach, ani w Andach, nie czułem strachu pomimo znacznie poważniejszych przedsięwzięć – Tatry Kocham, ale się ich boję. W ciągu 40 lat wędrówek i wspinaczek zarówno na powierzchni, jak i pod ziemią raz tylko uległem wypadkowi, oddając w haracz palec

u stopy – najwyższe partie Karpat były więc dla mnie zazwyczaj łaskawe, a moja namiętność do nich to nie jest wariant syndromu sztokholmskiego jak w przypadku niektórych himalaistów – im bardziej dostaną w tyłek, tym chętniej wracają w góry najwyższe. Taki Reinhold Messner np. stracił sześć palców, zanim jako pierwszy na świecie zdobył komplet ośmiotysięczników.

W zeszłą sobotę wiedziony mocnym postanowieniem pomimo mgły i deszczu niemal siłą wciągnąłem młodego partnera na Gerlach drogą Tatarki. Wierzyłem w przejaśnienie naiwnie jak w upadek PiS – wciąż się na to zanosilo, ale chmury nie ustępowały: zmokliśmy do szczytu, a ja szedłem granią po omacku, bo okulary zaparowane i zalane, a bez nich widzę ledwie czubek buta. Na szczycie niepłochy płochacz dorwał mi się do drugiego śniadania, zrobiłem sobie zdjęcie na krzyżu (nieustannie marzy



mi się odkrzyżowanie szczytów tatrzańskich) i trzeba było ruszać w dół. Tyle że ścieżka powrotna do Doliny Wielickiej wije się nad przepaściami, kręta i mylna, zwłaszcza we mgle, a ja widziałem ją ostatnio za komuny, idąc za omszałym vedoucim, któremu pozwalano dorabiać do emerytury pod warunkiem wciskania kitu cepom, że prowadzał jeszcze po Tatrach Lenina. Uratowały nas przed kłopotami GPS i aplikacja mapy.cz, którą polecam wszystkim górskim wędrowcom – trzymaliśmy się przewidywanej kreski na ekranie telefonu i trafiliśmy do właściwego zlebu. Na dole, już w samochodzie, natknąłem się w internecie na tragiczną informację, że kilkanaście godzin wcześniej z tej samej drogi spadł ze śmiertelnym skutkiem dyrektor jednego z warszawskich liceów, bratnia antypisowska dusza i nieomal mój rówieśnik.

Groza, żal i wieczny odpoczynek. Mimowolnie chodzę po Tatrach ścieżkami śmierci.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Oddech lubi ruch

Mięśnie oddechowe potrzebują wysiłku fizycznego, treningu



**SANDRA
OSIPIUK-SIENKIEWICZ**

– fizjoterapeutka, specjalizuje się w reedukacji oddechowej i psychosomatyce. W latach 2018-2019 redaktor merytoryczna „Fizjoterapii Funkcjonalnej”. Współautorka podręcznika „Pulmonologia dziecięca”. Autorka e-booków o zdrowym oddychaniu oraz bloga sofizjo.pl.

Rozmawia Dominika Tworek

Jak to możliwe, że nieprawidłowo oddychamy, skoro to czynność tak elementarna i naturalna?

– Wiele się zmieniło w życiu ludzi, a nasze organizmy nie nadążają za tymi ewolucyjnymi, środowiskowymi czy kulturowymi modyfikacjami. Dużą rolę w nieprawidłowym oddychaniu odegrała np. zmiana sposobu odżywiania. Bo kiedyś jedliśmy twarde pokarmy, a ich gryzienie i żucie wpływało na to, jak rozrastają się kości twarzy. Zastąpienie niektórych produktów miękkim, gotowanym jedzeniem wpłynęło na to, że mięśnie kształtujące naszą twarzoczaszkę nie pracują z taką siłą, żeby rozbudowywać szerokie szczęki. Dodatkowo obecnie większość dzieci jest krócej karmiona piersią. A ssanie i uderzanie języka o twarde podniebienie również wpływa na rozrost żuchwy i szczęki.

Dlaczego mówimy o jamie ustnej?

Przecież powinniśmy oddychać nosem!

– To, w jaki sposób rozrastają się nasze kości twarzy, związane jest z siłą wytwarzaną przez mięśnie. Jeśli mięśnie nie wywierają nacisku podczas żucia, nasza twarzoczaszka rozwija się w kształcie podłużnym (tzw. *long face syndrome*). A gdy twarz rozrasta się wąsko, wąskie są też drogi oddechowe, w związku z czym mamy mniejszy przepływ powietrza i trudniej jest oddychać. Taka dysfunkcja powoduje, że łatwiejsze staje się oddychanie ustami, a przewlekłe oddychanie w taki sposób jest bardzo niezdrowe. Poza tym wzmacnia to nawyk nieużywania nosa, a wtedy zaczyna się on coraz bardziej zatykać.

Możemy nie mieć świadomości, że oddychamy przez usta?

– Wiele osób oddycha tak nieświadomie od bardzo dawna. Należy również podkreślić, że to, czy ktoś spożywał odpowiednie posiłki i czy był karmiony piersią, jest tylko jednym z elementów. Samo w sobie nie musi mieć złych skutków. Ale jeśli dodatkowo dziecko oddycha przez usta z innych powodów, np. ma przykrótkie wędzidełko językowe lub przerost migdałków, to jest częściej narażone na infekcje. Nos oczyszcza bowiem wdychane powietrze, a dzięki temu stanowi naszą pierwszą linię obrony, czyli rzadziej chorujemy, bo mniej bakterii czy wirusów dostaje się do dróg oddechowych, gdzie może dojść do reakcji zapalnej. A kiedy dziecko zaczyna chorować, ma katar, czyli zatłoczony nos – i nie może przez niego oddychać. Mamy więc błędne koło,

de facto jesteśmy w przewlekłym stanie chorobowym, a dodatkowo ta dysfunkcja oddychania przez usta zaczyna być naszym nawykiem. Dlatego możemy nawet nie wiedzieć, że z naszym oddechem jest coś nie tak, ponieważ oddychamy w ten sposób od najmłodszych lat.

Czy coś jeszcze, oprócz ciągłych infekcji, może być dla nas alarmujące?

– Są zawody, gdzie dużo się mówi, np. nauczyciel. A skoro mówimy, to również oddychamy przez usta. Aby mieć problem, nie musimy oddychać ustami cały czas. Niekorzystne mogą być także częste sytuacje w ciągu dnia, nawet związane z mówieniem, kiedy wchodzimy w tzw. hiperwentylację, czyli nadmierne oddychanie. Dla układu nerwowego hiperwentylacja jest związana ze stresem. A w stresie oddychamy ciężko, niespokojnie, głęboko, z dużymi wydechami, może się pojawić sapanie czy nawet bezdech.

Czyli problemem jest też nieustający stres, w jakim żyjemy?

– Tak, siedzący i stresujący tryb życia. Ewolucyjnie człowiek jest świetnie przystosowany do stresu, ale całkowicie innego rodzaju. Teraz to nie jest tak jak kiedyś, że wybiegamy z jaskini, walczymy, a po powrocie do niej odpoczywamy. Mamy wiele różnych strategii radzenia sobie ze stresem, a kontrola oddechu może być jedną z nich. Problemem jest natomiast to, że obecnie stresogenne są właściwie warunki życia. Jesteśmy stale bombardowani światłem, dźwiękiem, informacjami. Człowiek żyje w permanentnym stresie, a pod wpływem stresu oddech się zmienia. Dodatkowo nasze ciało potrzebuje rozładować napięcie nagromadzone w stresie, a – niestety – często nie ma do tego okazji, bo cały czas siedzimy.

Siedzący tryb życia nie sprzyja naszemu oddychaniu ze względu na brak ruchu czy gorzej oddychamy, kiedy siedzimy?

– Chodzi przede wszystkim o brak ruchu. Dobrze pracujący układ nerwowy dostosuje oddychanie i w pozycji siedzącej. Ona sama w sobie nie jest zła, a my jesteśmy przecieć przystosowani do siedzenia

w różnych pozycjach. Choć trzeba przyznać, że zazwyczaj siedzimy w jednej pozycji, nie ruszając się. Jeżeli całymi dniami siedzimy, nie dajemy ciału możliwości zmiany pozycji, to ten oddech będzie się blokował, tak samo jak blokuje się ciało w bezruchu. Oddech lubi ruch. On jest dla niego stymulatorem, by intensywniej pracował. Bo mięśnie oddechowe do tego, żeby były silniejsze, potrzebują wysiłku fizycznego – potrzebują treningu.

Wiele osób od dawna nieświadomie oddycha przez usta.

Wszyscy albo prawie wszyscy Polacy oddychają źle?

– Nie możemy tak powiedzieć. Statystycznie określa się, że 10-30% ludzi ma problemy z oddychaniem. Choć biorąc pod uwagę to, ile ludzi żyje w stresie (a w ich przypadku spokojnie możemy założyć, że mają również dysfunkcje oddychania), szacuję, że ta liczba jest większa. Nasz oddech jest bardzo ściśle powiązany z tym, co się dzieje w autonomicznym układzie nerwowym. A on z kolei zarządza całym naszym ciałem, więc jeżeli dochodzi do jakichkolwiek dysfunkcji w ciele, na pewno wywołą one jakieś zmiany w oddechu.

Modne metody

Metoda Butejki to ćwiczenia oddechowe opracowane w latach 50. XX w. przez radzieckiego lekarza Konstantyna Pawłowicza Butejkę. Uczą one kontroli oddechu oraz oddychania zmniejszoną objętością oddechową w celu redukcji skutków nadmiernego oddychania, czyli hiperwentylacji.

Metoda Wima Hofa opiera się na trzech filarach: oddechu, medytacji oraz ekspozycji na zimno. Ćwiczenia oddechowe to chwilowe wprowadzenie się w stan kontrolowanej hiperwentylacji. Polegają na robieniu głębokich wdechów przez nos, a wydychaniu przez usta wraz z wstrzymywaniem oddechów.

Jak powinien wyglądać prawidłowy oddech i co powinno budzić nasz niepokój?

– Powinniśmy się zaniepokoić, gdy zauważymy, że oddychamy przez usta w momentach innych niż intensywny wysiłek, silny stres i mówienie. Chcemy, aby nasz oddech był spokojny, łagodny i płynny. On powinien być dla nas praktycznie niezauważalny. Wydech ma być nieco dłuższy niż wdech. Bardzo ważne jest, żeby oddech zachodził torem

dolnożebrowym, czyli przeponą, płynął z dolnej części klatki piersiowej, z górnej części brzucha. Dlatego jeśli czujemy bądź widzimy, że, oddychając, odruchowo unosimy ramiona i barki w kierunku uszu lub pojawiają się napięcia w szyi, może to świadczyć o tym, że nasz oddech jest z kolei górnożebrowy, czyli związany z nadmierną pracą mięśni oddechowych. Najlepiej stanąć przed lustrem i obejrzeć się z każdej strony. Niepokojące powinno być dominujące poruszanie się górnej części klatki piersiowej, a także nadmierne poruszanie się brzucha. Oddychanie do brzucha w spoczynku też nie jest dobre, bo może świadczyć o obniżonym napięciu mięśni brzucha.

Czy nie jest tak, że jeśli zaczniemy się skupiać na naszym oddechu, to on automatycznie stanie się spokojniejszy, więc takie autobadanie nie będzie adekwatne do tego, jak oddychamy na co dzień?

– Niestety, tak właśnie się dzieje. Oglądanie siebie nie jest idealne, dlatego najlepiej udać się do trenera oddechowego, wyszkolonego w tym, jak sprytnie ocenić oddech u pacjenta, żeby ten się nie zorientował. Ale jeżeli weźmiemy kilka głębszych wdechów i okaże się, że odruchowo bierzemy je przez usta albo podciągamy ramiona, to znaczy, że najpewniej w ciągu dnia robimy tak samo. Powodem do niepokoju powinny być również takie objawy jak: przewlekłe zmęczenie, uczucie niewyspania rano, poranna suchość w ustach, szybka męczliwość, ▶

► problemy z koncentracją czy napięciem w obrębie górnej części tułowia. Gdy je u siebie zauważamy, najlepiej skonsultować się ze specjalistą – trenerem oddechowym lub fizjoterapeutą.

Wiedza na temat oddechu była przez wieki nadzwyczaj skromna. Stosowane w przeszłości metody przywracania oddechu – np. wieszanie ludzi do góry nogami, przetaczanie w beczce

hiperwentylację w metodzie Wima Hofa czy przeciwną jej hipowentylację w metodzie Butejki.

Czyli ich stosowanie może wyrządzić nam krzywdę?

– Niestety, w obu tych przypadkach może tak się zdarzyć. Zarówno hiperwentylacja, jak i hipowentylacja prowadzą do tego, że nasz organizm nie utrzymuje równowagi. Dlatego wszystkie te metody powinny być stosowane z bardzo indywidualnym

będzie pilnował tego w nocy (na rynku jest wiele różnych gadżetów, które w tym pomagają), znacznie poprawi się jego jakość snu.

Jak szybko zauważymy te efekty?

– Niektóre pojawią się od razu. Jeżeli jesteśmy w silnym stresie i zrobimy choćby jedno ćwiczenie spokojnego oddechu – może to być skupienie uwagi na oddechu tylko przez nos, a następnie odliczanie wdechu na pięć sekund oraz wydechu na pięć sekund i utrzymanie tego rytmu przez kilka minut – poziom stresu automatycznie może się obniżyć i dosłownie po kilku minutach ćwiczenia będziemy się czuć dużo bardziej zrelaksowani.

Musimy zdawać sobie sprawę, że zaburzenia oddechu najczęściej tworzyły się przez lata i jeśli chcemy doprowadzić do długofalowych zmian, musimy ćwiczyć codziennie przez co najmniej kilka tygodni. Choć pierwsze korzyści ze zmian widoczne są zazwyczaj już po tygodniu ćwiczeń.

Tak jak pani wspominała, problemy z oddychaniem powstają często w dzieciństwie. Czy w takim razie powinniśmy uczyć się oddychania od najmłodszych lat?

– Oczywiście. Marzę o tym, żeby tak się stało. Powinniśmy edukować nauczycieli, jak ważne jest, żeby dzieci oddychały nosem. Oni również mogliby zwracać uwagę na to, czy nawyk oddychania przez usta nie

czy wdmuchiwanie dymu w odbytnicę – z dzisiejszej perspektywy są absurdalne. Czy i obecnie pokutują nieprawdziwe przekonania, mity?

– Oczywiście, wciąż słyszy się chociażby polecenia „oddychaj głęboko”, mimo że już w XV w. Leonardo da Vinci opisywał hiperwentylację, a w XIX i XX w. powstały książki, że oddech nie może być szybki i głęboki. Samo głębokie oddychanie może i nie jest szkodliwe, ale oddech najczęściej idzie wtedy nie z przepony, ale np. z pompowania powietrza w kierunku brzucha. Pokutuje też mit, że należy oddychać głęboko przez nabieranie powietrza przez usta, bo w ten sposób natykamy się więcej tlenu. To tak nie działa, bo zdrowy człowiek nie ma problemu z natlenieniem krwi, raczej z przetransportowaniem tego tlenu z krwi do ciała. W momencie gdy oddychamy szybko i głęboko, tracimy dwutlenek węgla – a on jest niezbędny w transporcie tlenu do naszych komórek. Wcale więc to nie sprawia, że się lepiej dotleniamy, a tym bardziej przez usta. Bo gdy oddychamy przez nos, ciśnienie powietrza jest większe, dzięki czemu absorpcja tlenu z powietrza zachodzi efektywniej.

W modzie są dziś różne metody oddechowe. Ogromną popularnością cieszą się sposoby Butejki czy Wima Hofa. Czy one działają?

– W pewnych sytuacjach rzeczywiście działają. Problemem jest jednak to, że są one nadużywane. Nie każdy będzie dobrze znosił

podejściem. Nie każdy może wykonać wszystkie te ćwiczenia. Nie każdy sobie z nimi poradzi. Bo jeżeli ktoś nieprawidłowo oddycha i – załóżmy – zacznie robić ćwiczenia metodą Wima Hofa, które polegają na wykonaniu 30 oddechów hiperwentylacyjnych, i on te oddechy wykonatorem górnożebrowym, to wzmocni u siebie nieprawidłowy wzorzec. Ważnym aspektem jest stopniowanie ćwiczeń. Rzucanie się od razu na intensywne ćwiczenia bez odpowiedniego przygotowania czy nauki prawidłowego oddychania może doprowadzić do zwiększenia jakiejś nieprawidłowości. Dlatego należy przede wszystkim podejść do tego z głową.

Gdy oddychamy szybko i głęboko, tracimy dwutlenek węgla – a jest on niezbędny w transporcie tlenu do naszych komórek.

Jakie korzyści zaczniemy odczuwać, prawidłowo oddychając?

– Jako pierwsze pojawia się zmniejszenie poziomu stresu, a za tym idą lepsza koncentracja, pamięć czy regeneracja. Oddychanie to też aspekty wydolnościowe, więc na pewno będzie lepsza tolerancja wysiłku, poprawią się możliwości sprawnościowe. Jeżeli treningi oddechowe oparte będą na oddechu przeponowym, można zauważyć obniżenie poziomu bólu czy lepszą równowagę. Jeśli ktoś miał tendencję do oddychania przez usta i zacznie oddychać przez nos oraz

przejawia się u dzieci. Dziś wiemy, że niektóre trudności w szkole czy zaburzenia typu ADHD są powiązane z przewlekłym oddychaniem przez usta czy bezdechami w najmłodszych latach. Wyłapywanie tego na poziomie przedszkolnym jest kluczowe, aby wychować zdrowe społeczeństwo. Oddech jest też skuteczną metodą radzenia sobie ze stresem. Dlatego nauczanie przedszkolaków oddychania może zapobiec w przyszłości mniej przewlekłemu stresowi.

Dominika Tworek

Jak heloderma arizońska stała się medyczną supergwiazdą

Anne Sverdrup-Thygeson

Heloderma arizońska to największa jaszczurka Ameryki Północnej, mająca mniej więcej pół metra długości. Pokryta jest perłowymi łuskami, tworzącymi piękny, psychodeliczny, czarno-pomarańczowy wzór. Na dodatek jest jedną z niewielu znanych jadowitych jaszczurek – swoim ofiarom jad aplikuje nie przez pustę w środku kły, jak jej krewniacy węże, lecz gryząc zdobycz, dzięki czemu wytwarzana w śliniankach w żuchwie trucizna przenika do ciała złapanego stworzenia. Gatunek ten żyje na półpustynnych terenach w południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych, głównie w Arizonie, a także dalej w Meksyku. Nielegalne polowania, zabudowywanie gruntów i budowa dróg sprawiają, że liczba tych jaszczurek nieustannie się zmniejsza, a gatunek uważany jest za bliski zagrożenia wymarciem.

Jaszczurka ta ma mroczną przeszłość, była niezrozumiana i nielubiana. Ludzie uważali, że ma trujący oddech i zabija ofiary, chuchając na nie, a jej ugryzienie jest dla nas zabójcze. Nic z tego nie jest prawdą. Taki bliski kontakt z tym zwierzęciem może jednak skończyć się silnym bólem, spowodowanym zarówno przez samo ugryzienie, jak i przez działanie trucizny. (...) Trucizna ta oddziałuje m.in. na trzustkę, w której produkowana jest insulina. Reguluje ona poziom cukru we krwi, a jeżeli ma się cukrzycę typu 2, to albo trzustka produkuje za mało insuliny, albo nie działa ona tak jak powinna.

W latach 90. zbieżność ta wzbudziła zainteresowanie pewnego badacza i diabetologa. Finansowany ze skromnych państwowych środków na badania podstawowe, nie mając zupełnie pojęcia, jak niezwykle będą wyniki jego pracy, przyjrzał się bliżej trującej ślinie helodermy arizońskiej. Znalazł w niej substancję o nazwie



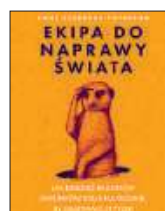
eksendyna-4, która przypomina ludzki hormon. Eksendyna-4 powodowała wzrost produkcji insuliny, gdy poziom cukru we krwi był wysoki, np. tuż po posiłku. W ten sposób substancja ta zapewniała utrzymanie stabilnego, prawidłowego poziomu glukozy – a jest to właśnie to, czego potrzebują pacjenci dotknięci cukrzycą.

Badacz przygotował plakat opisujący wyniki swojej pracy i zabrał go ze sobą na doroczną konferencję amerykańskiego stowarzyszenia diabetologów. Przyciągnął tam uwagę małej firmy biotechnologicznej, a jakieś 10 lat później, w 2005 r., gotowy lek został zatwierdzony do użytku w Stanach Zjednoczonych. Używa się go jako środka uzupełniającego leczenie u wielu pacjentów z cukrzycą typu 2, a jedną z jego zalet jest to, że działa przez długi czas, dzięki czemu nie trzeba go zbyt często wstrzykiwać. Dodatkowo ogranicza apetyt i może pomagać w utrzymaniu wagi przez cukrzyków. W 2020 r. w samych Stanach Zjednoczonych wypisano na ten lek ponad półtora miliona recept. Na szczęście dla zagrożonej jaszczurki eksendyna-4 daje się bez trudu wytwarzać w laboratorium, dzięki czemu do produkcji leku nie są potrzebne żywe zwierzęta.

Dobrze, że gatunek ten wciąż daje sobie jakoś radę, bo okazało się, że jego ślina ma również inne ciekawe właściwości. Na przykład wpływa na pamięć. Myszy laboratoryjne dzięki niej natychmiast zyskują superpamięć, mniej więcej tak jak w książce „Kwiaty dla Algernona” Daniela Keyesa, w której najpierw mysz, a potem człowiek poddani zostają eksperymentalnej terapii, skutkującej zwiększeniem inteligencji. W prawdziwym świecie jeszcze do tego nie doszliśmy, jednak wiele firm farmaceutycznych bada, czy tę pochodzącą z gadziej śliny substancję można wykorzystać w leczeniu utraty pamięci u pacjentów z chorobą Alzheimera, Parkinsona, schizofrenią czy ADHD.

Artykuł podsumowujący z roku 2019 informuje o stosowaniu odmian tej substancji w terapii poważnych, postępujących chorób ośrodkowego układu nerwowego. Stwierdza się w nim, że chociaż potrzeba jeszcze wielu badań na ludziach, to wstępne wyniki badań na zwierzętach są bardzo obiecujące. Heloderma arizońska stała się medyczną supergwiazdą.

Anne Sverdrup-Thygeson,
Ekipa do naprawy świata,
tłum. Witold Biliński,
Znak, Kraków 2022



Henry Mance

Miłość do ogrodów zoologicznych przeszła mi, kiedy miałem dwadzieścia parę lat, i sam nie wiedziałem, dlaczego. Fizycznie się nie zmieniły, jednak nie budziły już takich emocji jak dawniej. (...) Unikałem zabierania córek do zoo. Nie było to łatwe. Ogrody zoologiczne próbują się ulokować po jasnej stronie mocy. Towarzystwo Zoologiczne w Londynie, które zarządza londyńskim zoo, mówi: „Naszą wizją jest świat pełen dzikich zwierząt”. Zoo w San Diego – według TripAdvisor najpopularniejszy ogród zoologiczny świata – określa się jako wcale nie zoo, ale „organizacja ochrony przyrody zaangażowana w ratowanie gatunków na całym świecie”. Paryskie zoo twierdzi, że jest „nowoczesną placówką ochrony przyrody”.

Chcemy wierzyć w ogrody zoologiczne. Szybko zapominamy o niemiłych incydentach. Ludzie byli smutni, kiedy Knut, młody niedźwiedź polarny, który stał się gwiazdą berlińskiego zoo, upadł i utopił się w wieku zaledwie czterech lat, ale później wyszło na jaw, że cierpiał na rzadką chorobę autoimmunologiczną. Ludzie byli oburzeni, kiedy w 2014 r. kopenhaskie zoo zastrzeliło samca żyrafy, poćwiartowało go na oczach zwiedzających, po czym nakarmiło jego mięsem lwy, ale wytłumaczono to jako coś, co mogło się zdarzyć tylko w Danii. Ludzie dostali bzik, kiedy serial Netfliksa „Król tygrysów” ukazał okrutne, ponure realia hodowli tygrysów, ale serial koncentrował się na amerykańskich prywatnych menażeriach. (...)

Przede wszystkim, czy jakkolwiek inny gatunek trzyma inne gatunki w niewoli? Jedynym przykładem, jaki udało mi się znaleźć, były pewne mrówki, które żywią się spadzią wytwarzaną przez mszyce. Aby umożliwić kolonii mszyc ucieczkę, mrówki niekiedy odgryzają mszycom skrzydła. Wytwarzają też substancje chemiczne, które działają na mszyce uspokajająco i zniechęcają je do odlotu. W zamian mrówki chronią mszyce przed drapieżnikami. Poza tym wyjątkiem ludzie wydają się



Arka dziejów

Ogrody zoologiczne miały inne priorytety niż zwierzęta. Najważniejsze było przyciągnięcie zwiedzających

jedynym gatunkiem, który trzyma inne gatunki w niewoli.

Ogrody zoologiczne mogłyby się nam wydawać nienaturalne, gdyby nie arka Noego. Oto opowieść, powtarzana w kościołach i wielu szkołach, w której ludzie trzymają zwierzęta w niewoli, aby je uratować. Motyw wielkiego potopu pojawia się też gdzie indziej – w eposie o Gilgameszu – ale w chrześcijańskiej wersji Noe dowiaduje się, że Bóg zamierza zatopić świat, uśmiercając wszystkie żywe stworzenia. Nic dziwnego, że metafora ta została rozciągnięta na ochronę przyrody. Było ARKive, inicjatywa utworzenia kolekcji zdjęć wszystkich zagrożonych gatunków, oraz Amphibian Ark, próba ratowania zagrożonych płazów. Jest Noah's Ark Zoo w Somerset w zachodniej Anglii i Noah's Ark Animal Sanctuary w Georgii na południu Stanów Zjednoczonych. Także londyńskie zoo, zlokalizowane w północnej części Regent's Park, nazywano początkowo Arką w Parku.

Kiedy zwiedza się zoo, historia nie rzuca się w oczy. Być może wynika to stąd, że jedną rzeczą, co do której wszyscy są zgodni, jest to, iż początki ogrodów zoologicznych nie wyglądają dobrze. Minione tysiąclecie dostarczają licznych przykładów ludzi w karygodny sposób traktujących pojmane zwierzęta. Historia, która zaszokowała mnie najbardziej, pochodzi sprzed 300 lat.

August Mocny lubił wszystko w nadmiarze. Jako władca Saksonii i Polski kolekcjonował dzieła sztuki i pałace. Zanim zmarł w 1733 r. – z przepicia, rzecz jasna – spłodził przeszło trzy setki nieślubnych dzieci. Kolekcjonował także zwierzęta i sfinansował ekspedycję do Afryki Północnej w celu sprowadzenia okazów. (...)

Augustowi samo oglądanie zwierząt nie wystarczało. Pociągało go coś, co współcześni muzealnicy nazwaliby chyba „wystawami interaktywnymi”. W 1719 r., z okazji ślubu syna z córką cesarza rzymskiego,

August zaprezentował zaproszonym gościom pokazową walkę między lwami, tygrysami, bykami, niedźwiedziami, dzikami i małpą, podczas której serwowano konfitury i napoje. Wszyscy byli zainteresowani – z wyjątkiem zwierząt. Jak relacjonowało czasopismo „Mercure de France”, jeden z lwów postanowił się położyć i słodko zasnąć. W końcu August Mocny nie wytrzymał i zastrzelił wszystkie pozostałe zwierzęta, z wyjątkiem lwa, który został uduszony, i innego, niewymienionego z nazwy zwierzęcia, które wykrwawiło się na śmierć. (...) Podczas innej zorganizowanej przez Augusta imprezy przeszło tysiąc zwierząt – głównie lisów i zajęcy – podrzucano wysoko w powietrze (co kończyło się dla nich śmiercią).

Historia Augusta Mocnego, która nie jest wyjątkowa w swojej brutalności, demonstruje kompletną obojętność, jaką potrafili przejawiać nasi przodkowie wobec życia i śmierci pojmanych zwierząt. Trzymanie ich w niewoli nie niosło ze sobą żadnej odpowiedzialności moralnej. Według właścicieli menażerii zwierzęta miały służyć kaprysom: można się było na nie gapić albo je zabijać. (...)

Ogrody zoologiczne były wariacją na temat menażerii. Kiedy upowszechniły się w XIX stuleciu, nie próbowały ratować zwierząt przed zagładą. (...)

Na ogół jako pierwszy nowoczesny ogród zoologiczny wymienia się zoo w Paryżu. Francuskim rewolucjonistom nie podobano się wystawność menażerii Ludwika XVI, tak

poprzednikami, zmagali się z tymi samymi trudnościami. Ich głównym problemem było pozyskanie egzotycznych zwierząt, które chcieli oglądać bywalcy. Oznaczało to wyprawę w dzicz i zabijanie mnóstwa dorosłych osobników, aby móc zabrać młode.

Carl Hagenbeck, jeden z najsłynniejszych handlarzy egzotycznymi zwierzętami, sprzedał tysiące lwów, niedźwiedzi, słoni oraz innych zwierząt. Liczby zabitych były wielokrotnie wyższe. Ta rzeź była ukrywana

Chcemy wierzyć w ogrody zoologiczne. Szybko zapominamy o niemiłych incydentach.

przed gośćmi ogrodów zoologicznych. Dyrektor zoo w Bronksie, William Hornaday, specjalnie prosił Hagenbecka, aby nie wspominał o tym, że schwytywanie czterech młodych nosorożców indyjskich wiązało się z uśmierceniem 40 dorosłych. Usprawiedliwiał ową masakrę tym, że świat będzie miał większy pożytek z tych nosorożców w Nowym Jorku, niż gdyby „biegały na swobodzie w dżunglach Nepalu, widywane jedynie z rzadka przez paru nieokrzesanych tubylców”.

Pewnego razu niemiecka armia kolonialna wyruszyła, aby schwytać słonia dla berlińskiego zoo. Żołnierze znaleźli stado, zbudowali wokół niego płot, żeby zwierzęta nie mogły uciec, i wystrzelali wszystkie dorosłe. Zostało siedmioro młodych, z których trzy przeżyły, a jeden dotarł do Berlina. „Wydawaliśmy się tak mali,

40 dni bez kąpeli i jedzenia. W zoo na zwierzęta czekały ciasne klatki lub gołe wybiegi. Wybiegi były zaprojektowane tak, że odwiedzający mogli je okrążyć, by mieć na żywe eksponaty jak najlepszy widok – przerażające doświadczenie dla stworzeń nawykłych do chronienia się przed drapieżnikami. (...) Wielkie koty w londyńskim zoo przeżywały przeciętnie dwa lata. Pierwszy goryl padł w 1887 r., karmiony kanapkami z serem, kiełbasą i piwem. Ogrody nie przejmowały się zbyt takimi

zgonami, tym bardziej że wielu przyrodników chętnie pracowało na zwierzęcych zwłokach. (...)

Czemu służyło to wszystko? Z historycznego punktu widzenia ten „masowy ruch zwierząt widzi się jedynie w czasach imperiów”, mówi Naomi Sykes, profesor archeologii na Uniwersytecie w Exeter. Menażerie zaspokajały ciekawość i żądę prestiżu bogaczy. Ogrody zoologiczne dojrzewały w epoce europejskich imperiów. (...) Obwożenie zwierząt po świecie było świadectwem ludzkiej potęgi.

Kolonializm opierał się na poczuciu moralnej wyższości. Ogrody zoologiczne pasowały do tego jak ulał. Podobnie jak sami kolonizatorzy, zoologowie mogli przypisywać sobie szlachetny, naukowy cel. Londyńskie zoo, utworzone przez tamtejsze Towarzystwo Zoologiczne, uchodziło za pierwszy na świecie naukowy ogród zoologiczny. Początkowo zwiedzać mogły je tylko osoby zamożne, ale stopniowo się zdemokratyzowało, bo właściciele potrzebowali więcej pieniędzy.

Konieczność zdobywania funduszy sprawiła, że ogrody zoologiczne poszły kolejną wątpliwą drogą. Londyńskie zoo kierowało swoją ofertą nie tylko do naukowców, ale i do hodowców. Zamiast ratować dzikie zwierzęta, próbowało tworzyć udomowione. Oferowało subskrybentom zwierzęta do kolekcji i do polowań oraz eksperymentowało z krzyżowaniem rozmaitych gatunków, np. osła ▶

Według właścicieli menażerii zwierzęta miały służyć kaprysom: można się było na nie gapić albo je zabijać.

więc jego zwierzęta przeniesiono do nowego domu w muzeum historii naturalnej. Warunki były fatalne i większość z nich padła przed upływem roku. Epoka ogrodów zoologicznych rozpoczęła się dość niefortunnie. Jednakże w 1828 r. otwarto zoo w Londynie, później zaś w Berlinie. Wreszcie w 1864 r. powstało nowojorskie zoo w Central Parku.

Chociaż ogrody zoologiczne różniły się od menażerii, które były ich

tak nieznaczący w porównaniu z tymi ogromnymi zwierzętami w ogromnej dzicz, wspominał ze zdumieniem Hans Dominik, uczestniczący w tych łowach kapitan armii. Nasze oburzenie marnotrawstwem XIX-wiecznych polowań należy skierować także przeciwko ogrodom zoologicznym.

Zwierzęta, które przeżyły, mogły uważać swój los za gorszy od śmierci. Transportowany przez Hagenbecka stoń morski spędził

► i zebu. (...) Jedną z prób udomowienia dotyczyła pięknie ubarwionego bażanta zwanego olśniakiem himalajskim – jej patronom, w tym królowej Wiktorii, marzyły się polowania na te ptaki. Schwymano przeszło tysiąc dziko żyjących olśniaków, z czego większość nie przeżyła podróży, a tylko kilka wydało potomstwo. Rozpowszechniony w całych Himalajach, gatunek ten wydaje się dziś radzić sobie dobrze bez pomocy londyńskiego zoo. (...)

Ignorancja była powszechniejsza niż zło. Londyńskie zoo organizowało herbatki z udziałem zwierzęcych maluchów oddzielanych od rodziców. Pozwalało dzieciom jeździć na grzbiecie olbrzymiego żółtwa. Gościom wolno było karmić zwierzęta – zakazano tego dopiero w latach 60. ub.w., po tym jak jeden ze słoni afrykańskich przyplącił życiem upadek, kiedy sięgał po bułkę. Pierwszy dyrektor naukowy zoo, zoolog Edward Hindle, przekonywał w 1950 r., że zwierzęta w ogrodach zoologicznych nie potrzebują dużo przestrzeni, ponieważ w naturze ich terytoria byłyby ograniczone przez rywali i drapieżniki. „Generalnie należy wątpić, czy niedostatek przestrzeni jest bardzo poważnym względem przy urządzaniu odpowiednich pomieszczeń dla zwierząt”, powiedział. Hindle uważał

też, że słonie i ptaki drapieżne „należą do najłatwiejszych do trzymania w menażeriach i z reguły dożywają sędziwego wieku”.

Być może najbardziej wpływowym opiekunem zoo w dziejach był Heini Hediger, w latach 40. i 50. ub.w. dyrektor ogrodów zoologicznych w Bazylei i Zurychu. Hediger był pod pewnymi względami innowatorem. Pisał książki nakłaniające ogrody zoologiczne do większego urozmaicenia pomieszczeń dla zwierząt (choć wiele ogrodów to zignorowało). Potępiał fakt, że słoniom nie zapewniano możliwości kąpieli, co powodowało u nich wysuszenie skóry i wypadanie włosów. Ale nawet Hediger uważał, że „ważne jest przyzwyczajenie słoni do zakuwania ich na noc w łańcuchy” – aby nauczyły się uległości. To także okazało się wielkim błędem.

Ogrody zoologiczne miały inne priorytety niż zwierzęta. Najważniejsze było przyciągnięcie zwiedzających. Dzień po sprowadzeniu do londyńskiego zoo w 1836 r. pierwszych żyraf przyszło je zobaczyć ponad 500 dzieci w wieku szkolnym. Ale ten efekt nowości stawał się coraz trudniejszy do osiągnięcia. (...) Jednocześnie dyrektorzy ogrodów zoologicznych zdawali się wierzyć, że każde zwierzę może być trzymane

w niewoli. „Potrzeba tylko kilku ludzi mających dość inicjatywy i dysponujących odpowiednimi funduszami, aby uczynić trzymanie wielorybów realną propozycją w Europie”, powiedział Hediger. Wielorybów! Wszystko, co żyje, mogło i powinno zostać poskromione. Pierwszy serial telewizyjny Davida Attenborough, „Zoo Quest”, poświęcony był wyprawom w odległe zakątki świata i sprowadzaniu wielkiej liczby stworzeń – w tym lemurów z Madagaskaru, papug z Nowej Gwinei i pancerników z Paragwaju – które miały zostać zbądane w londyńskim zoo. „Większość ogrodów zoologicznych zakładała, że w naturze są nieograniczone zasoby okazów”, wspominał później Attenborough. Waspokojanie naszej ciekawości jest duchem, który napędzał zoo przez większość jego dziejów.

Najlepsze ogrody zoologiczne błądziły, ogólna praktyka była jednak wręcz szokująca. W 1973 r. amerykański kolekcjoner Peter Batten przekazał Gladys Porter Zoo w Teksasie 24 ssaki i ptaki. Zaledwie sześć tygodni później odkrył, że pięć z tych zwierząt nie żyje, a sześć zostało zranionych lub okaleczonych przez niewłaściwą opiekę. Zrobił objazd po niemal 200 amerykańskich ogrodach zoologicznych i stwierdził z oburzeniem, że ich „opieka nad zwierzętami jest nieudolna, a w niektórych żadna”.

Gdybyście powiedzieli to dziecku przed zabraniem go do zoo, prawdopodobnie wołałoby pójść gdzieś indziej. U zarania tych instytucji leżała krzywda zwierząt. Niekoniecznie oznacza to, że ogrody zoologiczne nie mogą być dziś dobrym miejscem na nawiązanie kontaktu ze zwierzętami. Ale kiedy sobie uświadomimy, że ich główne cele generalnie nie obejmowały dobrostanu zwierząt ani ratowania zagrożonych gatunków i że aż do zupełnie niedawna sprawy wyglądały bezdyskusyjnie źle, łatwiej nam dostrzec, że sytuacja wciąż jest kiepska.

Fragmenty książki Henry'ego Mance'a *Jak kochać zwierzęta w świecie człowieka*, tłum. Norbert Radomski, Rebis, Poznań 2022



Stary Kapitan błaga o życie!

Stary Kapitan spogląda na mnie badawczym okiem. Jedynym, na które jeszcze widzi. Choć też słabo, bo oko powoli zalewa biała mgła. Z każdym dniem Kapitan widzi słabiej i słabiej.

Ale może to i dobrze. Nie musiał Kapitan patrzeć, jak z zimną krwią się go pozbawiają z miejsca, gdzie służył całym sercem przez całe życie, jak na kapitana przystało. A na koniec dostał całą obojętność tego świata. Podobno obojętność zabija najdotkliwiej.

Przyjechał z Litwy. I daleko, i nie. Tam był jednym z głównych koni. Nie to, żeby miał jakiś świetny papier. Ale był posłusznym, karnym i pełen zapału do pracy. Zapał jest cenny. I każdy chętnie brał posłusznego konia, który gotowy był umrzeć, byle spełnić rozkaz.

Umierał tak przez 30 lat. Każdego dnia. Zwarty, gotowy, na swoim posterunku. Służył do uczenia młodych koni - aby wiedziały, jakie być powinny.

Potem wzięli go do Polski. Do uczenia młodych koni do zaprzęgu. Ale serce Kapitana zostało na Litwie. Gdy tylko przyjechał tu, zaniedbał. Przewrócił się trzy razy. Czwartego razu mu nie wybaczone.

I tak stary Kapitan trafił do miejsca, skąd hurtowo wyjeżdżają takie konie jak on. Choć chwilowo jest tu sam, to reszta się nie zmienia. Zaraz stąd wyjedzie. A na dniach ma dojechać kilka innych koni, równie starych i zabitych przez tą samą obojętność. Zapewne jednak nigdy się nie spotkają.

Mamy mało czasu. Musimy dziś, we wtorek, dać 1300 zł zadatku. Potem do 19 sierpnia musimy dopłacić do 8000 zł za kapitańskie życie i jego transport. Pomóżesz ocalić starego Kapitana?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem KAPITAN na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści KAPITAN na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>



Andrzej i Dagmara

Dagmara Luković, konsul w Chorwacji, awansowała do roli bohaterki MSZ. A to za sprawą konferencji prasowej poświęconej wypadkowi polskiego autokaru z pielgrzymami jadącymi do Medjugorja.

Podczas konferencji pani konsul uśmiechała się na lewo i prawo, mimo że sytuacja wymagała od niej powagi. Dziwnie też odpowiadała. Gdy dziennikarze zapytali ją o szczegóły identyfikacji ofiar, odparła: „Osób, które nie żyły, które były nieprzytomne, nie mogliśmy zapytać, jak się nazywają”. A gdy zapytano ją o możliwość przewiezienia ciał tragicznie zmarłych do Polski, stwierdziła: „Mamy 12 ciał i nie da się logistyki ich repatriacji do kraju zorganizować w pół godziny”.

Skąd ten brak delikatności? Skąd ta frywolność? Może stąd, że pani Luković jest konsulem z przypadku? To sławistka, od roku 1989 mieszkająca w Belgradzie. W mediach chętnie opowiadała o Serbii i serbskiej literaturze. Potem pracowała w ambasadzie RP w Belgradzie, ale jako attaché ds. kultury i nauki. Z tego stanowiska przeszła do korpusu konsularnego, była konsulem w Kaliningradzie, a teraz od roku 2018 jest w Zagrzebiu, jako I radca ambasady i kierownik wydziału konsularnego.

Cóż, to dość dziwne, że na stanowisko wymagające dużego doświadczenia konsularnego – Chorwacja to przecież ogrom pracy – mianowana została osoba do spraw konsularnych przysposobiona. Zwłaszcza że jeszcze nie tak dawno w naszym MSZ obowiązywała zasada, że na trudne placówki konsularne wysyła się zawodowców. Ale, jak widać, już nie obowiązuje.

Dlaczego tak się dzieje? Pewnie sporo na ten temat miałyby do powiedzenia ambasador w Zagrzebiu Andrzej Jasio-

nowski. Trzeba trafiać, że wieloletni dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ i były dyrektor generalny służby zagranicznej.

Jasionowski do MSZ przyszedł na początku lat 90., prosto z UOP, w chwałę działacza podziemnego NZS. I w zasadzie nie wychodził poza sprawy konsularne, aż do roku 2009, kiedy został ambasadorem w Belgradzie. Możemy przypuszczać, że wówczas poznał panią Luković i uznał, że będzie wzmocnieniem polskiej służby zagranicznej.

Szczególnie że w następnych latach rozkwitł. Gdy PiS przejęło władzę, został dyrektorem generalnym służby zagranicznej i zapamiętano go na tym stanowisku jako autora pierwszej, wówczas zablokowanej ustawy o MSZ. Ta ustawa szeroko otwierała ministerstwo dla osób spoza niego, nawet bez znajomości języków obcych i jakiegokolwiek praktyki. No i ułatwiała czystki kadrowe. Jasionowski, gdy w Sejmie pytano go o ustawę, bardzo był z niej dumny. Zwłaszcza z tego, że będzie można wyrzucić dyplomatów, którzy zaczęli pracę w czasach PRL. Narzekał przy tym na ministra Sikorskiego, którego oskarżał o spowodowanie zapaści MSZ i polskiej polityki zagranicznej.

Żałuj, Radostawie, żeś go wysyłał w ambasadory, kiedy mogłeś go wysłać do archiwum...

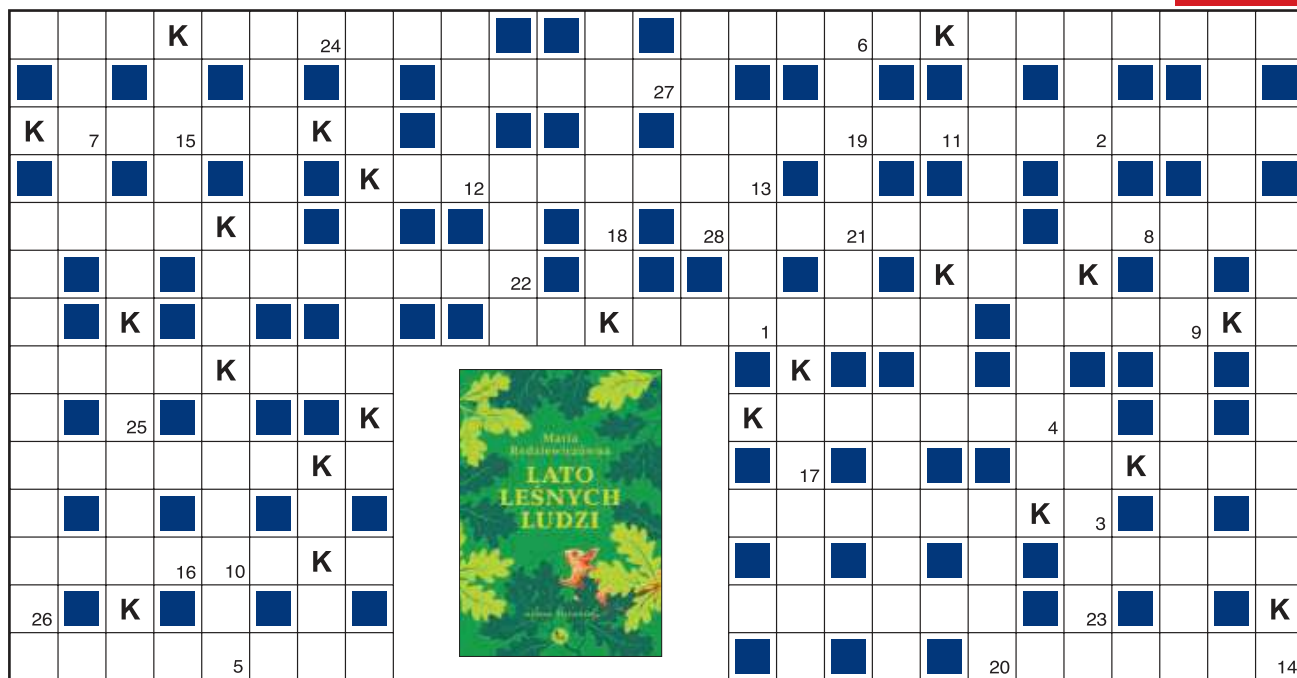
Ale te żale odłożmy na bok. Już jako dyrektor generalny w latach 2016-2017 Jasionowski mógł sobie ułożyć ambasadę w Zagrzebiu, jak chciał, i – któż w to wątpi? – pewnie tak zrobił. Z panią Dagmarą Luković na czele, którą uznał za najlepiej nadającą się na stanowisko szefowej wydziału konsularnego.

Więc jest, jak jest.

Attaché

Urzednicy komisji wyborczej w lokalu urzadzonym w siłowni w Nairobi. 9 sierpnia 2022 r. Kenijczycy wybierali prezydenta, gubernatorów prowincji i parlamentarzystów.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą końcowe hasło.

- „...Pana Kleksa”
- Berneńskie, Julijskie lub Zillertalskie
- imię księcia Sabaudii, antypapieża Feliksa V
- cherubinek albo uroczę dziecko
- stolica Turcji

- pracownica CBOS lub IBRIS
- koniec świata przepowiedziany w Biblii
- ujęcie, punkt widzenia
- zupa z młodych buraczków
- moment, mgnienie

- ...dnia – zapytaj o nie kelnera
- obniżenie pozycji społecznej lub przewyższenie kogoś
- pierwszak po wakacjach
- między deltą a dzetą
- w tarocie też jako Błazen, Wędrowiec
- paulinia pobudzająca jak kawa
- zastój, sytuacja bez wyjścia
- nałogowy gracz np. w pokera
- na jego złamanie – pędem
- stolica z Majdanem

- duży orzech z mleczkiem
- i rodaczka, i makaron
- J-23 dla Hansa Klossa
- pojedynczy dźwięk wydany przez kaczkę
- La w tablicy Mendelejewa
- staczająca się masa śniegu
- instrument minstrela
- domena Euklidesa i Stefana Banacha
- premier Leszek z SLD
- nieosiągalność, nieokreśloność
- x lub y w równaniu
- zmiennoogniskowy to zoom
- wymieniane przed ołtarzem
- z żyrafowatych, ma pręgi na nogach

- sędzia w sporze o złote jabłko
- gęsta farba do szkolnych malunków
- koc z grubej tkaniny wełnianej
- pojazd gasienicowy na nartostradzie
- partia Leppera
- do wytarcia ust po posiłku
- końcówka odkurzacza
- miękka, prążkowana tkanina
- Długi... z Dworem Artusa
- miernicza, klejąca lub krawiecka
- wyspa z Peenemünde
- długie Roszpunka
- środek (pojemnika, budynku)
- koneser, ekspert

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1078”. Do rozlosowania książki „Lato leśnych ludzi” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 sierpnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1075” z nr. 31: Kto się śmieje, ten wygrywa.
Nagrody otrzymują: Włodzimierz Baj z Warszawy, Janina Krunis-Traczyk z Warszawy, Kazimierz Szulowski z Lesznowoli.

PENETRACJE

TYGODNIK
POWSZECHNY

MARCIN DUMA,
PREZES INSTYTUTU
BADAŃ RYNKOWYCH
I SPOŁECZNYCH IBRIS

Wielu z nas zaczęło uważać, że uchodzący nas doją, sami nic z siebie nie dając. Powtarzającym się motywem jest spostrzeżenie, jak dobrymi autami jeździ część z nich. To bardzo ludzi kłuje. Miały być same stare lady i volkswageny, a tu widać nawet mercedesy i lexusy. Uważamy, że Ukraińcy powinni być dużo biedniejsi od nas. Nie chodzi nawet o to, że Polacy stracili empatię wobec Ukrainek i Ukraińców, po prostu uważamy, że czas naszego wysiłku minął. Powinni się ogarnąć, wyrazić wdzięczność za to, że wzięliśmy ich pod swój dach i nakarmiliśmy. A potem pojechać tym lexusem do polskiego rolnika, tubianka w rękę i zbierając owoce.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

JAN MENCWEL,
STOWARZYSZENIE
MIASTO JEST NASZE

Główne wyzwanie jest takie: ulice i place muszą być pełne drzew, bo inaczej potwornie się nagrzewają. W polskich miastach ulice ze szpalerami drzew to wyjątki, perełki na tle całej reszty. A powinniśmy sobie jasno powiedzieć: dziś ulica bez drzew to jak kiedyś ulica bez kanalizacji czy elektryczności. Powinniśmy dążyć do tego, by drzewa, krzewy, zieleńce były obowiązkowym elementem każdej dzielnicy. Takim jak latarnie, chodniki, światła drogowe czy krawężniki.

Press

**CEZARY
ŁASICZKA,**
RADIO TOK FM

Mój program „OFF Czarek” rozpoczyna się o godz. 10 rano czasu polskiego, a w lokalnej strefie czasowej była dopiero 4 rano. Kiedy mieszkańcy Toronto wstawali do pracy, ja już byłem po robocie i resztę dnia mogłem poświęcić na zwiedzanie, czytanie, przygotowywanie materiałów do kolejnych programów. Życie i praca w dwóch strefach czasowych były niełatwym i wyczerpującym zadaniem, ale do czasu, gdy mój organizm uznał, że to normalne, paliwo do pracy czerpałem z odpowiedzialności za moich wiernych słuchaczy oraz kredytu zaufania, którym obdarzył mnie pracodawca.

STYL

**JOWITA
BUDNIK,**
AKTORKA

Zawsze byłem typem przeciętnej dziewczyny z sąsiedztwa, dla mnie to atut. Aktorki, których cechą jest spektakularna uroda, wpadają w panikę, gdy ona przemija. Ja tego lęku nie czuję. Jestem zadowolona z mojego życia i z tego, że ono mi się wypisuje na twarz, też. Na pewno jej sobie nie wyprasuję. Mam pomarszczone czoło od młodości, to kwestia mimiki. I co?! Jako 16-latkę miałam zmarszczki, a w wieku 49 lat mam być gładzusięńka? To by była komedia.

Aby język giętki...

OLGA TOKARCZUK O PANDEMII

Przypomniała nam bardzo boleśnie, że należymy do przyrody i od niej zależymy, a nasza wiedza jest przereklamowana.

**JERZY SKOLIMOWSKI
O TYM, CZEGO MU ŻYCZYĆ**

Aby udało mi się w pełni zostać wegetarianinem i obym miał jak najwięcej naśladowców.

**KS. GENE GOMULKA
O KOŚCIELE AMERYKAŃSKIM**

Ponieważ większość biskupów w USA to homoseksualiści, to młodych mężczyzn z krajów takich jak Polska witają w seminariach z radością. Są wykorzystywani jako „młode mięso” dla gejowskich duchownych.

**KRZYSZTOF VARGA
O FUNDAMENTALISTACH**

Im współczesność bardziej wymagająca mądrości, tym gwałtowniej się odwrót od rozumu.

MARIUSZ JANICKI O BUNTOWNIKACH

Buntownicy, którzy nie chcą głosować, to sprzymierzeńcy władzy, przeciwko której się buntują.

**JOANNA SZCZEPKOWSKA
O KAZIMIERZU DEJMKU**

Kochaliśmy naszego oprawcę. Bo w jego krzykach, wulgaryzmach nie było sadyzmu, tylko jakaś furia artysty, twórcza gorączka.

MAREK KONDRAT O EMIGRACJI

Mieszkam tu i tu. W Hiszpanii raczej bywam, nie poruszam się w tym języku dobrze.

ANNA SENIUK O ROLACH

Bardzo krótko grałam amantki, bo uważam, że nie należy na siłę przedłużać młodości.

JERZY STUHR O PRZYGODZIE

Życie może być wielką przygodą. Trzeba tylko mieć odwagę w nią wyruszyć.

PAULINA KRUPIŃSKA O SUKNI ŚLUBNEJ

W modelingu byłam etatową panną młodą. Przymierzałam tysiące sukienek. Aż trafił mi się góral i problem sukni sam się rozwiązał.



Rosie podczas startu na Mistrzostwach Świata Psów w Surfingu w mieście Pacifica w Kalifornii, 6 sierpnia 2022 r.



Wędlna nie z tej Ziemi

Krążące po internecie zdjęcie Proximy Centauri, opublikowane przez cenionego francuskiego naukowca, okazało się wizerunkiem plastra hiszpańskiej kiełbasy. Fizyk i filozof nauki Étienne Klein podzielił się z użytkownikami Twittera fotografią chorizo, pisząc, że przedstawia ona niezwykle szczegółowy obraz najbliższej Słońcu gwiazdy, wykonany przez Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba. Wpis był wielokrotnie podawany dalej przez osoby, które wzięły żart autorytetu na poważnie. Nauka z tego taka, że z kiełbasą trzeba ostrożnie – nie tylko tą wyborczą.

Nabici w cukiernię

Prawie 1000 zł straciła 44-letnia mieszkanka powiatu sokólskiego, gdy skuszona atrakcyjną ceną zamówiła przez internet 650 kg cukru. Ze względu na hurtową ilość produktu sprzedający zażądał zaliczki, którą kobieta szybko wpłaciła – i wówczas kontakt się urwał. Śledztwo jest w toku, a podobnych przestępstw odnotowano więcej. Takie to czasy, że na cukrze można wyjść jak Zabłocki na mydle.

Na helikopter i trumnę

Mer francuskiego Saint-Gervais, z którego wiedzie trasa na Mont Blanc, oczekuje od planujących wejście na szczyt wpłacania kaucji. Mają oni zostawiać w samorządowej kasie 15 tys. euro: 10 tys. na pokrycie kosztów ewentualnej akcji ratunkowej oraz 5 tys. euro na wypadek, gdyby konieczny był pochówek. Jean-Marc Peillex zdecydował się na takie rozwiązanie po serii incydentów z udziałem źle przygotowanych początkujących turystów. Wprawdzie osiągnęli oni szczyt, niestety był to szczyt głupoty...

Game over, dyskryminacja

Japońska firma Nintendo, potentat branży gier wideo, oficjalnie uznała małżeństwa osób tej samej płci, choć są one zakazane w jej kraju. Od pewnego czasu pracownicy i pracownice przedsiębiorstwa pozostający w jedнопłciowych związkach partnerskich mają zagwarantowane takie samo traktowanie, w tym świadczenia pozapłacowe, jak żonaci i zamężne. Publiczne oświadczenie Nintendo w tej sprawie nastąpiło niedługo po wyroku sądu w Osace, który orzekł, że prawo dopuszczające jedynie małżeństwo kobiety i mężczyzny nie narusza ustawy zasadniczej. Parafrazując pewnego poetę z Krakowa: niczego o gejach i lesbijkach nie ma w konstytucji...

Czego poeta nie miał na myśli

Skoro mowa o krakowskich artystach słowa, to wiersz jednego z nich spowodował sporo zamieszania w życiu 19-latkę z okolic Trójmiasta. Gdy na początku lipca Kamil dowiedział się, że nie zdał matury z języka polskiego, zdecydował się skorzystać z tzw. procedury wglądów i sprawdzić, jak oceniono jego arkusz. Okazało się, że otrzymał 0 na 50 pkt możliwych do zdobycia za interpretację utworu Józefa Barana „Najkrótsza definicja życia”. Na szczęście wniosek o weryfikację punktacji został uznany, dzięki czemu nastolatek jednak uzyskał świadectwo dojrzałości. Warto podkreślić, że poproszony o komentarz twórca dzieła przyznał, że uprawnione było odczytanie go w taki sposób, w jaki zrobił to uczeń. W tym kontekście nasz komentarz jest chyba oczywisty: koniec i bomba, a kto czytał, ten trąba!



„Jutro będę duży, dzisiaj jestem mały”
– orangutaniątko w zoo w Dżakarcie w Indonezji.

Mały wielki człowiek

Niewielka firma z nowojorskiego Brooklynu za pośrednictwem platformy Kickstarter zebrała niemal 140 tys. dol. na stworzenie figurki prezydenta Ukrainy. Gadżet, wyceniony na 20 dol., będzie produkowany w Chinach. FCTRY deklaruje, że z zysku z każdego sprzedanego egzemplarza 1 dol. przekaże na potrzeby ojczyzny Wołodymyra Zełenskigo. Naszym zdaniem to trochę mało, nawet biorąc poprawkę na to, że plastikowa wersja lidera Ukraińców mierzy zaledwie 15 cm.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyński, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktory: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kazimierz Mikulski, A nade mną kto?



Marcello Bacciarelli, Portret Julii Duhamel z kotem

Ja, kot. Koty w sztuce Japonii i Zachodu

Pretekstem do zorganizowania wystawy są mistrzowskie drzeworyty z kolekcji Feliksa „Mangghi” Jasińskiego, wyobrażające „kocie sprawy”. Znakomicie ilustrują główne kocie wątki w sztuce japońskiej: piękności z kotem, kocich zabaw i bakeneko yujo (kurtyzan zmieniających się w koty potwory), a także kotów demonów z kompozycji Utagawy Kuniyoshiego. Towarzyszą im bohaterowie japońskich legend oraz popkultury – maneki-neko i Hello Kitty, które zderzono z zachodnimi

wyobrażeniami kotów, ich symboliką, interpretacjami. Pojawiają się też projekty Filipa Pągowskiego dla Black Comme des Garçons oraz japońskiego architekta Kengo Kuma. Jak wiadomo, koty zawsze chadzają własnymi drogami.

**Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha
Kraków, ul. M. Konopnickiej 26
do 11 września**



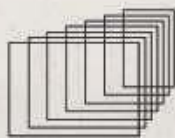
Waldemar Świerzy, Trud przy praniu Cię ominie, gdy użyjesz ixi w płynie



Kinga Nowak, Savannah



Utagawa Hiroshige, Pola ryżowe w Asakusie i Święto Koguta z serii Sto słynnych widoków Edo



EUROPEAN
FILM AWARDS
NAJLEPSZA KOMEDIA

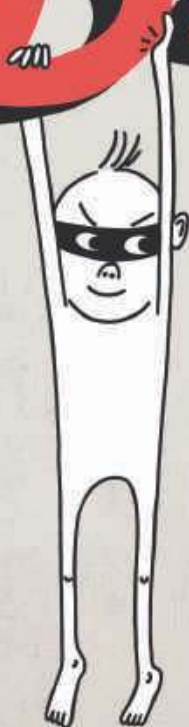


71^e Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Generation



NINJA BABY

FILMOWY
POWIEW
ŚWIEŻEGO
POWIETRZA



reżyseria
**YNGVILD SVE
FLIKKE**



w kinach od
19 SIERPNIA

AURORA

ERICA WASELS

ROBYN SCOTT

SVEN RUYGROK

Greckie wakacje

sa bliżej niż myślisz!



TYLKO W KINACH od 19 sierpnia



eprasa.pl/cb878f6301